tygodnikprzegląd.pl

Przegląd

Nr 29 (1280)
15-21.07.2024
Cena 9,80 zł
(w tym 8% VAT)

Prof. Łukasz Turski
Nauka i władza

Stefan Chwin
U nas w Polsce nie chodzi się w kapeluszu

Tomasz Miłkowski
Podsumowanie sezonu teatralnego

Wojciech Kuczok nie tylko o piłce
Bezgraniczny talent **Lamine'a Yamala**

NIE MA NAWET EKSHUMACJI

PRZEGRANY WOŁYŃ

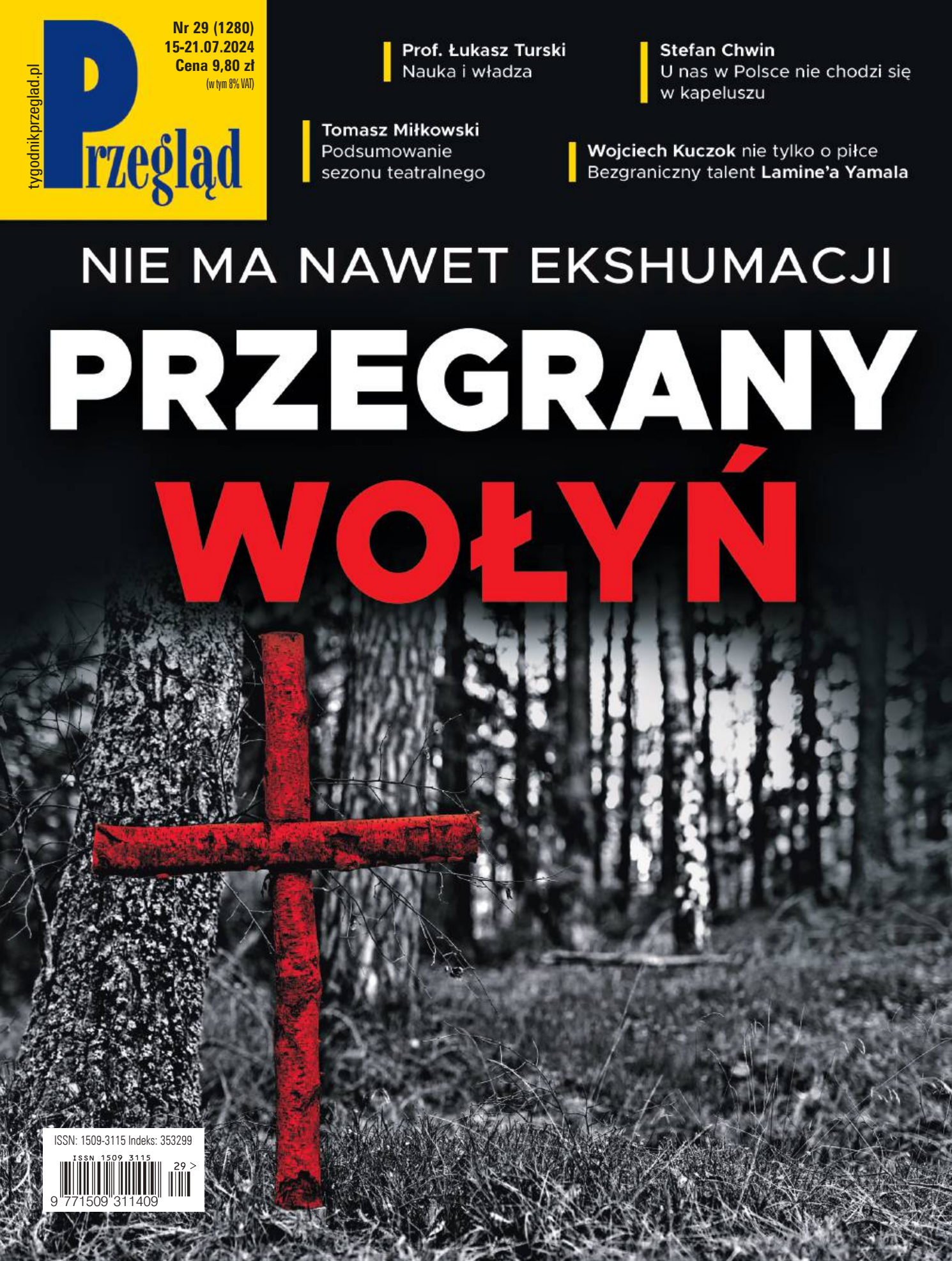

ISSN: 1509-3115 Indeks: 353299
ISSN 1509 3115
29 >
9 771509 311409

79. Międzynarodowy Festiwal Chopinowski

Duszniki - Zdrój

2-10 sierpnia 2024

Kierzynka

Duszniki International Chopin Piano Festival

MECENASI

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego

Narodowy Instytut Muzyki i Tańca

DOLNY ŚLĄSK www.umwd.pl

Duszniki Zdrój

PARTNERZY

FUNDACJA KGHM

Fundacja

STEINWAY & SONS

PIANOSALON

KAWAI

FAZIOLI

Silesia

JAREMKO

PATRONI MEDIALNI

Przegląd

Gwoja

Polskie Radio Chopin

RADIO

RADIO KULTURA

iram

wroclaw.pl

PARTNER MEDIALNY

SPONSORZY

HARDY

MIRACULUM

eprasa.pl b22ed4e4b8

Jerzy Domański

Geopolityka budowana na kłamstwie

Pisanie o ludobójstwie, jakiego doświadczyli Polacy na Wołyniu i w Małopolsce Wschodniej, jest jak bicie głową w mur. Mur świadomie fałszowanej historii.

Ale też, co jeszcze gorsze, hipokryzji, obłudy i głupoty polityków. Podobnie piszę od lat. I jeśli coś się zmieniło, to błyskawiczne tempo, w jakim mordercy z OUN i UPA z Banderą i Szuchewyczem na czele stali się na Ukrainie bohaterami narodowymi. Żal wielki, że z tylu problemów, jakie były i są na Ukrainie, tylko apologia ludobójczej formacji rozwinęła się na tak ogromną skalę. A tego nasi politycy w ogóle nie brali pod uwagę. I gdy za kilka czy kilkanaście lat będą próbowali coś z tym zrobić, na Ukrainie nie będzie żadnej miejscowości bez pomników, placów, nazw ulic i innych przejawów UPAmanii. Kolejne roczniki młodzieży ukraińskiej wychowywane są w kłamstwie i nie mają żadnej wiedzy o ludobójstwie, jakiego dopuścili się ich dziadkowie. Wierzą, że polskie zarzuty są kłamstwem obrażającym pamięć o ich bliskich.

Na Ukrainie żyją jeszcze mordercy z UPA i OUN. Śpią spokojnie. Polski IPN, kierowany przez Karola Nawrockiego, nic z tym nie może zrobić. Bo może i chce, ale jest skutecznie blokowany przez kolejne rządy. Jakiekolwiek by one były. Miejsca kaźni pozarastały drzewami, grobów nie ma, mordercy zaś zdążyli zadbać o pomniki – dla siebie.

Takie są efekty zasłaniania się w sprawie ludobójstwa geopolityką oraz kunktatorstwa i kluczenia przez polskie elity. Powtarzane przez nie apele, by być w prawdzie, bo prawda nas wyzwoli, są traktowane z cyniczną wybiórczością. Okazuje się, że można handlować pamięcią. Że są lepsze i gorsze ofiary. A masy polskich chłopów, które nie przeżyły wojny, bo je z wyjątkowym bestialstwem wymordowano, są takimi ofiarami, które można przemilczeć, kierując się czymś, co jest z gruntu fałszywe i kompletnie niemoralne. Martwiącym się o relacje z Ukrainą dedykuję słowa nieżyjącego już płk. Jana Niewińskiego, byłego komendanta placówki AK i Polskiej Samoobrony Kresowej we wsi Rybcza na Wołyniu: „To nie Ukraińcy dopuścili się zbrodni na Polakach, tylko OUN-UPA, która oprócz ok. 150 tys. Polaków wymordowała też ok. 80 tys. swoich rodaków".

Wiem, że jest wojna. I że Ukraina jest w tragicznym położeniu. Polska pomaga jej ponad miarę naszych możliwości. A skoro tak, to rozpoczęcie ekshumacji ofiar jest oczekiwaniem bardzo skromnym przy ogromie ludobójstwa. Jeśli zaś nie możemy liczyć nawet na ekshumacje, to niech nikt się nie zdziwi, że chęć dalszego materialnego i politycznego wspierania Ukrainy stanie pod dużym znakiem zapytania. Nie wśród elit. Wśród zwykłych Polaków, którym nie mieści się w głowie takie zachowanie władz Ukrainy.

Chcących wspomóc PRZEGLĄD proszę o wpłaty na konto:
Fundacja Oratio Recta
Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821

BĄKOWSKI

eprasa.pl b22ed4e4b8

W NUMERZE

KRAJ

8 **Wiara w naukę jest niewygodna dla władzy**
– rozmowa z prof. Łukaszem Turskim

11 **Cyberzagrożone**
Internetowe przestępstwa wobec dzieci

14 **Leśnicy wyklęci**
Wycinka w obronie lasów?

16 **Dziwne przypadki Adama Glapińskiego**
Interesy partyjne, prywatne i ciemne

ZAGRANICA

20 **Małżeństwo z potrzeby chwili**
Egzamin dla zwycięzców we Francji

HISTORIA

24 **Dlaczego Polska przegrała Wołyń**
My przepraszamy, Ukraińcy nie

38 **Co interesowało Amerykanów?**
Ekipa Jaruzelskiego i dyplomaci USA

SYLWETKI

28 **U nas w Polsce nie chodzi się w kapeluszu**
Dziennik Stefana Chwina

OPINIE

32 **Robert Walenciak**
Ręce dokładnie umyte

33 **Violetta Krasnowska**
Sąd nie jest twierdzą (cd.)

34 **Maciej Mikołajczyk**
Wczoraj rządowi, dziś antyrządowi

EURO 2024

36 **Futbol w dziurawych skarpetkach**
Mistrzowie paździerza się budzą

KULTURA

40 **To nie jest miły świat do życia**
Podsumowanie sezonu teatralnego

44 **Qulturalia**

46 **Jakie filmy kochają Polacy?**
Co nas bawi, co wzrusza

48 **Najlepsze rzeczy zrobiłem w PRL**
– rozmowa z Jerzym Stuhrem

66 **Przetwory**
Obrazy Karoliny Jabłońskiej

SPORT

54 **Złoci chłopcy z Kortowa**
W AZS Olsztyn grało się na medal

OBSERWACJE

58 **Kartacze z buzą raz!**
Suwalska kuchnia ziemniakiem stoi

FELIETONY I KOMENTARZE

3 **Jerzy Domański**
Geopolityka budowana na kłamstwie

23 **Jan Widacki**
Od Paki do paki

45 **Roman Kurkiewicz**
Zrozumieć nie znaczy zaakceptować

53 **Tomasz Jastrun**
Miasto zakopane w tłumie

57 **Andrzej Szahaj**
Kultura marnotrawstwa

61 **Wojciech Kuczok**
Do lasu (odc. 3)
Żelazny glejt inżyniera

28
SYLWETKI

U NAS W POLSCE NIE CHODZI SIĘ W KAPELUSZU
Dziennik Stefana Chwina

36
EURO 2024

FUTBOL W DZIURAWYCH SKARPETKACH
Mistrzowie paździerza się budzą

48
KULTURA

NAJLEPSZE RZECZY ZROBIŁEM W PRL
– rozmowa z Jerzym Stuhrem

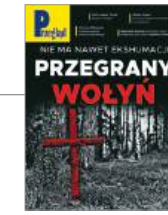

Projekt okładki: Iza Mierzejewska

FOT. SHUTTERSTOCK

eprasa.pl b22ed4e4b8

Polski uczony potrafi... tylko za granicą?

Grzegorz Rudnik przedstawił licznych wybitnych polskich uczonych, którzy działalność naukową kontynuowali i rozwijali za granicą. Zapewne jest więcej osób, które wniosły trwały i doceniany wkład w rozwój światowej nauki i których osiągnięcia są powszechnie cenione. Pozwolę sobie przypomnieć prof. Tadeusza Malińskiego (1946-2023). Uczony ten urodził się w Śremie, studia ukończył na Wydziale Mat-Fiz-Chem UAM w Poznaniu w roku 1969, na kierunku chemia. Od 1979 r. pracował na różnych uniwersytetach w USA, prowadząc również wykłady na uczelniach europejskich. Stał się światowej sławy specjalistą m.in. w nanomedycynie, której był współtwórcą. Razem ze swoim zespołem profesor stworzył i zastosował w medycynie tzw. nanosensory, umożliwiające pomiary tlenku azotu w pojedynczych komórkach – związek ten w małych ilościach odgrywa ważną rolę w procesach życiowych. To tylko niektóre jego osiągnięcia. Za całokształt działalności naukowej prof. Tadeusz Maliński został uhonorowany licznymi medalami krajowymi i zagranicznymi, a dwukrotnie był nominowany do Nagrody Nobla.

Polski uczony potrafi... tylko za granicą?

Marek Dankowski

Polska na beczce prochu

Wraki leżące na dnie Bałtyku nie są polskie. A jako cmentarze wojenne są pod ochroną prawną, więc naruszenie miejsc wiecznego spoczynku załóg i pasażerów tych statków jest przestępstwem. Wraki te są skatalogowane i ich przynależność państwowa jest znana. Niemcy powinni wreszcie zająć się swoimi cmentarzami i zmarłymi.

Mirek Rojecki

Walka o immunitety

Przysłuchując się obradom komisji sejmowej nt. pozbawienia posła immunitetu można dostać zawrotu głowy, a nawet pomieszania zmysłów. Z dyskusji wynika, że wszystko, co zapisane w przepisach prawa, jest względne (kryształowo czysty, ale przestępca). Przerażające, że opinie takie przedstawiają osoby z tytułem profesora. Dziwne, że „wykształceni" prawnicy szukają pracy w „polityce" (bardzo licznie) jako dobrze płatnej, często łatwej, a dla wielu przyjemnej profesji. Uważam, że staliśmy się niewolnikami „prawników", których jest bardzo dużo w mediach i lansują sprzeczne opinie na temat obowiązującego prawa, łącznie z konstytucją. To jeden z czynników rozpadu państwa, bo coraz więcej dzieli nas, obywateli RP, niż łączy.

Zbigniew Milewski

Zdobycie Paryża

Tomasz Jastrun
Zdobycie Paryża

Tomasz Jastrun pisze: „Kibicuję Austrii, to już nawyk z czasu, gdy wszystko, co narodowe, kojarzyło się z PiS". Zasmucające wyznanie, bo ujawnia postawę: lepiej, żeby nie było sukcesu, bo może to wykorzystać nielubiana opcja polityczna. Na szczęście tych sukcesów było mało, więc PiS nie miało do czego się dopisać. Miód na serce pana Jastruna? (To oczywiście ironia). Prawdę mówiąc, ja też mam pewien problem ze zwycięstwami polskich zawodników czy drużyn. I to akurat w relacjach jak najbardziej „demokratycznych i wolnych" mediów. Popadają one bowiem w niepomierną euforię i nadużywają zwrotów typu: zmiażdżyli, rzucili na kolana itp. Ale nie skłania mnie to do kibicowania przeciwnikom polskich zawodników, nawet jeśli sukces naszych byłby przez kogoś wykorzystany politycznie.

Jerzy Cichot

ZDJĘCIE TYGODNIA

Krzysztof Żuczkowski

W upały każdy skrawek cienia jest wykorzystywany do ochłody. Warszawski plac Pięciu Rogów z instalacją „ROZKOSZT" z boczniaków. 11 lipca 2024.

eprasa.pl b22ed4e4b8

Tomasz Szatkowski, były wiceminister obrony u Macierewicza, a później ambasador RP przy NATO, w trakcie badania na wariografie został przyłapany na trzech kłamstwach. Dotyczyły: współpracy ze służbami innego kraju, wynoszenia tajnych dokumentów i treści oświadczenia majątkowego.

•

74 mln zł rocznie kosztują wypadki i kolizje spowodowane przez nieubezpieczonych i niezidentyfikowanych kierowców. Płacą ci, którzy się ubezpieczyli **(Ubezpieczeniowy Fundusz Gwarancyjny)**.

•

Od 1 lipca za brak ubezpieczenia OC trzeba zapłacić 4,3 tys. zł, jeśli luka będzie mniejsza niż 14 dni, a jeżeli wyższa, to 8,6 tys. zł.

•

Są wyniki matur. W liceach egzamin dojrzałości zdało 88,6% uczniów, a w technikach 78,1%. Średnie wyniki uzyskane przez maturzystów są w tym roku niższe.

•

Magdalena Bielska za tom „Poradnik dla niedawno zmarłych" została laureatką Nagrody im. Wisławy Szymborskiej. Wraz z prestiżowym wyróżnieniem córka Jerzego Pilcha otrzymała 100 tys. zł.

•

Zmarła dr Eleonora Syzdek, historyk dziejów najnowszych, autorka prac, które warto znać, pracownik naukowy PAN. Ideowy człowiek lewicy. Zawsze wspierała nasz tygodnik.

•

W styczniu 2023 r. z armii odeszło prawie 9 tys. żołnierzy, a w styczniu 2024 r. – 4385 osób (616 oficerów, 2280 podoficerów i 1489 żołnierzy).

•

Robert Biedroń, kabaretowy lider Nowej Lewicy, na początek kolejnej kadencji w Brukseli musiał pokazać swój majątek. W dbaniu o ten majątek nie jest tak leniwy jak w polityce. **Dorobił się już wraz z Krzysztofem Śmiszkiem udziałów w czterech mieszkaniach** (96,67 m kw., 46,6 m kw. i dwa razy po 40,84 m kw.).

•

Książka naszej autorki Beaty Dżon-Ozimek i Michała Olszewskiego „Ptaki krzyczą nieustannie. Historia Günthera Niethammera, esesmana i ornitologa z Auschwitz" jest jedną z pięciu nominowanych do Juliusza – Górnośląskiej Nagrody Literackiej dla najlepszej biografii wydanej w 2023 r.

•

Ks. Marcin Iżycki na wniosek biskupa warszawsko-praskiego Romualda Kamińskiego został zawieszony w pełnieniu funkcji dyrektora Caritas Polska. Pełnił tę funkcję mimo wielu zarzutów opisywanych przez media.

•

Około 73% wapnia dostępnego w pożywieniu pochodzi z mleka i produktów mlecznych. Jedna szklanka mleka dostarcza tyle wapnia, co 4,5 porcji brokułów, 16 porcji szpinaku i 5,8 porcji chleba pełnoziarnistego.

•

5,9 tys. dzieci urodziły w 2023 r. polskie nastolatki **(GUS)**.

•

6,3 mln Polek i Polaków, czyli 17%, ma ważną kartę biblioteczną w jednej z ponad 7,5 tys. bibliotek publicznych. W 2023 r. wypożyczono ponad 100 mln książek **(GUS)**.

PRZEBŁYSKI

Piesiewicza koniec żałosny

Radosław Piesiewicz, protegowany ekswicepremiera Jacka Sasina, wrzucony na prezesa PKOl, uznał, że już może wyjść z ukrycia. I wyszedł. Z przytupem. Przytulił się do Igi Świątek, Wilfreda Leóna i Ewy Swobody. Na licznych bilbordach pozuje z nimi. Ludzie pytają kto to. Zawodnik, kandydat do medalu? Takiego prezesa w PKOl jeszcze nie było. Bezgraniczna jest ta bezczelność człowieka, który prawem kaduka przykleił się do wybitnych sportowców. Jeszcze nie tak dawno wraz z Sasinem doradzali władzom Wołomina. W kampanii wyborczej PKOl obiecał związkom sportowym dziesiątki milionów ze spółek skarbu państwa. Sasina nie ma. Pieniędzy też. Został tylko Piesiewicz. Kończ, człowieku, wstydu oszczędź sportowcom. I kibicom.

Telus bez ziemi (ale z gaśnicą)

Zamiast potwora z Loch Ness mamy swojego dziwoląga. A imię jego Robert Telus. Człowiek z gaśnicą. Były pisowski minister rolnictwa. Najstarsi rolnicy nie pamiętają kogoś tak słabo rozgarniętego na posadzie ministra. Jednak o swoje interesy Telus potrafił zadbać. Gdy Lasami Państwowymi rządziła ekipa Ziobry, żona i córka Telusa podpisały umowę dzierżawy 15 ha. Telusowie hodowali tam prawie setkę koników polskich. Opłacało się, bo dopłaty od państwa były spore. Biznes się skończył po wyborach. Kontrola z Lasów wykazała, że doszło do samowoli budowlanej i bezumownego korzystania z części gruntów. Znaleziono też trzy martwe konie. No i po umowie. Nie pomogły ustawki w gazetach z Telusem całującym konika.

Ojczulkowie łasi na kasę

Zaiste, wielkiego pecha ma Rzeszów, do którego trafił zakon bernardynów. O poczynaniach ojczulków w mieście, które ciągle kojarzy się z legendarnym prezydentem Ferencem i pomnikiem Walk Rewolucyjnych, pisze tygodnik „Fakty po Mitach".

Jeśli ktoś myśli, że bernardyni zajęci są tam praktykami religijnymi, to myli się bardzo. Gdy przejęli grunt z pomnikiem kultowego rzeźbiarza prof. Mariana Koniecznego, oddali go Stowarzyszeniu Rodzin Żołnierzy Niezłomnych Podkarpacia. A to oczywiście chce pomnik zburzyć. Powstrzymać może je wpisanie pomnika z 1974 r. do rejestru zabytków. Albo sami bernardyni, którym prezydent Fijołek chce odebrać ogrody między klasztorem a pomnikiem. Miasto płaci za ich utrzymanie 100 tys. zł rocznie. A kasa z parkingu pod ogrodami płynie do zakonu. Taka to bernardyńska logika.

Piłkarze plażowi

Skoro ostatni awansowali, a pierwsi odpadli, mogą już robić to, co rajcuje ich bardziej niż gra w reprezentacji. Egzotyczna zbieranina szybciutko rozjechała się w egzotyczne miejsca. Nie mogli się pochwalić grą na Euro, to teraz nadrabiają aktywnością w mediach społecznościowych. Cóż tam widzimy? Zadziwiająco dobre samopoczucie piłkarzy. Fotki z Polinezji Francuskiej (Michał Skóraś), Zanzibaru (Marcin Bułka), Malediwów (Sebastian Szymański), Monte Carlo (Krzysztof Piątek) i greckiej wyspy Mykonos (Nicola Zalewski). Do Grecji polecieli też Przemysław Frankowski i Jakub Piotrowski. Mają dłuższe wakacje, bo za długo w Niemczech nie pograli. Ciekawe, dokąd wyjechaliby po zdobyciu medalu. Taki futbolowy żarcik.

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI (2), INSTAGRAM

eprasa.pl b22ed4e4b8

Z GALERII ANDRZEJA MLECZKI

mleczko.pl

sklep.mleczko.pl

PYTANIE TYGODNIA | Dlaczego polityka informacyjna rządu jest tak słaba?

WITOLD BEREŚ,
redaktor naczelny „Kraków i Świat"

„Siedź w kącie, a znajdą cię", napominała moja babcia. Skromność miała dać efekty. Ale w czasach multiinformacji to najgłupsza postawa, co udowadnia rządząca Koalicja 15 Października. Premier uważa, że ma taki szarm, iż narody klękają i żadne biuro prasowe, rzecznik, telewizja nie są już potrzebne. Owszem, premier ma szarm i to jemu wolnościowa Polska zawdzięcza obalenie PiS. Ale, bywa, myli się. Bo sukces rządzenia polega na umiejętności mówienia o zwycięstwach, porażkach i w ogóle na rozmowie z obywatelami. Dziś trzeba podkreślać największy sukces – pozostanie w strukturach bezpiecznej Europy wbrew nadziejom kremlowskich rozbijaczy z Nowogrodzkiej. Ale trzeba też uczciwie dyskutować o porażkach. A co mamy? Telewizja – durna jak przed rokiem. Radio publiczne – zdycha. Gazety Polska Press – w haniebnie poprowadzonym konkursie oddane w pacht aparatczykom za chwilę również zdechną. Wielkie media jak tlenu łakną reklam wielkich spółek, a w zamian dostają propozycję oddawania swojego dorobku za psi grosz hubom informatycznym. Moja babcia krytykowała tępe flirtowanie. Panie i panowie rządzący – od was nikt nie oczekuje wdzięczenia się. Powinniście jednak rozmawiać z wyborcami. Bo jak przerżniemy za trzy lata, to wygra Kreml.

JACEK SNOPKIEWICZ,
dziennikarz, publicysta

To sprytna postawa – lepiej milczeć, niż kłamać albo nie mieć odpowiedzi na trudne pytania. A tych jest wiele. Dotyczą przede wszystkim rozliczeń, które zawiodły wiele środowisk. Rozliczenia w mediach publicznych to kpina – do dziś pracują tam wydawcy zatrudnieni przez PiS. Medialną klęskę poniosły komisje śledcze. Wzmagają tylko frustrację wyborców. To samo z Orlenem, gdzie brakuje jakiejś mapy działań. Weszliśmy w okres chaosu, bo trudno powiedzieć, co się dzieje w koalicji. Drugą sprawą jest rządowa propaganda, czyli podkreślanie tego, co udało się zrobić, i polemika z oszczerstwami i atakami. Tutaj strategia rządu jest bardziej dziurawa w porównaniu z TV Republika i mediami społecznościowymi drugiej strony. Mam poczucie – podobnie jak moje środowisko, które popierało Platformę – że zostaliśmy nabrani na to, co oni proponowali i co robią.

WIESŁAW GAŁĄZKA,
doradca polityczny

Platforma nigdy nie miała dobrej polityki informacyjnej. Brak rzecznika rządu, i to za zgodą Trzeciej Drogi, powoduje, że na świeczniku pojawiają się tylko liderzy partii, ewentualnie ministrowie. To powoduje ogromną niespójność komunikacyjną. Rzecznik powinien być buforem i brać na klatę wszystko, co negatywne dla rządu. Natomiast premier i ministrowie powinni pojawiać się jedynie w razie sukcesów. Na tym polega sprawne działanie w społeczeństwie informacyjnym, ale obecny rząd tego nie rozumie.

Rozmawiał Kornel Wawrzyniak

eprasa.pl b22ed4e4b8

Wiara w naukę jest niewygodna dla władzy

Samochody elektryczne w dzisiejszej postaci są ślepą uliczką. To się nie uda

Rozmawia Robert Walenciak

PROF. ŁUKASZ TURSKI
– fizyk, popularyzator nauki i publicysta

Niedawno po raz kolejny oglądałem film „Iluminacja", gra w nim pan siebie, egzaminatora na Wydziale Fizyki Uniwersytetu Warszawskiego. W 1972 r. film był wielkim wydarzeniem, a dziś... Przecież nauka i wiara to dwa różne pojęcia. Jak można je porównywać?

– Nie można. Ale „Iluminacja" jest dobrym filmem. Mam też dobre wspomnienia – przy pracy nad nim poznałem Agnieszkę Holland. Krzysztofa Zanussiego znałem wcześniej, był moim starszym kolegą szkolnym i kolegą mojego starszego brata. A co do nauki i wiary – bardzo trudno te pojęcia tak po prostu oddzielić, ponieważ historycznie to ludzie związani z Kościołem byli niemal jedynymi, którzy w europejskiej części cywilizacji zajmowali się nauką. Kiedy zwiedza się katedrę w Chartres, nad każdym wejściem widać posągi uczonych, w większości pogan. Królowie, możnowładcy, biskupi, mnisi, chłopi i mieszczanie, wchodząc do katedry, chylili czoło przed ich umysłami.

Przed lepszymi umysłami?

– Uważam, że istnieje pakt społeczny między ludem, wszystkimi ludźmi, a nauką. Jak to wygląda? Opisuje to choćby Artur Oppman w baśni o bazyliszku. Oto zjawia się w Warszawie potwór, porywa dzieci. I lud ma problem. Lecz nie zwraca się o pomoc do króla, chociaż zamek stoi trzy kroki do Krzywego Koła, nie zwraca się do burmistrza albo do biskupa. Nie! Idzie do wieży, bo w tej wieży mieszka czarodziej – tak go nazwano w baśni, ale przecież wiemy, że chodzi o człowieka uczonego. Lud o ratunek prosi naukę. To jest ta umowa społeczna – lud potrzebuje dostarczycieli bezpiecznej prawdy.

Żeby wiedzieć, jak jest, a nie jak mówią.

– Teorię bezpiecznej prawdy sformułował w XIX w. angielski matematyk, filozof, William Clifford. Mówił – pewnie to się panu spodoba – że człowiek ma moralny obowiązek kwestionować wszelkie przekonania oparte na wierze, a niepoparte empirycznymi dowodami. Nauka ma więc dostarczać ludziom to, co prawdziwe. Sprawdzone i potwierdzone, z małym zastrzeżeniem – że pracujemy nad tym, żeby „to" jeszcze lepiej potwierdzić.

Wciąż jeszcze sprawdzamy.

– Tak zwany lud kiedyś bardzo wierzył w naukę. Ale ostatnio, z jakichś powodów, jest w nim tej wiary mniej.

Dlaczego?

– Bo wiara w naukę jest niewygodna dla władzy. Dla władzy, jakakolwiek ona by była, czy to duchowa, czy cywilna, ktoś, kto potrafi powiedzieć: „Bzdury pleciesz, bo 2 razy 2 daje 4, a nie 5", jest niebezpieczny. Dramat dzisiejszych czasów polega na tym, że wykorzystano rozwój nauki, a jest on zupełnie niesamowity, do tego, żeby zatrzeć jej niezależność.

Pamiętam, jak zaczynała się pandemia. Ludzie byli ogłupiani dziesiątkami medialnych banialuk. A ja zupełnie przypadkiem przeczytałem wtedy wywiad z prof. Krzysztofem Pyrciem, wielkiej klasy uczonym, wirusologiem. Przeczytałem i zrozumiałem, po pierwsze, że jest człowiek, który

Łukasz Turski – profesor nauk fizycznych, specjalista w zakresie fizyki materii skondensowanej i mechaniki statystycznej, pomysłodawca i inicjator budowy Centrum Nauki Kopernik w Warszawie i pierwszy przewodniczący jego rady programowej.

eprasa.pl b22ed4e4b8

dokładnie wie, co się dzieje. Po drugie, że warto go słuchać. Przez całą pandemię byłem spokojny, nic mnie nie denerwowało, śledziłem, co mówią Pyrć i jego koledzy. To jest rola nauki! Żeby ludzie wiedzieli, co się dzieje. Żeby wiedzieli, jak jest.

W takim razie naukowcy są szkodliwi dla ładu społecznego. Wystarczy przypomnieć, co pan mówi o przyszłości samochodów elektrycznych.

– Nadal uważam, że samochody elektryczne w dzisiejszej postaci są ślepą uliczką. To się nie uda. Kilka lat temu był zjazd fizyków we Wrocławiu. Przedstawiłem tam prosty rachunek – gdyby wszystkie samochody w Polsce były elektryczne, co ile czasu można by je ładować, gdybyśmy mieli tyle samo ładowarek, ile dystrybutorów paliwa? Wyszło mi, że co sześć tygodni. Dobra, pomyliłem się dwa razy – co trzy tygodnie.

Stałyby w kolejce do ładowania.

– To jest kompletnie nierealne. Poza tym co zrobić z tym złomem? Z utylizacją akumulatorów? Co za 30–40 lat zrobimy z zużytymi wiatrakami? Co zrobimy z tą straszliwą ilością złomu paneli fotowoltaicznych? Technologii ich utylizacji nie ma.

Kto się tym przejmuje? Świat się zmienił. Pamiętam z dzieciństwa „Tajemniczą wyspę" Juliusza Verne'a – jak grupa uciekinierów, korzystając z nauki, podporządkowuje sobie przyrodę. Są poważni. Dziś dzieci czytają Harry'ego Pottera. Świat podporządkowuje się poprzez machanie różdżką i rzucanie zaklęć.

– Nie lubię literatury typu Harry Potter albo „Gra o tron". Natomiast wydaje mi się, że każdej władzy jest wygodnie, żeby ludzie nie wiedzieli, co jest prawdą. Żeby ich tumanić.

Nauka też może służyć tumanieniu. Wiedza z takich dziedzin jak psychologia, socjologia, nauki o komunikowaniu jest wykorzystywana w kampaniach propagandowych.

– Nie znam się na kampaniach propagandowych. Ale opowiem panu inną historię. Otóż przed rokiem 1989, m.in. w ramach Towarzystwa Popierania i Krzewienia Nauk, organizacji wtedy podziemnej, dyskutowaliśmy, jak zmienić sposób nauczania w Polsce, jak przyczynić się do tego, by było więcej osób z wyższym wykształceniem. A ponieważ nikt wtedy za bardzo nie marzył, że system się zmieni, uznaliśmy, że panaceum byłyby prywatne szkoły wyższe. W związku z tym, gdy nagle wszystko się wywaliło, wyskoczył diabeł prywatnych szkół wyższych. Jak się patrzy na to teraz – to jednak popełniliśmy wtedy poważny błąd. Szkoły były potrzebne, ale potrzebne były też mechanizmy zapobiegające sytuacjom towarzyszącym naszemu początkowemu „cudowi edukacyjnemu", o którym mówi się dzisiaj przy okazji np. sprawy Collegium Humanum. Nie wymyślono wówczas metody, jak przekonać ludzi, by swoje prawdziwe, balcerowiczowskie pieniądze oddali bezpiecznym strukturom. Żeby zasiliły porządnie zorganizowane uczelnie, które potrafiłyby się obronić przed tymi oszustwami, tymi skandalami, które mamy.

> To jest rola nauki! Żeby ludzie wiedzieli, co się dzieje. Żeby wiedzieli, jak jest.

Myśli pan o oszukanych dyplomach z Collegium Humanum?

– Nie tylko! Kilka dni temu znowu zatrzymano jakichś rektorów. A co się dzieje z Polską Komisją Akredytacyjną?! Jej byłemu dyrektorowi postawiono zarzuty korupcyjne. Co mam o tym myśleć? Przecież po roku 1989, gdy uchwalano nową ustawę o szkołach wyższych, nikt nie przypuszczał, że będzie można wykorzystać uczelnie prywatne do tego typu dzikich oszustw. Ale to jest właśnie przykład tego, że władzy wygodnie jest zacierać umowę społeczną z nauką.

A może nauka po prostu nie jest nam potrzebna?

– Jest potrzebna! Mówił pan o „Tajemniczej wyspie". Przecież my ciągle jesteśmy na tajemniczej wyspie! To nieprawda, że tak dużo wiemy o naszym świecie! Wiemy troszeczkę. Dużo więcej nie wiemy, niż wiemy. Mówiliśmy o covidzie… Można było sądzić, że co jak co, ale choroby zakaźne mamy opanowane. I nagle znaleźliśmy się w pułapce! Co nas wyciągnęło z tarapatów? Wyciągnęła nas nauka. Badania, technologie, które prowadzono gdzieś obok i które zostały wykorzystane do stworzenia w nieprzytomnie krótkim czasie różnych skutecznych szczepionek. Na tej bazie tworzone są kolejne szczepionki!

Mówił to już Thomas Jefferson – nauka rozwija się przez ludzką ciekawość. A ta ciekawość badawcza wynika z tego, że prawdziwa nauka żyje dla ludzi. Ma im służyć, musi być potrzebna.

Czyli jak to jest – ludzie są otępiali czy nie? Z jednej strony, mamy zabobony, oszustwa polityków, odwoływanie się do instynktów, ciemnoty. A z drugiej – chyba nie było w świecie okresu, kiedy tyle pieniędzy ładowano w badania naukowe i pracowało tylu naukowców?

– Mówi pan, że wydajemy duże pieniądze na badania naukowe? To niech pan porówna budżet instytucji naukowych z budżetem wyasygnowanym na ten nieszczęsny superlotniskowiec amerykański, który, żeby użyć swojej procy do wyrzucania samolotów, musi wyłączyć całe swoje uzbrojenie. A w Polsce? Niech pan popatrzy, jak wyglądają instytuty naukowe. Te piękne, klimatyzowane budynki Wydziału Fizyki UW przy Żwirki i Wigury. Niech pan tam pojedzie o siódmej wieczorem. Jakoś ciemno… Bo pieniędzy na faktyczne prowadzenie badań naukowych jest za mało. Naprawdę czołowe badania naukowe kosztują bardzo dużo. Po prostu nauka zabrała się do bardzo trudnych zadań.

Jakie badania teraz są najważniejsze?

– Nie wiem, jakie są najważniejsze, bo wszystkie są ważne. Natomiast gdybym ja w tej chwili kończył szkołę i miał ochotę być naukowcem, zająłbym się dziedziną, która kiedyś nazywała się biofizyką, ale dziś to chyba niedobre słowo. Dyscypliną na pograniczu biologii, fizyki i matematyki.

Co nam da rozwój tej dyscypliny?

– Mnóstwo rzeczy! Na przykład rozwiązanie wielu problemów neurofizjologicznych. Mamy tylu nieszczęsnych ludzi, którzy są sparaliżowani. Im możemy pomóc. Jak spowodować, żeby przerwany układ nerwowy na nowo przetwarzał ▸

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI

eprasa.pl b22ed4e4b8

informacje? Na razie nie wiemy, jak te informacje są przetwarzane, nie wiemy, jak działamy, jak naprawdę działa ludzki mózg… To niebywałe – patrzymy na jakieś procesy myślowe, potrafimy nawet zidentyfikować fragmenty mózgu, zbiory komórek, które te informacje przetwarzają – i tyle. Reszta jest do odkrycia. Mamy mnóstwo znakomitych zagadnień, które trzeba wyjaśnić. Ja sam jestem zainteresowany tym, byśmy dokonali gigapostępu w nefrologii…

Pytając o najważniejsze badania, sądziłem, że wskaże pan te dotyczące energii.

– Nie, energia to zadanie, które w tej chwili jest rozwiązane. Fizycznie jest to prosty problem. Dzisiaj to wyłącznie zagadnienie polityczne. Wiadomo, że potrzebujemy energii elektrycznej. Ona jest najlepsza. Ale jest z nią jeden zasadniczy problem.

Nie ma jej jak magazynować?

– Co jest tzw. nieprawdziwą prawdą – gdyż energia elektryczna jest zmagazynowana we wszystkich paliwach kopalnych.

Ale zanim z węgla wyprodukuje się prąd, zatrujemy planetę…

– Z drugiej strony żadna inna forma przechowywania energii nie jest tak efektywna jak paliwa kopalne. Liczy się gęstość energii. Ilość możliwej do odzyskania energii w jednostce surowca. W paliwach kopalnych taka jednostka jest trójwymiarowa. A w fotowoltaice – dwuwymiarowa. Dlatego trzeba na nią gigantycznych powierzchni. Trochę inaczej jest z wiatrem, ale z nim są inne kłopoty. Raz wieje, a innym razem nie.

A energia jądrowa?

– To jest właśnie ten problem polityczny. Odkryliśmy energię jądrową. Ale w jej wykorzystaniu przeszkodziła wojna. Gdyby nie było II wojny światowej, to energię jądrową powolutku by rozwijano, tak jak energię elektryczną. Dziś nie mielibyśmy żadnego kryzysu klimatycznego, już dawno cały świat byłby zelektryfikowany dzięki supernowoczesnym elektrowniom jądrowym – zupełnie innym niż nawet te z łodzi podwodnych. Proszę zwrócić uwagę, że najpierw powstała lokomotywa i maszyna do pompowania wody z kopalni, a potem czołg. A z energią jądrową było odwrotnie – najpierw była broń, a potem jej pokojowe wykorzystanie.

A teraz Zachód chce odchodzić od elektrowni jądrowych.

– Rosjanie w fenomenalny sposób rozsiali strach przed energią jądrową. Szczególnie udało się to w Niemczech.

Niemcy swoją energetykę jądrową rozmontowali.

– Pracowałem dłuższy czas w wielkim niemieckim ośrodku badawczym w Jülich. Instytut fizyki miał swój parking, który dotykał płotu części reaktorowej. Działał tam reaktor atomowy, tzw. wysokotemperaturowy. W czasie II wojny światowej Werner Heisenberg zaczął budować reaktor w Niemczech. Nie zdążył, powstał jedynie jego model. I jeden z jego studentów po wojnie zbudował podobny reaktor w Jülich. Ale pani Merkel doszła do władzy i to był jeden z pierwszych reaktorów, które zamknęła. Niemcy sprzedali go więc Chińczykom. Dziś Chińczycy twierdzą, że będą produkować komercyjne wysokotemperaturowe reaktory. Tak więc gdybyśmy po wojnie prowadzili badania pełną parą, mielibyśmy nowoczesną energetykę jądrową. W tym kierunku to szło. W latach 60. był taki okres, że Amerykanie otwierali jeden reaktor na miesiąc. Westinghouse to była fabryka. I nagle przestało to działać.

Dlaczego?

– Mówiłem: z powodów politycznych. W Europie pojawił się ruch antyatomowy. A jednocześnie świat został zalany tanią ropą, więc w latach 60. Zachód podjął polityczną decyzję, że nie będzie rozwijać energetyki jądrowej.

Nie jest tak, że w nauce pojawia się coraz więcej zwykłych oszustów, którzy ogłaszają jakieś odkrycia, przełomy, by ściągać pieniądze na dalsze badania i dobrze z tych obietnic żyć?

– Jest sporo hochsztaplerki, niestety. Recepta na to? Jawność badań naukowych. Ona służy prawdzie. Bo jak wszystko jest jawne, to zawsze przyjdzie ktoś, kto powtórzy eksperyment i sprawdzi.

Pamięta pan szum, gdy ogłoszono zimną syntezę jądrową Fleischmanna i Ponsa?

– Pamiętam! Luis Alvarez pytany przez dziennikarza odpowiedział natychmiast: tego się nie da zrobić, bo gdyby oni to zrobili w tej probówce, już by nie żyli, naświetleni potężnym strumieniem neutronów. Zimna fuzja to niejedyny przykład oszustw. Mamy zjawisko, które zostało odkryte w okolicach roku 1986, czyli nadprzewodnictwo wysokotemperaturowe. Przeprowadzono tysiące doświadczeń, napisano setki prac naukowych próbujących to wytłumaczyć. I nic. Nie wiadomo, dlaczego to działa. Ale co chwila pojawiają się ludzie, którzy twierdzą, że wiedzą, że to mają. Ostatnio było głośno o działających w pokojowej temperaturze i pod zwykłym ciśnieniem koreańskich i amerykańskich nadprzewodnikach.

Pewnie szybko sprawdzono te doświadczenia.

– Sprawdzono. Klapa… Kilkanaście lat temu mieliśmy inny gigantyczny skandal – pojawił się niemiecki fizyk, z uniwersytetu w Konstancji, geniusz nanoukładów. Ktoś zainteresował się jego pracami, w efekcie w jednym roku wycofano osiem jego artykułów z „Nature" i „Science". To jest problem! Rozlanie się badań naukowych powoduje, że powiększa się pula oszustw. Zasada zachowania bezpiecznej prawdy przestaje obowiązywać. Jakby ta busola wymykała nam się z rąk.

Dokąd więc prowadzi nas nauka?

– Proszę pana, nauka prowadzi nas do celu, który jest z grubsza nieznany.

Pieniędzy na faktyczne prowadzenie badań naukowych jest za mało. Naprawdę czołowe badania naukowe kosztują bardzo dużo.

Robert Walenciak
r.walenciak@tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl b22ed4e4b8

CYBERZAGROŻONE

Tylko połowa rodziców interesuje się aktywnością swoich dzieci w internecie

Kornel Wawrzyniak

– 11-letnia córka zawołała mnie z przerażeniem, bo komputer nagle zaczął wypluwać dziesiątki komunikatów o wirusach. Wziąłem laptop i zacząłem badać temat. Po chwili zauważyłem, że każdą wiadomość wysyła inny program antywirusowy – nie muszę dodawać, że tylko jeden z nich miałem faktycznie zainstalowany – a po kliknięciu w komunikat jestem odsyłany na stronę www do płatności za zaległy abonament na program. To był typowy phishing. Ktoś podawał się za program antywirusowy, wykorzystując powiadomienia przeglądarki, na które zezwala się np. przy serwisach informacyjnych. Wystarczyło wyłączyć komunikaty i po krzyku. Zapytałem córkę, od czego to się zaczęło. Okazało się, że ktoś w grze Roblox zaproponował jej na czacie jakiś darmowy dodatek, jeśli wejdzie w odpowiedni link – opowiada Julian.

Nastolatki nie strzegą dostatecznie dobrze swojej prywatności w sieci.

Oszust zawsze znajdzie sposób

Ojciec dziewczynki nie kryje lęku. Wraz z partnerką Amelią są wyjątkowo świadomymi rodzicami w kwestii cyberbezpieczeństwa. Korzystają z aplikacji do ochrony dzieci w internecie, monitorują tam ich aktywność i starają się rozmawiać o współczesnych zagrożeniach. Dla cyberprzestępców żadne limity czasowe ani ograniczenia treści nie są jednak problemem.

– Wychodzi na to, że oszuści zawsze znajdą sposób, aby dotrzeć do dziecka. To zresztą nie pierwsza taka akcja z samym Robloxem. Kiedyś usłyszałem z pokoju obok skowyt. Okazało się, że dzieciak wymienił się na jakieś sprzęty w grze i został oszukany. Ale to akurat drobnostka, wręcz anegdotka. Choć dla Marysi to ogromna i bolesna nauczka o kontaktach z ludźmi przez internet – ciągnie Julian. I chociaż mówimy tu o rodzicach mieszczących się w 49% osób, które pilnują aktywności swoich dzieci w internecie, to ani bycie w grupie świadomych, ani bycie dorosłym może nie wystarczyć do uchronienia się przed wpadką. Oszuści atakują w grach i na różnych czatach. Z raportu NASK „Nastolatki 3.0", który powstał pod koniec 2022 r., wynika, że ta kategoria wiekowa użytkowników korzysta z internetu średnio przez 5 godzin i 36 minut dziennie. W weekendy zaś – 6 godzin i 16 minut. Dwa lata wcześniej w tym samym badaniu średni czas bycia online wynosił 4 godziny 50 minut dziennie.

Granie online jest wśród młodych ludzi jedną z popularniejszych form spędzania czasu przed ekranami. Ten trend dotyczy coraz młodszych dzieci. Sprzyja mu dostępność gier na smartfonach, tabletach,

FOT. SHUTTERSTOCK

eprasa.pl b22ed4e4b8

komputerach i konsolach do gier, takich jak PlayStation czy Xbox. Duża część jest dostępna bezpłatnie, jak wspomniany już Roblox. Większość nie ma fabuły, a jedynie zadania, które trzeba wykonać solo lub drużynowo. Według danych zebranych przez Fundację Dajemy Dzieciom Siłę codziennie lub prawie codziennie w gry wieloosobowe online gra co trzeci nastolatek, natomiast przynajmniej raz w tygodniu niemal połowa badanych. Często się podkreśla, że występują duże dysproporcje między dziewczynami – te grają mniej – a chłopcami, wśród których popularność grania jest dużo wyższa. Dostrzegli to również oszuści, którzy coraz częściej polują na swoje ofiary na czatach dostępnych w grach.

Najstarszym zagrożeniem, z jakim zmagają się rodzice, jest ekspozycja dzieci na nieodpowiednie dla ich wieku treści. Z raportu „Zagrożenia dzieci i młodzieży związane z używaniem internetu", który został przygotowany dla Fundacji Dajemy Dzieciom Siłę, można się dowiedzieć, że aż 22% internautów w wieku 13-18 lat oglądało materiały pornograficzne zawierające treści o charakterze agresji słownej i fizycznej. Wynik ten był porównywalny dla dziewczyn i chłopców. Badania pokazują, że oglądanie treści pornograficznych przez młodych może mieć negatywne skutki psychospołeczne, a poza tym skłaniać do podejmowania ryzykownych zachowań seksualnych. Osoby, które kiedykolwiek miały kontakt z pornografią, trzy razy częściej otrzymują nagie lub półnagie zdjęcia, a także pięć razy częściej wysyłają je innym. Takie zjawisko nazywa się sextingiem, co jest połączeniem angielskich słów sex i texting i oznacza rozmowy o charakterze erotycznym w sieci. Nie jest to niczym nadzwyczajnym, póki chodzi o dorosłych. Gorzej w przypadku dzieci. Badacze w raporcie przygotowanym dla Dajemy Dzieciom Siłę wskazują, że ta część młodych internautów, która codziennie korzysta z dostępu do pornografii, dwukrotnie częściej odbywa wczesną inicjację seksualną, czyli jeszcze przed ukończeniem 15. roku życia.

Sextortion, czyli mamy twoje nagie fotki

– Syn skończył w środę 18 lat. W piątek, kiedy byliśmy z mężem na działce, zadzwonił do mnie późną nocą w panice: „Mamo, oni mają moje zdjęcia". Zapytałam, o jakie zdjęcia chodzi. Odpowiedział: „No, nagie zdjęcia! Takie wstydliwe zdjęcia! Chcą 100 euro, bo inaczej roześlą je do moich kontaktów na Instagramie" – opowiada Gabriela, matka Darka. Okazuje się, że chłopak złapał się na bardzo popularną w ostatnim czasie technikę wyłudzania pieniędzy. To oszustwo często dotyka właśnie dorastających chłopców i nazywa się sextortion. Młodzież w poszukiwaniu wrażeń przemierza strony pornograficzne i trafia na czaty z kamerkami. Następnie uczestniczka czatu zagaduje chłopaka i proponuje wspólne rozbieranie się i masturbację. W wypadku Darka było podobnie. – Dziewczyna zaprosiła go na czat, po kilku zdaniach włączyła kamerkę i zaczęła się rozbierać, zachęcając syna do tego samego. Uprzedziła też wszelkie wątpliwości, narzekając na to, że dźwięk jej nie działa w telefonie – relacjonuje Gabriela i dodaje: – Ktoś nagrał ekran z tego czatu i natychmiast odezwał się do syna, żądając okupu za skasowanie zdjęć. To była ciężka noc, ale uświadomiliśmy z mężem Darkowi, że żadnego rozsyłania fotek tak naprawdę nie będzie.

Gabriela wyposażona w oręż wiedzy o cyberbezpieczeństwie miała rację. Oszuści bazują na poczuciu wstydu i panice, która towarzyszy komunikatowi: „Mam twoje wstydliwe fotki i zaraz wyślę je do twoich kolegów z klasy". Wszystko to jest szyte grubymi nićmi, a podłoże ma głównie w niefrasobliwości nastolatków, którzy nie strzegą dostatecznie dobrze swojej prywatności w profilach społecznościowych. Oszustom łatwo znaleźć sposób na dotarcie do takiej osoby przez polubienie jej zdjęć, a potem rozpocząć szantaż. Jednocześnie sprawiają wrażenie, że włamali się na dysk i mają dostęp do książki adresowej. Dziwnym trafem jednak żądanie okupu z każdą wiadomością topnieje o kolejne 100 zł. Nie przeszkadza to oszustowi zaostrzać ton – już za sekundę wyśle zdjęcia przyjaciołom i bliskim ofiary. Jeśli ta mimo wszystko postanowi nie reagować, najczęściej po prostu nic się nie dzieje. Dlaczego? Po pierwsze, oszustom szkoda czasu, bo wolą zająć się kolejną ofiarą. Po drugie, na tyle znają prawo, by mieć świadomość, że to im się nie opłaci, bo dopiero wtedy ktoś mógłby zgłosić sprawę na policję. Najważniejsze w historii Darka jest to, że nie bał się rozmawiać z bliskimi, kiedy znalazł się w tego typu wstydliwej sytuacji.

Niestety, sextortion dotyka również młodsze dzieci, które wcale nie muszą wchodzić na strony pornograficzne. Wystarczy, że ich wizerunek znajdzie się w sieci. Następnie oprawcy zwracają się do nich, wysyłając wygenerowane za pomocą np. sztucznej inteligencji nagrania z doklejoną twarzą dziecka w scenach z dziecięcą pornografią. Innym sposobem pozyskania zdjęć jest odezwanie się do dziecka przez grę

Aż 22% internautów w wieku 13-18 lat oglądało materiały pornograficzne zawierające treści o charakterze agresji słownej i fizycznej.

Oszuści bazują na poczuciu wstydu i panice towarzyszącej komunikatowi: „Mam twoje wstydliwe fotki i zaraz wyślę je do twoich kolegów z klasy".

eprasa.pl b22ed4e4b8

i udawanie rówieśnika. Później jest prośba o wymianę fotek – i szantaż. Młodemu człowiekowi mówi się, że takie nagranie lub spreparowane zdjęcia zostaną wysłane rodzicom. Krew w żyłach mrozi zaś uświadomienie sobie intencji ludzi, którzy szantażują najmłodszych. Przecież dzieci, nawet jeśli mają jakieś pieniądze, to nie operują dużymi kwotami. A już na pewno nie takimi, które mogłyby zadowolić oszusta. Szantażowane, namawiane są często na spotkanie w tajemnicy, a wtedy mogą paść ofiarą przestępców seksualnych.

– Niestety, musieliśmy odbyć rozmowę z córką o tym, czym jest sextortion, mimo że ma ona dopiero 11 lat. Zapytała nas któregoś razu, dlaczego tylko ona i jeszcze jedna koleżanka w klasie ma zakaz umieszczania swoich zdjęć w internecie i nie może mieć jeszcze Facebooka czy Instagrama. Na szczęście Marysia wykazała się ogromną dojrzałością jak na swój wiek i dotarło do niej bardzo szybko, że z internetem nie ma żartów, a co za tym idzie, najlepiej zachować w nim jak najdłużej anonimowość.

Wszystko byłoby dobrze, gdyby takie rozmowy z dziećmi wystarczały – i nie chodzi tutaj o upór dziecka. Problem stanowi niska świadomość społeczna zjawiska. – Zabroniłem publikować wizerunek mojego syna na stronie i profilach społecznościowych szkoły. Nawet dostałem na początku roku stosowny dokument, w którym mogłem zaznaczyć odpowiednią opcję. Niestety, szkoła nie ma osoby, która by weryfikowała zdjęcia z każdego wydarzenia i zasłaniała dzieci, których rodzice nie udzielili zgody na publikację wizerunku. Pytanie, po co w takim razie to zaoferowali. Chyba tylko po to, żeby dopełnić jakichś odgórnych formalności – irytuje się Eryk, ojciec 12-letniego Leona.

Błędne koło

Dramat polega na tym, że tylko połowa rodziców interesuje się obecnie aktywnością swoich dzieci w internecie. Z raportu NASK „Nastolatki 3.0”: „Większość nastolatków przyznaje, że rodzice nie ustalają z nimi żadnych zasad korzystania z internetu, a jednocześnie niemal 60% rodziców deklaruje, że... takie zasady ustala. Ta wysoka rozbieżność danych może wskazywać na niską świadomość opiekunów dotyczącą tego, co ich dzieci oglądają, słuchają, czytają w sieci”.

Komórka w ręku dziecka przez wielu dorosłych jest dziś traktowana jako swego rodzaju odciążenie od zajmowania się pociechą w czasie wolnym. W raporcie NASK czytamy, że wiek, w którym przeciętne dziecko dostało pierwszy telefon z dostępem do internetu, wynosi 8 lat i 5 miesięcy. A dzisiaj prawie wszystkie usługi, w tym gry, działają tylko wtedy, kiedy smartfon ma dostęp do sieci. Nie pomaga też sytuacja w szkołach, gdzie nadal brakuje edukacji o cyberbezpieczeństwie i o tym, jak radzić sobie z wszechobecnym w internecie hejtem. MEN woli rozważać zakazanie uczniom zagranicznych wyjazdów z rodzicami w trakcie roku szkolnego. Minister Nowacka dała również dzieciom „prezent”, zakazując zadawania im prac domowych, dzięki czemu po szkole mogą jeszcze więcej czasu spędzać przed ekranem.

Na łamach PRZEGLĄDU opisywałem już, że uzależnienie od urządzeń elektronicznych jest jednym z głównych problemów związanych z funkcjonowaniem dzieci i nastolatków w rzeczywistości cyfrowej. Ponieważ na całym świecie jest problem z zachowaniem tzw. higieny życia cyfrowego, kolejne kraje wprowadzają obostrzenia dotyczące korzystania z mediów społecznościowych przez najmłodszych lub pracują nad podobnymi przepisami. Niebezpieczne treści, m.in. na temat samobójstw i śmierci, podsuwane przez szkodliwe algorytmy, trafiają już nawet do dziewięciolatków. Część krajów rozważała albo już wprowadziła tzw. ciszę nocną od social mediów, podczas której niepełnoletni nie mogą z nich korzystać – np. po godz. 22 do 8 rano następnego dnia. Niektóre kraje europejskie wprowadziły odgórny zakaz używania komórek na terenie szkół. W Polsce pozostaje to na razie jedynie decyzją konkretnych placówek edukacyjnych.

Wiek, w którym przeciętne dziecko dostało pierwszy telefon z dostępem do internetu, wynosi 8 lat i 5 miesięcy.

Według dziennika „Rzeczpospolita” w 2023 r. stwierdzono 82 tys. cyberprzestępstw. Mówimy wyłącznie o przypadkach odnotowanych przez policję i tych dotyczących zdarzeń z art. 267, 286 oraz 287 Kodeksu karnego. Dla porównania, w 2019 r. było ich 48,1 tys. Według najnowszych badań CBOS właściwie 100% najmłodszych dorosłych (18-24 lat) korzysta dziś z internetu. Niestety, badania nie obejmują jeszcze młodszej grupy, czyli nastolatków i dzieci. To niedobrze, ponieważ właśnie one są dzisiaj bez kontroli i odpowiednich narzędzi, aby się bronić przed największymi zagrożeniami cyberprzestrzeni.

Kornel Wawrzyniak
k.wawrzyniak@tygodnikprzeglad.pl

5 lipca br. w wieku 91 lat
odeszła od nas na zawsze

dr Eleonora Syzdek

wieloletnia dziennikarka, działaczka lewicy, historyk dziejów najnowszych, pracownik naukowy PAN, członkini SdRP, wierna czytelniczka „Przeglądu”.

O życzliwą pamięć proszą:

Syn Włodzimierz, Synowa Elżbieta oraz grono najbliższych przyjaciół z lewicy.

eprasa.pl b22ed4e4b8

Grzegorz Rudnik

Leśnicy wyklęci

Trzeba mieć tupet, by oskarżyć kierownictwo Ministerstwa Klimatu i Środowiska o działanie na szkodę skarbu państwa

12 lipca, w 951. rocznicę śmierci św. Jana Gwalberta, patrona włoskich lasów i leśników, rodzimi przedstawiciele tej szlachetnej profesji zorganizowali przed kancelarią premiera w Warszawie i w miastach wojewódzkich protest. Dotyczył on decyzji Ministerstwa Klimatu i Środowiska z 8 stycznia br. o wprowadzeniu półrocznego zakazu i ograniczeń w pozyskiwaniu drewna w dziewięciu lokalizacjach w kraju.

Zakaz ten przedłużono do jesieni. W praktyce oznaczało to wstrzymanie wyrębu drzew w najstarszych i najbardziej atrakcyjnych miejscach. Chodziło o Bieszczady oraz puszcze: Borecką, Świętokrzyską, Augustowską, Knyszyńską, Karpacką, Romincką, a także Trójmiejski Park Krajobrazowy, okolice Iwonicza-Zdroju i Wrocławia.

Restrykcje objęły 94 tys. ha lasów położonych na terenie 28 nadleśnictw. Była to realizacja wcześniejszych uzgodnień Koalicji 15 Października.

Decyzję ministry Pauliny Hennig-Kloski z uznaniem przyjęły organizacje ekologiczne, które przez ostatnie osiem lat walczyły z rabunkową wycinką prowadzoną przez dziarskich drwali. Nie spodobała się za to Związkowi Leśników Polskich w Rzeczypospolitej Polskiej. Ruszyli do boju „w obronie polskich lasów", które chcieli wyciąć.

Przy czym mamy tu do czynienia z recydywą. Starym pomysłem w nowym opakowaniu. Rok wcześniej, w kwietniu, politycy Solidarnej Polski rozpoczęli zbieranie podpisów pod projektem obywatelskiej inicjatywy ustawodawczej o tej samej nazwie. Polskim sosnom, świerkom i dębom zagrażać miała Unia Europejska, która chciała jakoby przejąć kontrolę nad rodzimym drzewostanem, ograniczyć wycinkę i doprowadzić do ruiny nasz przemysł drzewny i meblarski. Następnie osłabić gospodarkę i zubożyć społeczeństwo. Liderzy SolPolu planowali zebrać 100 tys. podpisów.

Ze wsparciem Radia Maryja, myśliwych z Polskiego Związku Łowieckiego i ówczesnego kierownictwa Lasów Państwowych (ściśle związanego z formacją ministra Zbigniewa Ziobry) zebrali pół miliona. Sprawą zajął się Sejm, lecz przegrane przez PiS wybory uczyniły tę polityczną inicjatywę nieaktualną.

Józef Kubica, dyrektor generalny Lasów Państwowych (po prawej), w towarzystwie posła PiS Edwarda Siarki.

Między nami ziobrystami

Lasy Państwowe to szczególna, ponadstuletnia instytucja, w której przez ostatnie lata karty rozdawali politycy Solidarnej/Suwerennej Polski. Ministrem środowiska w marcu 2020 r. został Michał Woś – w przeszłości szef gabinetu politycznego Ziobry, od czerwca 2017 r. podsekretarz stanu w resorcie sprawiedliwości – który umiał zadbać o swoich.

Wpływową postacią był też sekretarz stanu w resorcie klimatu i środowiska Edward Siarka. To pełnomocnik rządu ds. leśnictwa i łowiectwa, któremu podlegały Lasy Państwowe. Trzy lata temu na stanowisko dyrektora generalnego Lasów powołał on Józefa Kubicę, radnego sejmiku województwa śląskiego, który w fotelu utrzymał się do roku 2024. Kubica to działacz Solidarnej Polski, uczestnik programów Radia Maryja i Telewizji Trwam oraz pielgrzymek leśników na Jasną Górę. Za jego czasów leśnicy mieli ogromną słabość do ojca dyrektora Tadeusza Rydzyka. W grudniu zeszłego roku przekazali mu w Toruniu „skromny dar" – pół tony dziczyzny. Ekologów Kubica nie lubił, nazwał ich nawet kiedyś „ekoidiotami". W wywiadach udzielanych toruńskiej rozgłośni dowodził, że Polska ma „największą lesistość", a za jego czasów lasy były „dobrze zarządzane". Kandydował w wyborach do Parlamentu Europejskiego i do Sejmu, lecz mimo szerokiej promocji elektorat mu nie zaufał.

eprasa.pl b22ed4e4b8

Kolejną barwną postacią zatrudnioną w Lasach Państwowych był szczeciński radny, obecnie poseł Dariusz Matecki, który wsławił się pracą na rzecz Ministerstwa Sprawiedliwości, a ostatnio przechadzką po dachu Sejmu o brzasku. Zrobiło się o nim głośno, gdy zaplanował „odkażanie" szczecińskich ulic po uczestnikach Marszu Równości.

Dyrektorem Regionalnej Dyrekcji Lasów Państwowych w Gdańsku był do niedawna Bartłomiej Obajtek, prywatnie brat prezesa Orlenu Daniela Obajtka. Pod koniec ubiegłego roku, będąc jeszcze dyrektorem, próbował kupić należące do Lasów Państwowych mieszkanie z bonifikatą wynoszącą 95%. Gdyby mu się udało, za 35 tys. zł zostałby właścicielem zacnego lokum.

Politycznie zorientowani na Sol-Pol leśnicy robili w swojej firmie kariery. Dlatego nie lubią rządu Tuska, a szczególnie ministry Pauliny Hennig-Kloski oraz wiceministra Mikołaja Dorożały, którzy ograniczyli ich apetyty na drewno.

Poza tym Lasy Państwowe były „małym Funduszem Sprawiedliwości", gdyż – jak wynika z audytu przeprowadzonego przez nowe kierownictwo – przekazywały one znaczne środki na konta prawicowych mediów. Tylko tygodnik „Do Rzeczy" otrzymał w latach 2020-2023 ponad 2 400 000 zł. Tygodnik „Sieci" musiał się zadowolić skromniejszą kwotą – 1 123 898 zł. Łącznie na działania medialne w roku wyborczym 2023 Lasy Państwowe wydały ponad 26 mln zł!

Głośna była też tzw. afera bilbordowa. W drugiej połowie 2022 r. dyrektor Kubica zdecydował o uruchomieniu programu postawienia 2 tys. bilbordów na terenach należących do Lasów Państwowych. Budżet – 65 mln zł.

By uniknąć konieczności ogłoszenia przetargu na wykonanie prac, zadanie zlecono spółce Bieszczady z Ustrzyk Dolnych, w której 100% udziałów posiadały Lasy. W efekcie udało się postawić ponad 300 bilbordów. Dziennikarze tropiący tę aferę znaleźli składowane w krzakach konstrukcje, które chyba do niczego się nie nadawały.

Audytorzy zwrócili też uwagę na zorganizowany przez Centrum Informacyjne Lasów Państwowych konkurs o wdzięcznej nazwie „Drewno jest z lasu". Odnotowali, że ponad 11 mln zł trafiło w nie do końca transparentny sposób do parafii, z którymi związani byli politycy Suwerennej Polski. Lasy Państwowe sfinansowały także pikniki w okręgu wyborczym dyrektora Kubicy, ale to drobiazg.

Leśnicy ruszyli do boju „w obronie polskich lasów", które chcieli wyciąć.

Biorąc to wszystko pod uwagę, trudno nie uznać, że trzeba mieć tupet, by dziś oskarżać rządzących o „działanie na szkodę skarbu państwa" i organizować protesty przeciw decyzji, która może ocalić najbardziej wartościowe obszary leśne w naszym kraju.

Nie było nas, był las. Nie będzie nas, jaki będzie las?

Zapomnieliśmy, jak w latach 2015-2018, gdy ministrem środowiska w rządach Beaty Szydło i Mateusza Morawieckiego był prof. Jan Szyszko, ciężki sprzęt rozjeżdżał Puszczę Białowieską. Jak brutalnie władza rozprawiała się z ekologami protestującymi przeciw intensywnej wycince drzew. To w tamtych latach Lasy Państwowe rozkręciły biznes polegający na intensywnym pozyskiwaniu drewna, by osiągać ekstrazyski z jego sprzedaży.

Z danych Głównego Urzędu Statystycznego wynika, że ha lasów z ponad 9,2 mln na terenie naszego kraju. Lasy Państwowe gospodarują na ponad 7,3 mln. Z roku na rok, choć bardzo powoli, zwiększa się również lesistość Polski, czyli powierzchnia lasów. Od roku 1970 do roku 2021 wzrosła ona z 27% do 29,6%. Drzewa wycinano, a na ich miejsce sadzono nowe. Tak też działo się za rządów Prawa i Sprawiedliwości.

Problem w tym, że nie można porównywać stuletnich drzew z sadzonkami, które ledwo co zostały wkopane w ziemię. Jest także ogromna różnica między starym lasem mieszanym a de facto plantacją desek, czyli uprawami sosny pospolitej. Na tym polega dramat obecnych działań Lasów Państwowych, które ciężkim sprzętem rozjeżdżają okolice Bieszczad, Puszczy Knyszyńskiej czy Puszczy Rominckiej.

Na miejscu wyciętych drzew posadzona zostanie sosna, a za sto lat będziemy mieli równo stojące rzędy. To nie las, to plantacja, na terenie której nie będzie tak bogatej flory i fauny jak ta, która występuje dziś w lesie mieszanym.

Do czego prowadzi monokultura leśna, przekonali się Szwedzi. Choć mają 64% powierzchni pokrytej drzewami, zauważyli zmiany, do jakich doszło, gdy w miejsce ściętego starego lasu zasadzili jeden gatunek drzew. Okazało się, że nawet krajobraz się zmienił.

W przeszłości naturalne rodzime lasy składały się głównie z dębów, jesionów, grabów, klonów, lip, wiązów, brzóz, czyli drzew liściastych. Przewaga sosny, nazywanej czasem królową polskich lasów, polega na tym, że rośnie ona szybko, a jej drewno nadaje się dla przemysłu, np. meblarskiego. I względnie łatwo jest je pozyskać. Dlatego dziś ok. 80% nowo sadzonych drzew to „królowe".

W grudniu zeszłego roku leśnicy przekazali ojcu Rydzykowi skromny dar – pół tony dziczyzny.

Przyznam, że mało kto zwraca uwagę na to, jak Lasy Państwowe dbają o przyszłość. Nic mi nie wiadomo o tym, by leśnicy protestowali przeciw takiej polityce. Mam wrażenie, że interesuje ich tylko kasa. Być może dyrektor Lasów rozliczany był z wyników finansowych, więc ciął ile wlezie i co popadnie. Wolno mieć nadzieję, że przygotowany przez „leśników wyklętych" protest skłoni polityków do myślenia i zadawania pytań. O to, jaki będzie las, gdy nas już nie będzie. ■

FOT. TOMASZ JASTRZĘBOWSKI/REPORTER

eprasa.pl b22ed4e4b8

Dziwne przypadki Glapińskiego

Grzechy prezesa Narodowego Banku Polskiego

Andrzej Sikorski

Wyobraźmy sobie prezesa gminnego banku spółdzielczego, który: a) nabył w podejrzanych okolicznościach nieruchomość należącą do biznesmena powiązanego z mafią rosyjską, b) jako minister działał w interesie swojej partii, która uwłaszczyła się na majątku państwowym, c) w raportach służb specjalnych przedstawiany był jako gangster, d) obracał się w szemranym towarzystwie, e) wykorzystywał bank do wspierania swojego środowiska politycznego i jako narzędzie do wzbogacenia się.

A teraz wyobraźmy sobie, że mówimy nie o kierowniku prowincjonalnego banku, lecz o prezesie Narodowego Banku Polskiego, od którego zależy los państwa i milionów Polaków…

Do Sejmu wpłynął wniosek o postawienie szefa banku centralnego Adama Glapińskiego przed Trybunałem Stanu.

Niebezpieczne związki

Na początku 2022 r. mieszkańcy Zalesia Górnego pod Warszawą zauważyli, że do miejscowej rzeki Czarna odprowadzane są nieczystości. Spieniona ciecz wypływała z jednej z trzech rur idących od działki, na której – na terenie Chojnowskiego Parku Krajobrazowego – stoi okazały pałac prezesa NBP Adama Glapińskiego. Suweren zaalarmował dziennikarzy, a po nagłośnieniu sprawy do akcji wkroczyli podlegli rządowi urzędnicy Wód Polskich, którzy orzekli, że Glapiński odprowadzał nie ścieki, a jedynie wody opadowe, i w ekspresowym tempie zalegalizowali samowolę. Choć wszystko zakończyło się dla szefa banku centralnego szczęśliwie, i tak uznał on, że opłata legalizacyjna w kwocie 14 272,56 zł jest zbyt wygórowana jak na jego dochody (tylko w 2022 r. zarobił ponad 1,3 mln zł), i złożył odwołanie, które jednak nie zostało uwzględnione.

Posiadłość w Zalesiu Górnym Adam Glapiński nabył w 2009 r. (był wówczas doradcą prezydenta Lecha Kaczyńskiego) w bardzo nietypowych okolicznościach, bo stał się jej właścicielem w drodze wymiany za dom położony w Wilanowie. Zdaniem ekspertów takie transakcje zdarzają się niezwykle rzadko. Tym bardziej że obie strony zadeklarowały, że nieruchomości mają identyczną wartość 2,2 mln zł, co wedle wyliczeń Grzegorza Rzeczkowskiego (który opisał sprawę w „Gazecie Wyborczej") było mało prawdopodobne. Posiadłość w Zalesiu Górnym mogła być bowiem warta nawet dwukrotnie więcej niż dom w Wilanowie. Wszystko wyglądało tak, jak gdyby Glapiński wzbogacił się na tej transakcji. Ale to nie koniec dziwnych zbiegów okoliczności.

W 2018 r., będąc już prezesem NBP, Glapiński przejął przez tzw. zasiedzenie ponadhektarową działkę graniczącą z podwarszawską posiadłością. Pytany, kiedy i od kogo się dowiedział, że może zasiedzieć działkę, powiedział lakonicznie, że „w urzędzie gminy", ale jest wielce prawdopodobne, że od poprzedniego właściciela.

Poprzednimi właścicielami byli pochodzący z pobliskiego Piaseczna Robert Szustkowski i powiązana z nim spółka Era. Szustkowskiego zlustrował Tomasz Piątek (m.in. w książce „Macierewicz i jego tajemnice"),

eprasa.pl b22ed4e4b8

według którego biznesmen był pod ochroną kontrwywiadu PRL i dzięki temu mógł robić interesy w ZSRR. A współpracował z nie byle kim, bo z Lwem Kwietnojem i Andriejem Skoczem, wpływowymi członkami tzw. mafii sołncewskiej – najpotężniejszej postsowieckiej organizacji przestępczej, związanej z sowieckim, później rosyjskim wywiadem wojskowym GRU. Teraz Kwietnoj i Skocz są kremlowskimi oligarchami. Szustkowski jest zaś współwłaścicielem deweloperskiej Grupy Radius, a pieniądze na uruchomienie biznesu miał otrzymać od rosyjskich protektorów. Prezesem najważniejszych spółek Grupy Radius był natomiast Jacek Kotas, zwany „rosyjskim łącznikiem" Antoniego Macierewicza. W pierwszym rządzie PiS Kotas (choć służby wiedziały, że współpracuje z mafią) dzięki poparciu Macierewicza został wiceministrem obrony narodowej i uzyskał dostęp do najważniejszych tajemnic…

Ale to niejedyne związki prezesa NBP z Szustkowskim, który był też prezesem rosyjskiej filii Montażspecbanku w Polsce. Założyciel i prezes banku to Arkadij Angielewicz, skazany w Rosji w 2000 r. za oszustwo i oskarżony o defraudację milionów dolarów. Oligarcha był główną postacią skandalu obyczajowego, który zakończył karierę ówczesnego ministra sprawiedliwości Rosji Walentina Kowalowa, nagranego z prostytutkami w lokalu należącym do jednej z rosyjskich grup mafijnych. Nagranie przechowywał Angielewicz, który miał również bliskie relacje z ludźmi rosyjskich służb.

Montażspecbank zakończył działalność w Polsce w latach 90., a jego akta powinny być przechowywane w archiwum NBP. Tymczasem, jak ujawnił (wówczas senator) Krzysztof Brejza, akta banku zaginęły. Co się z nimi stało, nie wiadomo… Przypadek?

Partyjne interesy pod państwowym szyldem

Adam Glapiński, zwany też „Glapą", uchodzi za jednego z najwierniejszych towarzyszy Jarosława Kaczyńskiego. Na początku lat 90. wspólnie zakładali Porozumienie Centrum (PC). To dzięki braciom Kaczyńskim Glapiński robił karierę na stanowiskach państwowych, ale zamiast dbać o dobro Polski, bardziej zajmował się zabezpieczaniem interesów własnego środowiska politycznego.

W rządzie Jana Krzysztofa Bieleckiego dzięki politycznym targom „Glapa" został ministrem budownictwa, chociaż, jak twierdził, nigdy „nie marzył o tym stanowisku". To właśnie w nadzorowanym przez niego ministerstwie przygotowano nowelizację ustawy o gospodarce gruntami. Wprowadzono w niej zapis, na podstawie którego Fundacja Prasowa Solidarność (jej założycielem był m.in. Jarosław Kaczyński) przejęła wynajmowane wcześniej budynki w centrum Warszawy o wartości kilkudziesięciu milionów złotych. Pieniądze zostały potem przetransferowane do utworzonych spółek. Tym sposobem dzięki zapobiegliwości Glapińskiego PiS uwłaszczyło się na majątku publicznym i czerpie z tego profity do dziś.

Posiadłość w Zalesiu Górnym Adam Glapiński nabył w bardzo nietypowych okolicznościach w 2009 r., gdy był doradcą prezydenta Lecha Kaczyńskiego.

Glapiński był tak bezczelny, że nie wahał się użyć rządowego stanowiska, by wspomóc kumpli w interesach. W marcu 1991 r. w gmachu Ministerstwa Budownictwa podpisał list intencyjny między prywatną spółką Telegraf (która miała stanowić zaplecze biznesowe PC), założoną m.in. przez Jarosława Kaczyńskiego, a włoską spółką Itelco w sprawie utworzenia w Polsce telewizji. Biznes wyglądał następująco: Włosi dawali projekt i sprzęt, a spółka Kaczyńskiego miała załatwić częstotliwość w Krajowej Radzie Radiofonii i Telewizji. Partyjną inwestycję zamierzano sfinansować z kredytu gwarantowanego przez rząd polski. Ostatecznie nic z tego nie wyszło, ale Kaczyński chciał zbudować sobie telewizję za państwowe pieniądze. Okazało się, że Telegraf był finansowany przez państwowe banki, a nawet ludzi związanych z pezetpeerowską nomenklaturą. W spółkę Kaczyńskiego wpompowano kilka milionów dolarów. Choć sprawa Telegrafu była kryminogenna, nikomu włos z głowy nie spadł. Premier Bielecki zlecił w Ministerstwie Budownictwa kontrolę, a podpis Glapińskiego pod dokumentem dwóch prywatnych spółek uznano za „niefortunny".

Koncesje i siedlisko korupcji

W rządzie Jana Olszewskiego Adam Glapiński dostał tekę ministra współpracy gospodarczej z zagranicą. Nadzorowane przez niego ministerstwo uchodziło za siedlisko korupcji. Glapiński wprowadził bowiem m.in. kontyngenty i koncesje na import paliwa i alkoholu. Poseł Stanisław Węglarz twierdził, że resort „funkcjonuje za kotarą, za którą nie ma żadnego wstępu", dlatego „nie należy się dziwić, że z tym ministerstwem można łączyć szereg różnego typu spraw, które nazywamy korupcją". Grupa posłów KPN okupowała nawet gabinet zastępcy Glapińskiego, Michała Frąckowiaka. Poseł Krzysztof Kamiński domagał się, żeby „skończyć z mafiami i korupcją". Niczego Glapińskiemu nie udowodniono, ale premier Hanna Suchocka za nic w świecie nie chciała mieć go w swoim rządzie, choć Jarosław Kaczyński bardzo naciskał. „Miała chyba informację, że wobec niego jest prowadzone jakieś poważne postępowanie, którego ujawnienie uderzy w cały rząd", mówił „Gazecie Wyborczej" Jan Rokita, bliski współpracownik Suchockiej, ówczesny szef Urzędu Rady Ministrów.

Glapiński nie pozostał dłużny. Opublikował list otwarty do Suchockiej, w którym zarzucał, że „wspiera kampanię pomówień, zniesławiania i oszczerstw prowadzoną przez nieuczciwych przemytników i ludzi uderzających w podstawowe interesy polskiego państwa", a „także na-

FOT. ANDRZEJ IWAŃCZUK/REPORTER, MIROSŁAW STELMACH/REPORTER

eprasa.pl b22ed4e4b8

rusza dotkliwie jego dobre imię oraz prestiż Porozumienia Centrum".

Zeznając w maju 2005 r. przed sejmową komisją śledczą ds. PKN Orlen, Glapiński nie był w stanie wyjaśnić, w jaki sposób przydzielano koncesje. Wyszło na jaw, że jedną z pierwszych otrzymała spółka Solo, która miała prawo sprowadzać bez cła benzynę i oleje silnikowe z Finlandii. W spółce zatrudnił się – po odejściu z rządu – zastępca Glapińskiego Frąckowiak. Solo została później wykupiona przez cypryjską spółkę J&S, o której zrobiło się głośno w związku z aferą Orlenu.

Przed komisją orlenowską Glapiński przyznał się do znajomości z oskarżanym o nadużycia lobbystą Markiem Dochnalem: „Kilkakrotnie go spotkałem, rozmawiałem z nim na różne tematy. Znajomość miała charakter – jak by to określić najdoskonalej – kurtuazyjny, czyli grzecznościowy (...). Byłem raz z żoną w domu u pana Dochnala, na imieninach właśnie albo urodzinach pana Dochnala".

Afera FOZZ

Nazwisko Glapińskiego przewija się też w aferze FOZZ, która dla PiS jest matką wszystkich afer. Oficjalnymi zadaniami funduszu były spłata popeerelowskiego zadłużenia zagranicznego oraz gromadzenie i gospodarowanie środkami finansowymi przeznaczonymi na ten cel. W rzeczywistości jednak z FOZZ wytransferowano kilkadziesiąt milionów złotych do prywatnych kieszeni. Będąc ministrem budownictwa, Glapiński miał namawiać ówczesnego szefa NBP Grzegorza Wójtowicza, aby zatrudnił jako swojego zastępcę Grzegorza Żemka. Żemek, tajny współpracownik WSI o pseudonimie „Dik", był dyrektorem FOZZ i głównym oskarżonym w aferze. Na procesie opowiedział o swoich kontaktach z politykami Porozumienia Centrum. Twierdził, że korzystali z pieniędzy, które im przekazywał za pośrednictwem biznesmena Janusza Heathcliffa Pineiro-Iwanowskiego. Wymieniał również Glapińskiego.

Podobne zeznania w procesie FOZZ złożył dyrektor w NIK Anatol Lawina, który badał aferę FOZZ. Według niego ukradzione z FOZZ pieniądze trafiły m.in. do Porozumienia Centrum. Pośrednikami w transferze środków finansowych do PC mieli być Adam Glapiński, Pineiro-Iwanowski i płk Zenon Klamecki z prezydenckiego Biura Bezpieczeństwa Narodowego, instytucji, na czele której stał wówczas Lech Kaczyński. Wspierani byli przez przyjaciela Kaczyńskich, Macieja Zalewskiego, sekretarza Biura Bezpieczeństwa Narodowego, skazanego później na więzienie za wyłudzenie pieniędzy od szefów Art-B (miały one trafić do spółki Telegraf) w zamian za zapewnienie ochrony przed prokuraturą.

„Jestem w stanie to udokumentować", mówił Anatol Lawina przed sądem. Jednak prowadzący sprawę sędzia Andrzej Kryże (wiceminister sprawiedliwości w pierwszym rządzie PiS) nie był zainteresowany jego zeznaniami.

Lawina zmarł po kolejnym pobiciu przez „nieznanych sprawców". Śledztwo w sprawie jego śmierci zostało umorzone za rządów PiS, gdy prezydentem był Lech Kaczyński, premierem Jarosław Kaczyński, a prokuratorem generalnym Zbigniew Ziobro. Cóż za przypadek…

Inny świadek w procesie FOZZ, Jerzy Klemba, były podpułkownik WSI, opowiadał, jak Żemek wspierał pomysły biznesowe Glapińskiego. Jednym z nich była budowa 5 tys. domków jednorodzinnych. W tym celu miał powstać bank. Klemba spotkał się z Glapińskim i Edwardem Mazurem, amerykańskim biznesmenem ściganym później pod zarzutem zlecenia zabójstwa szefa policji gen. Marka Papały. Według Klemby udziałowców ich wspólnego banku było ok. 20, ale żaden nie znał się na bankowości. Żemek miał zorganizować 5 mln dol. na finansowanie PC, drugie tyle na rozruch banku i 300 mln dol. na budowę domków. Bank jednak nie powstał, bo aresztowano Żemka. Glapiński zaprzeczał tym oskarżeniom, ale jak ujawnił w 2006 r. tygodnik „Polityka", zachowały się listy Glapińskiego w sprawie domków do firmy Beepol-Aruba nadzorowanej przez Żemka i izraelskiego agenta FOZZ Ariela Goldsteina. Pisane były na firmowym blankiecie ministra budownictwa.

W rządzie Jana Olszewskiego Adam Glapiński dostał tekę ministra współpracy gospodarczej z zagranicą. Nadzorowane przez niego ministerstwo uchodziło za siedlisko korupcji.

Pułkownik Lesiak raportuje

O Glapińskim wspominał też w swoich raportach płk Jan Lesiak, szef zespołu specjalnego Urzędu Ochrony Państwa oskarżany o inwigilację partii politycznych. Pisał m.in.: „W marcu 1991 r. za sprawą b. oficera wojskowych służb specjalnych Jerzego Klemby oraz powiązanego z Wojskowymi Służbami Informacyjnymi obywatela kubańskiego Cliffa Iwanowskiego Pineiro czołowy działacz PC Adam Glapiński poznał dyrektora FOZZ Grzegorza Żemka. Znajomość ta miała zaowocować z czasem m.in.: wprowadzeniem Glapińskiego, a także lidera PC J. Kaczyńskiego, w operacje finansowe FOZZ; wykorzystaniem FOZZ dla pozyskiwania funduszy na PC (Żemek oczekiwał w zamian politycznego poparcia PC dla dokonywanych przez siebie manipulacji finansowych); (...) przekazaniem przez Żemka ulokowanych wcześniej za granicą 300 tys. dol. ludziom Glapińskiego".

W innym raporcie płk Lesiak napisał: „Największe zagrożenie dla struktur państwa ma działalność osób związanych z J. Kaczyńskim i A. Glapińskim". PC „charakteryzuje

Choć sprawa Telegrafu była kryminogenna, nikomu włos z głowy nie spadł.

eprasa.pl b22ed4e4b8

Adam Glapiński, zwany też „Glapą", uchodzi za jednego z najwierniejszych towarzyszy Jarosława Kaczyńskiego.

się dużą skutecznością i bezwzględnością, budową struktur mafijnych, metodycznym i konsekwentnym osiąganiem zakładanych celów. Z dotychczasowego niepełnego rozpoznania operacyjnego w ramach sprawy FOZZ wynika, że osoby związane ze spółką Telegraf, (…) wykorzystując swoje wpływy (wysokie stanowiska w Kancelarii Prezydenta i w rządzie), uzyskiwały pieniądze od bogatych przedsiębiorstw, szantażując ich kierownictwa przeprowadzeniem czystki. W gminie Wola za koncesje, lokale itp. pobierane były opłaty na Porozumienie Centrum. (...) PC w ocenie szeregu wpływowych osób było partią o największych perspektywach. Partia ta bardzo dynamicznie budowała infrastrukturę gospodarczą mającą przynosić dochody, z których finansowana miała być jej działalność polityczna. (...) Odejście A. Glapińskiego z funkcji ministra współpracy gospodarczej z zagranicą ograniczyło możliwości jej kontynuowania".

Przed Trybunałem Stanu

To już jednak przeszłość, a nad Adamem Glapińskim zbierają się czarne chmury. Do Sejmu wpłynął wniosek o postawienie szefa banku centralnego przed Trybunałem Stanu. Chodzi o osiem zarzutów, m.in. działanie na polityczne zlecenie i skup obligacji skarbowych gwarantowanych przez skarb państwa za ponad 144 mld zł. Pieniądze te rząd PiS przeznaczył m.in. na różnego rodzaju tarcze antykryzysowe wypłacane w czasie pandemii covidu. Tymczasem Konstytucja RP zabrania pokrywania deficytu budżetowego poprzez zaciąganie zobowiązań w NBP.

Nad Adamem Glapińskim zbierają się czarne chmury. Do Sejmu wpłynął wniosek o postawienie szefa banku centralnego przed Trybunałem Stanu.

Kolejny zarzut to obniżenie przed wyborami parlamentarnymi stóp procentowych, choć nie było ku temu podstaw. A chodziło o to, żeby zmniejszyć raty kredytobiorcom, którzy z wdzięczności mieli zagłosować na PiS (w tym samym czasie NBP prowadził szeroko zakrojoną kampanię medialną, w której chwalił się sukcesami i rzekomym dbaniem o portfele Polaków). Glapiński miał też oszukać ministra finansów, który przygotowywał ustawę budżetową, i poinformował go o spodziewanym zysku NBP w kwocie 6 mld zł. Pieniądze te miały zasilić budżet państwa. Okazało się jednak, że nie było zysku, lecz 17 mld zł straty. Glapiński miał również „wykreować" niezgodny z prawem „mechanizm automatycznego naliczania i wypłacania" sobie każdego roku czterech nagród kwartalnych „w wysokości nieuzależnionej od stopnia zaangażowania Prezesa NBP w realizację zadań określonych w ustawie o NBP, oraz od wyników osiąganych przez NBP, czyniąc je w istocie stałym składnikiem jego wynagrodzenia". Czyli zgodnie z powiedzeniem „czy się stoi, czy się leży, dwa tysiące się należy". Tyle że w przypadku Glapińskiego chodziło o setki tysięcy złotych. Ostatnie zarzuty dotyczą angażowania się w agitację polityczną po stronie PiS (m.in. uczestnictwa w partyjnych spotkaniach na Nowogrodzkiej), atakowania ówczesnej opozycji z jej liderem Donaldem Tuskiem na czele, a także zatrudniania działaczy PiS w NBP.

Glapińskiemu na pomoc ruszyli posłowie PiS, którzy w grudniu 2023 r. zaskarżyli do Trybunału Konstytucyjnego zapis, zgodnie z którym już sama uchwała Sejmu o postawieniu Adama Glapińskiego przed Trybunałem Stanu zawiesza go w czynnościach prezesa NBP. Upolityczniony trybunał Julii Przyłębskiej wydał postanowienie zakazujące Sejmowi podejmowania takiej uchwały, ale marszałek Szymon Hołownia stwierdził, że go nie wykona. Potem, w marcu 2024 r., posłowie PiS złożyli kolejny wniosek do TK, tym razem kwestionując przepisy umożliwiające oskarżenie i zawieszenie prezesa NBP, na podstawie ustawy o Trybunale Stanu. Nazywana „kucharką Kaczyńskiego" mgr Przyłębska jeszcze sprawy nie rozpatrzyła, ale można się spodziewać, co orzeknie.

Andrzej Sikorski

W artykule „Układ zamknięty" (PRZEGLĄD 28/2024) opisaliśmy aferę łapówkarską szefa KNF Marka Chrzanowskiego, za którą być może, jak wskazują poszlaki, stał Adam Glapiński. Jednak prokuratura nie wyjaśniła wątku prezesa NBP.

eprasa.pl b22ed4e4b8

Małżeństwo z potrzeby chwili

Nowy Front Ludowy wygrał wybory we Francji. I co z tego?

Mateusz Mazzini

Żeby ukazać pełnię sensacji, jaką były wyniki głosowania do Zgromadzenia Narodowego z ubiegłej niedzieli, trzeba spojrzeć w sondaże i skomentować to, czego w nich nie było. A brakowało tam przez całą kampanię, wliczając w to drugą turę, jakiegokolwiek śladu nadziei na triumf lewicy. Dopiero na samym finiszu, w piątek przed weekendem wyborczym, pojawiło się pierwsze badanie wskazujące na możliwą wygraną Nowego Frontu Ludowego. To był jeden ze scenariuszy, realny tylko wtedy, kiedy do prognozowanych przez firmę Ipsos maksymalnie 185 mandatów dla Frontu dodawało się inną maksymalną wartość, 18 miejsc dla kandydatów lewicowych niezrzeszonych w szerokiej koalicji. To był jednak wariant wysoce nieprawdopodobny, wszystko wskazywało na bezsprzeczną wygraną skrajnej prawicy spod znaku Zjednoczenia Narodowego – choć bez uzyskania większości.

Lewicowa rodzina kampanijna

Dlaczego sondażownie tak bardzo się pomyliły? Zwłaszcza biorąc pod uwagę trafne wyniki exit poll po pierwszej rundzie? To temat na osobny tekst, zaważyły wysoka frekwencja, mobilizacja centrum i oczywiście taktyczne wycofywanie się z drugiej tury ponad 200 kandydatów antyprawicowych – tak ich nazwijmy, nic innego ich przecież nie łączyło. Znacznie ciekawsza jest jednak geneza nie tyle wygranej Frontu, ile w ogóle powstania owej koalicji, o której Raphaël Glucksmann, jeden z jej liderów, sam mówił dziennikarzom, że to małżeństwo z rozsądku, w którym nie ma miłości. Z jednej strony, fascynować może heterogeniczność partii, które weszły w skład Frontu: zielonych, socjalistów, komunistów i tworu wielce kontrowersyjnego, formacji La France insoumise (Francja Niepokorna), kierowanej przez Jeana-Luca Mélenchona. Z drugiej, trudno w ogóle zrozumieć, jak lewica potrafiła nie tylko się zjednoczyć, ale też wygrać, skoro od lat jej bardziej tradycyjne części są w odwrocie, a zieloni w niedawnych wyborach europejskich mieli tak fatalny wynik, że ryzykowali wypadnięcie z politycznego obiegu. 5,5% głosów dało zaledwie pięć mandatów w Brukseli, aż o osiem mniej niż w poprzednim rozdaniu – i to tylko dzięki całkiem łaskawej dla małych partii francuskiej ordynacji wyborczej w tym głosowaniu. Można oczywiście tłumaczyć to trendem ogólnoeuropejskim, pocieszać się, że proekologiczni sąsiedzi z Niemiec dostali jeszcze większego łupnia i spadli z wyższego konia, bo przecież są w koalicji rządzącej. Nie zmienia to jednak faktu, że zwłaszcza w świetle wielkich sukcesów Zjednoczenia Narodowego rozczłonkowana jeszcze wtedy lewica wyglądała marnie.

To nie jest polityczna archeologia. Od tych wydarzeń minął zaledwie nieco ponad miesiąc, a nagle optyka zmieniła się całkowicie. 182 mandaty w parlamencie. 9 mln głosów w pierwszej turze, 7 mln w drugiej. Etykieta poskramiaczy smoków, tych, którym udało się zatrzymać nieodwracalny już według wielu marsz skrajnej prawicy po władzę. Oraz dominująca pozycja względem Ensemble, centrowej partii, której politycznym patronem jest Emmanuel Macron. Wysłuchując bowiem powyborczych komentarzy ze strony liderów Frontu, trudno było stwierdzić jednoznacznie, z czego cieszyli się bardziej: z pokonania Marine Le Pen i Jordana Bardelli, czy z ustawienia się ponad Macronem, którego od lat opisują jako zło wcielone i źródło wszystkich problemów Francji.

Żeby zrozumieć ten fenomen, zacząć trzeba od dokładniejszej analizy jego najważniejszych części składowych – zarówno pod względem personalnym, jak i programowym. Tylko wtedy uda się w pełni zrozumieć, że choć lewica stworzyła na potrzeby kampanii wyborczej zgraną rodzinę, jest to rodzina wyłącznie kampanijna. W warunkach wyborczego wzmożenia projekt zadziałał doskonale, ale mimo wszystko dla sporej części elektoratu był to bardziej ruch anty niż pro. Pokazały to zresztą wyniki drugiej tury, w której – biorąc pod uwagę oczekiwania i pierwsze wyniki – najwięcej zyskali centryści. Mapy wyborcze pokazały, że strategia wycofywania się przed dogrywką kandydatów rywalizujących z ludźmi Le Pen i Bardelli zdecydowanie pomogła partii Macrona – bardziej niż Frontowi. Lewica awansowała z miejsca drugiego na pierwsze, ale Ensemble z trzeciego na drugie. Częściowo jest to też wina samej skrajnej prawicy, która nie potrafiła np. zbudować przekonującego aliansu z siłami republikańskimi. Zamiast partnersko, rozmawiała z nimi z pozycji siły. Robił to przede wszystkim Jordan Bardella, który chwilę po pierwszej turze wyborów powiedział, że „odpowiedzialność za państwo",

> Strategia wycofywania się przed dogrywką kandydatów rywalizujących z ludźmi Le Pen i Bardelli bardziej pomogła partii Macrona niż lewicy.

eprasa.pl b22ed4e4b8

O wygranej Nowego Frontu Ludowego zadecydowała wysoka frekwencja, mobilizacja centrum i wycofywanie się z drugiej tury kandydatów antyprawicowych.

czyli stanowisko premiera, weźmie wyłącznie, jeśli jego partia zdobędzie stabilną, samodzielną większość. Należało to czytać jako miękki szantaż wobec wyborców prawicy, którzy w pierwszej rundzie poparli kogoś innego. Albo zagłosujecie teraz na mnie, albo czeka was chaos i paraliż w postaci braku rządu – zdawał się mówić 28-letni szef Zjednoczenia Narodowego. Cóż, wyborcy ewidentnie go nie posłuchali.

Fundamentalne rozbieżności

Jednak problem dalszego funkcjonowania Nowego Frontu Ludowego nie zniknął wraz z wyborczym zwycięstwem. Jego liderzy, zarówno bardziej radykalny Mélenchon, jak i teoretycznie skłonny do negocjacji Raphaël Glucksmann, stawiają sprawę dość jednoznacznie. To oni mają najwięcej posłów, a układać się z Macronem nie zamierzają. Mélenchon urzędującego prezydenta otwarcie nie znosi, startował przeciwko niemu w wyborach prezydenckich w 2022 r. Tamta kampania była nadspodziewanie udana, kreatywna, znacznie żywsza od tej prowadzonej nie tylko przez samego Macrona, ale też przez Marine Le Pen. Mélenchon, wracający trochę z politycznych zaświatów, chwalony był za zdolność zmobilizowania młodego elektoratu, doskonałe wykorzystanie nowych technologii (na scenie na jego wiecach wielokrotnie pojawiał się jako hologram), wreszcie – za zbudowanie kapitału politycznego na porażkach samego prezydenta. Wielu Francuzów, zwłaszcza z pokolenia 20- i 30-latków, rozczarowało się Macronem w jego pierwszej kadencji i ochoczo przeniosło do obozu progresywnego, któremu wówczas przewodził Mélenchon. Choć Front formalnie nie ma lidera, 72-latek jest też de facto najważniejszym politykiem w dzisiejszej lewicowej koalicji. Głównie dlatego, że to właśnie La France insoumise wprowadziła w ramach Frontu najwięcej parlamentarzystów. Jej reprezentacja liczy 78 osób, przy 65 mandatach socjalistów, 33 zielonych, dziewięciu komunistów oraz trzech miejscach zajmowanych przez lewicowych kandydatów niezrzeszonych. I chociażby z tego powodu jakąkolwiek koalicję z centrystami można w tej chwili włożyć między bajki – bo ani Mélenchon nie poda ręki Macronowi, ani Macron Mélenchonowi.

Nie chodzi już nawet o to, że obu panów różni wszystko: wiek, podejście do uprawiania polityki, ocena rzeczywistości, stosunek do aparatu partyjnego i samego elektoratu. Nie ma między nimi szans na porozumienie również dlatego, że mają skrajnie odmienne stanowiska na tematy absolutnie fundamentalne. Populistyczna lewica buduje swój program ekonomiczny na sprzeciwie wobec reformy podwyższającej we Francji wiek emerytalny, a dla Macrona był to projekt kluczowy, jeden z najważniejszych w całej dekadzie. Od jego przedstawienia zaczął się też dramatyczny zjazd poparcia w sondażach – dzisiaj, według średniej z badań Ipsos, dobrze o prezydencie i jego pracy wypowiada się jedynie 29% Francuzów. Jeszcze większa rozbieżność poglądów dotyczy polityki zagranicznej, która wprawdzie o wynikach wyborów krajowych nie decyduje, ale w wypadku Pałacu Elizejskiego ma znaczenie większe niż w innych krajach Europy. Macron jest politykiem otwarcie proukraińskim, natomiast w szeregach ugrupowania Mélenchona sporo jest polityków, którzy chcieliby negocjacji pokojowych z Rosją. Jemu samemu zarzuca się

FOT. AFP/EAST NEWS

eprasa.pl b22ed4e4b8

apologetyczne wypowiedzi na temat Hezbollahu, a jego partia (podobnie jak zdecydowana większość członków Frontu) odmawia uznania Hamasu za organizację terrorystyczną. To problem, bo nad Sekwaną mieszka prawie pół miliona Żydów, najwięcej w Europie. Macron zaś w tym konflikcie opowiedział się po stronie Izraela. Trzy miesiące temu francuskie lotnictwo wzięło udział w operacji ochrony izraelskiego nieba przed rakietami irańskimi. Cała lewica nie pali się też do zajmowania przywódczej pozycji w Unii Europejskiej, którą uważa za zbiurokratyzowanego molocha – pod tym względem akurat Front niewiele różni się od Zjednoczenia Narodowego. Dla Macrona z kolei kluczowa rola w polityce europejskiej jest oczywista i wynika nie tylko z jego ambicji, ale też z poglądu na znaczenie prezydenta Francji.

Egzamin dla zwycięzców

Teoretycznie lewica i Macron mogliby tym tortem się podzielić, bo przy nieuniknionej w obecnych warunkach kohabitacji pałac prezydencki otrzymałby realizację swojej konstytucyjnej prerogatywy, jaką jest dyplomacja i udział w szczytach międzynarodowych. Problem w tym, że lewica uznałaby to za oddanie pola. Nie przez przypadek Glucksmann mówił po wyborach, że Francuzi zasługują na coś więcej niż wybór pomiędzy faszyzmem Le Pen a neoliberalizmem Macrona. On sam, doświadczony europarlamentarzysta, były wiceprzewodniczący frakcji Socjalistów i Demokratów w Brukseli, chętnie by sięgnął po kawałek tego dyplomatycznego tortu. Również dlatego, że ma spore rozeznanie w sprawach wschodnich. Jego partnerką przez lata była Ekaterina Zguladze, gruzińsko-ukraińska polityczka, dzięki której Glucksmann znalazł się w gronie doradców Micheila Saakaszwilego.

Ten czołowy polityk socjalistów ma bardzo ciekawą karierę i poglądy, które sprawiają, że bliżej mu do Macrona niż innym politykom Frontu. Jest zdecydowanie proukraiński, konsekwentnie odmawia też nazwania działań izraelskiej armii w Gazie ludobójstwem. Głośno krytykuje Chiny, mówiąc o łamaniu praw człowieka w wypadku mniejszości ujgurskiej – rząd w Pekinie po jego wystąpieniach w Parlamencie Europejskim uznał go za persona non grata. Glucksmann ostrożnie wypowiada się także o konieczności podniesienia podatków, stara się być głosem rozsądku w debacie o reformie emerytalnej. A dodatkowo jest młody, ma zaledwie 44 lata.

Na pierwszy rzut oka wydaje się więc idealnym kandydatem na kogoś, kto połączy skrajności antyprawicowego środowiska nad Sekwaną. Tylko że równie dobrze może być nie do strawienia dla nikogo. W bardziej radykalnych kręgach lewicowych słychać obawy, że Glucksmann jest zbyt podobny do Macrona w jego pierwszych latach działalności. Młody, sprawny, technokratyczny, progresywny w deklaracjach, z silnym imperatywem aktywności międzynarodowej. Nie jest zatem wykluczone, że w wypadku przejęcia władzy okaże się takim samym rozczarowaniem dla wyborców lewicowych jak urzędujący prezydent. Poza tym dla części elektoratu Frontu jest wciąż zbyt mało znany. Wreszcie – ma relatywnie słabe zaplecze, nie jest nawet liderem Partii Socjalistycznej. Do wyborów europejskich szedł w ramach innego aliansu: własnego małego ugrupowania, Place Publique (Miejsce Publiczne), które weszło na wspólną, szeroką listę socjalistyczną. W momencie, w którym liczą się wszystkie szable, Glucksmann zdany jest na łaskę innych. A ci, nawet w jego własnej koalicji, nie zawsze są mu przychylni.

Populistyczna lewica buduje swój program ekonomiczny na sprzeciwie wobec reformy podwyższającej we Francji wiek emerytalny.

Powołanie nowego rządu we Francji przy obecnej parlamentarnej arytmetyce będzie więc bardzo trudne. Macron co prawda obiecał długie negocjacje, które mają być zwieńczone powstaniem szerokiego sojuszu republikańskiego, ale co to ma oznaczać – nie wie nikt, najpewniej nawet on sam. Nowy Front Ludowy będzie oczywiście próbował wystawiać swojego kandydata na premiera, ale pewnie tylko po to, żeby pokazać, że inni go nie akceptują, więc paraliż w Zgromadzeniu Narodowym nie jest ich winą. Do końca lata nie ma co spodziewać się przełomu. Prezydent nie zaangażuje się w negocjacje krajowe, zbyt dużo dzieje się na arenie międzynarodowej. Lewica z kolei musi najpierw ustalić swoje priorytety. Te programowe będą tak samo ważne jak te personalne. Dopiero teraz zaczyna się prawdziwa polityka. To, jak cztery główne bloki poukładają wzajemne relacje, będzie kluczowe dla stabilności Francji i całej Europy. Oraz zadecyduje, czy zwycięstwo w wyborach było realnym, własnym sukcesem, czy może jednak przejdzie do historii jako coś na kształt mającego niewielkie w sumie konsekwencje dla lewicy antytriumfu Marine Le Pen i Jordana Bardelli.

Mateusz Mazzini
m.mazzini@tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl b22ed4e4b8

Z Galicji

Jan Widacki

Od Paki do paki

Nauka, a ściślej nauczanie stało się towarem. Uczelnie niepubliczne to takie sklepy, w których sprzedaje się towar, jakim jest edukacja z wieńczącym ją tytułem licencjata lub magistra. Po roku 1989 powstało wiele takich uczelni prywatnych, zwanych urzędowo „niepublicznymi". Znajdują się wśród nich sklepy luksusowe, które są już uniwersytetami nieustępującymi w niczym uniwersytetom państwowym, uczelnie supermarkety, uczelnie sklepiki, a nawet uczelnie stragany.

To bardzo dobrze, że takie uczelnie powstały, dobrze, że działają, kształcą w skali kraju tysiące młodych ludzi. W Polsce nie było takiej tradycji, uniwersytety zawsze były z zasady państwowe, wyjątek stanowił Katolicki Uniwersytet Lubelski – uczelnia kościelna, ale od ponad stu lat na prawach uczelni państwowych. W okresie międzywojennym działała też niepubliczna Wolna Wszechnica Polska. W USA czy w Japonii jest więcej uniwersytetów prywatnych niż państwowych, w dodatku te prywatne należą do najlepszych. Dość przypomnieć, że przodujący od lat we wszystkich rankingach Uniwersytet Harvarda jest uczelnią prywatną.

Problem w tym, by państwo kontrolowało, czy w owych uczelniach sklepach sprzedaje się pełnowartościowy towar. Nie chodzi tylko o to, czy płacący za naukę student nie jest oszukiwany, aczkolwiek i to nie jest bez znaczenia. Myślę o rzeczy znacznie ważniejszej – czy wykształceni na tych uczelniach lekarze, psycholodzy bądź prawnicy rzeczywiście będą gotowi do wykonywania swoich zawodów. Czy przeciwnie, jako niedouczeni będą niebezpieczni dla klientów lub pacjentów, szkodliwi społecznie.

Nie tak dawno pisałem o tym, że ocena jakości kształcenia na polskich uczelniach wystawiana przez Polską Komisję Akredytacyjną jeśli nie jest w dużej mierze fikcją, to w każdym razie jest nieefektywna. Koncentruje się na studiowaniu wykreowanej biurokratycznie rzeczywistości papierowej, bez sprawdzenia nawet, jak ta papierowa rzeczywistość ma się do faktycznego stanu rzeczy. Zastrzeżenia i uwagi pokontrolne dotyczą z zasady nieistotnych drobiazgów dostrzeżonych przez kontrolerów w dokumentacji i często nijak się mają do realnego poziomu kształcenia, którego rewizorzy Paki na dobrą sprawę nie badają, a czasem, obawiam się, nie potrafią zbadać i ocenić.

Z przerażeniem patrzę, jak rozmaite niepubliczne uczelnie z kategorii sklepików czy straganów z edukacją otwierają coraz to nowe kierunki studiów z błogosławieństwem Paki. Nie mając swojej kadry, podzlecając prowadzenie zajęć pracownikom innych uczelni, tworzą w dodatku rozsiane po kraju filie. Na mój felieton na ten temat odpowiedziała polemicznym listem do redakcji (PRZEGLĄD nr 28/2024, s. 37) pani podpisująca się pseudonimem „Rewizorka". Autorka listu nie kwestionuje mojego twierdzenia, że rewizorzy Paki „nie oceniają, czy wykład jest na odpowiednim poziomie akademickim ani jak się ma do aktualnego stanu nauki", „sprawdzą za to, czy wykładu z prawa nie prowadzi magister filozofii, czy wykład nie miał być ćwiczeniami, tylko upchnięto studentów po 50 w grupie". W dalszej polemice ze mną twierdzi też, że „fakt, że w przypadku Collegium Humanum ktoś posunął się do korupcji, świadczy, że system stawia jasne wymagania, które przestępcy próbowali obejść, aby dalej prowadzić intratny biznes". No, niekoniecznie. Ale po kolei.

Czy do zbadania, czy wykładu z prawa nie prowadzi magister filozofii, naprawdę potrzeba grupy kilku rewizorów w stopniu doktora habilitowanego i z tytułami profesorskimi? Nawiasem mówiąc, nawet tego Paka nie sprawdza. Sprawdza bowiem nie to, kto faktycznie prowadzi wykład, tylko kto figuruje w dokumentacji. W przypadku Collegium Humanum nie zweryfikowano nawet, jakie naprawdę wykształcenie ma rektor ani czy zajęcia na pewno się odbywają, a wydano pozytywną opinię.

Już po moim felietonie i po opublikowaniu polemiki „Rewizorki" CBA zatrzymało rektora i prorektora Wyższej Szkoły Bezpieczeństwa Wewnętrznego w Łodzi, wykładowcę Akademii Górnośląskiej w Katowicach oraz pracownika Wyższej Szkoły Bezpieczeństwa Publicznego i Indywidualnego „Apeiron" w Krakowie za wręczanie korzyści majątkowych „osobom reprezentującym Polską Komisję Akredytacyjną" w kwotach od 15 tys. do 200 tys. zł „dla zapewnienia uzyskania pozytywnych rozstrzygnięć dla tych uczelni". Jak podaje CBA, łącznie 19 osobom postawiono 99 zarzutów korupcyjnych. Przypadek Collegium Humanum nie jest więc wypadkiem przy pracy. To symptom chorego systemu „oceny jakości kształcenia na polskich uczelniach". Ten chory system powinien być jak najprędzej zmieniony. ■

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl b22ed4e4b8

DLACZEGO POLSKA PRZEGRAŁA WOŁYŃ

Trzeba nazwać zbrodnie i zbrodniarzy po imieniu, potępić ich; ekshumować i upamiętnić ofiary. Tylko tyle

Bohdan Piętka

80. rocznica ludobójstwa wołyńsko-małopolskiego w 2023 r. pokazała, że Ukraina nie zamierza zamknąć tego tragicznego rozdziału historii poprzez zgodę na ekshumację i upamiętnienie ofiar. Nie domagamy się bowiem od Ukrainy, by przyjęła polską ocenę OUN/UPA i jej zbrodni, które konsekwentnie neguje. Chcemy jedynie ekshumacji i pogrzebania ofiar, tak jak to jest przyjęte w kulturze europejskiej. To minimalny warunek symbolicznego zamknięcia tej tragicznej karty w stosunkach polsko-ukraińskich. W kręgach decydenckich na Ukrainie najwyraźniej panuje jednak przekonanie, że ujawnienie w drodze ekshumacji skali zbrodni OUN/UPA na Polakach podważyłoby ukraińską politykę historyczną, która kreuje nacjonalistyczny mit w miejsce prawdy. Premier Morawiecki, składający 7 lipca 2023 r. wiązankę kwiatów w pustym wołyńskim polu – miejscu po wymordowanej przez UPA polskiej wsi Ostrówki – stał się symbolem polskiej bezradności i bezsilności wobec nacjonalistycznej polityki historycznej Ukrainy.

Teraz – w 81. rocznicę krwawej niedzieli – nie było zapewne nawet wiązanki kwiatów w pustym polu. Zapanowała przed tą rocznicą głucha cisza świadcząca o tym, że władze polskie nie zamierzają podnosić „drażliwych kwestii". Tę narrację słyszymy nieprzerwanie od ponad trzech dziesięcioleci. Pewien prawicowy publicysta określił przed rokiem historyczny dialog polsko-ukraiński jako „dialog dziada z obrazem", przywołując powiedzenie „mówił dziad do obrazu, a obraz ani razu". Trudno nie przyznać mu racji. Skąd jednak wzięła się „dziadowskość" polskiej polityki wobec Ukrainy, i to nie tylko w kwestiach historycznych?

•

U zarania III RP elity postsolidarnościowe – mam na myśli ówczesną Unię Demokratyczną, chociaż późniejsza prawica i lewica postkomunistyczna też przyjęły ten sposób myślenia – uznały, że największe zagrożenie dla Polski perspektywicznie będzie stanowić Rosja, ponieważ nigdy nie pogodziła się z niepodległością Polski (od redakcji: autor szerzej o tym pisze w swojej książce „Polska-Ukraina. Polityki historyczne").

Było to pozornie zgodne ze szkołą myślenia politycznego Jerzego Giedroycia i Juliusza Mieroszewskiego. Powołując się na tę szkołę, uznano, że należy szukać współpracy z państwami postsowieckimi położonymi między Polską a Rosją (w pierwszej kolejności z Ukrainą) i wspierać je. Realizacja tego założenia wyszła jednak daleko poza to, co postulowali Giedroyc i Mieroszewski, którzy nie traktowali swojej koncepcji jako bezwzględnie antyrosyjskiej. Wcielenie w czyn ich postulatów przez kolejne ekipy III RP sprowadziło się do bezwarunkowego spełniania przez stronę polską oczekiwań strony ukraińskiej. Tak ułożyły się stosunki polsko-ukraińskie na przestrzeni minionego 30-lecia, zwłaszcza po przewrotach politycznych na Ukrainie w 2004 i 2014 r. W Kijowie doskonale wiedzą, że dostaną od Polski wszystko, czego sobie zażyczą, więc nie muszą iść na żadne kompromisy. Także w polityce historycznej.

Czynnikiem obciążającym stosunki polsko-ukraińskie była i jest kwestia oceny historycznej i rozliczenia nacjonalizmu ukraińskiego oraz jego zbrodni. Postsolidarnościowe elity Unii Demokratycznej, a potem kolejne ekipy rządzące III RP przyjęły model rozwiązania tego problemu, który od razu ustawił asymetrycznie polsko-ukraiński dialog historyczny i niwelował szansę realizacji naszych postulatów historycznych. Uznano mianowicie, że należy posypać głowę popiołem za niewspółmiernie mniejsze polskie winy wobec Ukraińców, a wtedy strona ukraińska sama dojrzeje do wzajemności w postaci potępienia zbrodni OUN/UPA. Dlatego już na początku sierpnia 1990 r. Senat z inicjatywy polityków późniejszej Unii Demokratycznej z Jackiem Kuroniem na czele potępił akcję „Wisła". Potem strona polska potępiała ją jeszcze wielokrotnie, przyjmując narrację ukraińską, że była to czystka etniczna na ludności ukraińskiej, a nie akcja antyterrorystyczna wobec UPA.

W Kijowie doskonale wiedzą, że dostaną od Polski wszystko, czego sobie zażyczą, więc nie muszą iść na żadne kompromisy. Także w polityce historycznej.

eprasa.pl b22ed4e4b8

Prezydenci Aleksander Kwaśniewski i Leonid Kuczma w Pawliwce w 60. rocznicę Rzezi Wołyńskiej,11 lipca 2003 r.

Prezydent Lech Kaczyński posypywał głowę popiołem za zbrodnię w Pawłokomie, następnie posypywano głowę popiołem za pacyfikację Sahrynia itd. Strona ukraińska wciąż jednak nie posypywała głowy popiołem za ludobójstwo dokonane przez OUN/UPA na Wołyniu i w Małopolsce Wschodniej. W Kijowie polskie gesty uznano bowiem za przejaw słabości i jednostronne przyznanie przez Polskę racji ukraińskiej polityce historycznej.

•

Powstała w 1991 r. niepodległa Ukraina od początku miała problem z oceną historyczną OUN/UPA, co w Polsce bagatelizowano na zasadzie „oni przecież dojrzeją". Środowiska postbanderowskie, które na emigracji spreparowały fałszywą mitologię OUN/UPA jako ruchu niepodległościowego bez skazy, konsekwentnie przeszczepiały tę narrację na Ukrainę już w latach 90. Po przewrotach politycznych z 2004 i 2014 r. spreparowana narracja nacjonalistyczna, heroizująca OUN/UPA oraz dywizję SS „Galizien" i wykluczająca jakąkolwiek ich negatywną czy choćby pozornie obiektywną ocenę, stała się fundamentem państwowej polityki tożsamościowej Ukrainy. Skutkowało to położeniem na łopatki polsko-ukraińskiego dialogu historycznego, co przyznali ze strony polskiej zarówno historycy IPN, jak i historycy akademiccy, jak również zakazem prac poszukiwawczych i ekshumacyjnych ofiar zbrodni OUN/UPA. Kolejne polskie ekipy rządzące oficjalnie nie dostrzegały charakteru „pomarańczowej" i pomajdanowej polityki historycznej na Ukrainie (znów na zasadzie, że przecież „oni kiedyś dojrzeją"), a swoją agresję kierowały przeciwko tym środowiskom w Polsce, które protestowały przeciw gloryfikacji przez Ukrainę najbardziej zbrodniczych postaci OUN/UPA i negowaniu ich zbrodni.

Żyjącym jeszcze świadkom i potomkom ofiar zbrodni OUN/UPA władze w Warszawie ciągle tłumaczyły, że jeszcze nie teraz, że nie można zbrodni ukraińskich nazywać ludobójstwem, że nie można domagać się ich potępienia przez stronę ukraińską, bo to podważa dwustronne stosunki i polską rację stanu. Tę narrację powtarzano przy okazji kolejnych okrągłych i półokrągłych rocznic krwawej niedzieli. Właściwie tylko w 2003 r. doszło do dalece niezadowalającej próby potępienia zbrodni OUN/UPA podczas wspólnych polsko-ukraińskich uroczystości na Wołyniu z udziałem prezydentów Aleksandra Kwaśniewskiego i Leonida Kuczmy. Stało się to jednak możliwe dzięki temu, że prezydentem Ukrainy był „postsowiecki" Kuczma. Bazujący na nacjonalistycznym micie i jednocześnie uwielbiani przez warszawskie elity prezydenci Juszczenko i Poroszenko już na takie gesty się nie zdobyli.

•

Środowiska kresowe musiały z nastawionymi proukraińsko władzami polskimi walczyć o prawie każde upamiętnienie ofiar zbrodni OUN/UPA na terenie Polski, a najbardziej heroiczny bój stoczyły w latach 2013-2016 o nazwanie tych zbrodni przez stronę polską ludobójstwem i ustanowienie w dniu 11 lipca Narodowego Dnia Pamięci Ofiar Ludobójstwa dokonanego przez nacjonalistów ukraińskich na obywatelach II Rzeczypospolitej. Politycy polscy, widząc, że są bezradni wobec polityki historycznej swojego strategicznego partnera na Wschodzie, podejmowali nawet w tamtym czasie próby relatywizowania zbrodni ukraińskich lub przypisywania odpowiedzialności za nie Rosji (zgodnie z narracją epigonów OUN/UPA). Na przykład Bronisław Komorowski stwierdził w 2008 r., że „za Wołyń odpowiadają Sowieci", Antoni Macierewicz zaś uznał w 2016 r., że „za tą straszliwą zbrodnią stoi Rosja".

Przyczyny potykania się polityków polskich o własne nogi trafnie podsumował prof. Grzegorz Mazur. W doskonałej pracy poświęconej roli ruchów skrajnie nacjonalistycznych w kształtowaniu polityki historycznej Ukrainy stwierdził on: „W różnych

eprasa.pl b22ed4e4b8

Prezydenci Andrzej Duda i Wołodymyr Żeleński składają hołd ofiarom Wołynia w Łucku na Ukrainie, lipiec 2023.

opracowaniach dotyczących obecnych wzajemnych stosunków polsko-ukraińskich powtarzana jest od lat teza, że są one bardzo dobre i rozwijają się od lat jak najlepiej. Nie jest to tak do końca oczywiste.

Przede wszystkim Polska od lat 1989-1990 posiada doktrynę zagranicznej polityki wschodniej, stworzoną daleko wcześniej przez paryski Instytut Literacki, gdzie czołowe role odgrywali Jerzy Giedroyc i Juliusz Mieroszewski. Ten ostatni w 1972 r. wyłożył całość swoich poglądów na temat polskiej polityki wschodniej, weszły one następnie do polskiego dyskursu politycznego pod nazwą ULB (Ukraina-Litwa-Białoruś). Program ten zakładał traktowanie narodów zamieszkujących tereny pomiędzy Rosją a Polską w charakterze podmiotu, a nie przedmiotu, odejście od polskiego myślenia mocarstwowego, rezygnację z postulatu odzyskania dawnych ziem wschodnich, przy **jednoczesnym zachowaniu poprawnych relacji z Rosją** (podkreśl. B.P.). Doktryna ta narzucała więc utrzymanie jak najlepszych stosunków ze wschodnimi sąsiadami, wymienionymi trzema państwami, i tak przez całe lata była prowadzona polska polityka zagraniczna, tym bardziej że żadnej innej koncepcji na miejsce ULB nie stworzono. Ktokolwiek w Polsce obejmował rządy, od lewicy do prawicy, nie proponował niczego innego poza ULB. Sytuacja była o tyle trudna, że jednocześnie na Litwie polityka tamtejszych władz litewskich konsekwentnie przez całe lata wymierzona była przeciwko mniejszości polskiej (…). Podobnie kształtują się stosunki polsko-ukraińskie, co w dużym stopniu jest wynikiem tego, iż **polityka wschodnia Polski okazała się po latach katalogiem pobożnych życzeń** (podkreśl. B.P.). Polska bowiem jako pierwsza uznała niepodległą Ukrainę, ale rozbieżności z biegiem czasu zaczęły narastać. Co prawda, początkowo wzrost nastrojów skrajnie nacjonalistycznych usiłowano w Polsce bagatelizować, tłumacząc, iż ma on przede wszystkim ostrze antyrosyjskie"[1].

W Podkarpackiem usunięto wiele upamiętnień milicjantów i żołnierzy LWP, którzy polegli w walkach z UPA. Uznano, że propagują komunizm jako ustrój totalitarny.

•

Kompromitujące kulisy polityki życzeniowej władz polskich w kontekście obchodów 80. rocznicy zbrodni wołyńskiej odsłonili rozmówcy red. Zbigniewa Parafianowicza. Warto zacytować ich wypowiedzi: „Dyplomata A: – Równolegle (…) trwały przygotowania do obchodów osiemdziesiątej rocznicy rzezi wołyńskiej. Po linii rządowej szły rozmowy o tablicy upamiętniającej chyba szesnastu upowców, którzy zginęli gdzieś w rejonie Rzeszowa. Miały być imiona, nazwiska i napis, że ci upowcy zginęli za wolną Ukrainę. Ta tablica była częścią kompromisu historycznego z Kijowem. Miała zostać ustawiona latem. Nie precyzowano terminu. Tymczasem nie zgodziły się na nią władze lokalne. (…) Nam to się wydawała sprawa do przyjęcia. Te nazwiska to nie były nazwiska zbrodniarzy (a skąd ta pewność? – uwaga B.P.). Po prostu upowcy, którzy zginęli za swoje państwo (totalitarne i faszystowskie, bo o takie walczyła UPA – uwaga B.P.).

Minister Y: – W kancelarii Dudy było jasne od dawna, że osiemdziesiąta rocznica nie przyniesie żadnego przełomu (ale co innego mówiły rządowe media – uwaga B.P.). Niespecjalnie też się o to starano. W Łucku była wspólna msza w intencji pomordowanych. Msza, z której Zełenski wyszedł szybciej, bo miał »ważną naradę« z władzami obwodu wołyńskiego. To był jasny sygnał. Ani Duda, ani Zełenski nie wydostali się z paradygmatu swoich poprzedników. Oni

FOT. MACIEJ MACIERZYŃSKI/REPORTER, PAP

eprasa.pl b22ed4e4b8

poruszali się w obszarze tych samych pojęć. Po 24 lutego 2022 wydawało się, że jednak chociaż trochę pchną temat do przodu"[2].

Niespecjalnie się starano o przełom w historycznym rozliczeniu ludobójstwa wołyńsko-małopolskiego. Jednakże nie tylko w 2023 r., ale ogólnie przez ponad 30 lat, ponieważ za punkt wyjścia zawsze przyjmowano pobożne życzenia oparte na błędnie interpretowanej koncepcji ULB, a nie twarde realia. Dlatego Polska tę sprawę przegrała.

Drugą przyczyną przegrania Wołynia jest polska polityka historyczna odnośnie do okresu po 1945 r. Chodzi o kult „żołnierzy wyklętych" i tzw. dekomunizację. Do worka z napisem „żołnierze wyklęci" wrzucono ofiary stalinizmu, takie jak Witold Pilecki i August Emil Fieldorf, oraz najbardziej skompromitowane postacie podziemia nacjonalistycznego, np. Romualda Rajsa „Burego". Zrobiono to, by na plecach tych pierwszych przepchnąć kult tych drugich. Sławiąc taką postać jak „Bury" – który co prawda w mikroskali, ale podobnie jak UPA dokonywał czystek na ludności cywilnej – strona polska podważyła swoje moralne prawdo do domagania się potępienia przez Ukrainę zbrodni UPA (i – dodajmy – każdych innych zbrodni popełnionych przez kogokolwiek na Polakach). Mało tego. Najwięksi gloryfikatorzy „Burego" usprawiedliwiają jego zbrodnie na Białorusinach rzekomą „likwidacją agentury sowieckiej". Przecież w ten sam sposób epigoni banderyzmu na Ukrainie usprawiedliwiają zbrodnie UPA na Polakach.

•

Z kolei w ramach tzw. dekomunizacji usunięto w województwie podkarpackim wiele upamiętnień milicjantów i żołnierzy LWP, którzy polegli w walkach z UPA. Uznano, że poświęcone im obeliski czy tablice pamiątkowe propagują komunizm jako ustrój totalitarny. Czyli wbrew faktom historycznym przyjęto, że nie byli to obrońcy państwa i narodu polskiego przed terrorystycznymi działaniami nacjonalistów ukraińskich, ale słudzy komunizmu. Uderzono nawet w obrońców Birczy, którym z polecenia Antoniego Macierewicza odebrano tablicę na Grobie Nieznanego Żołnierza w Warszawie[3]. Jeżeli deprecjonuje się tych, którzy z UPA walczyli, to jest oczywiste, że robi się miejsce właśnie dla upamiętnienia UPA, która przecież walczyła z komunizmem, eksterminując przy okazji ludność polską. Potem jest wielkie zdziwienie ze strony władz, że gdzieś w Polsce powstają nielegalne upamiętnienia UPA lub strona ukraińska występuje z tego rodzaju żądaniami. Takie są skutki bezmyślnej polityki.

W sprawie historycznego zamknięcia ludobójstwa wołyńsko-małopolskiego trzeba zrobić niewiele. Należy nazwać zbrodnie i zbrodniarzy po imieniu, potępić ich; ekshumować i upamiętnić ofiary. Tylko tyle. Tego nie jest w stanie przeprowadzić od 30 lat strona ukraińska, ponieważ sama ekshumacja ofiar unaoczniłaby skalę zbrodni OUN i UPA i tym samym zburzyła fundamenty wielkiego kłamstwa o UPA (a także dywizji SS „Galizien") jako „ruchu narodowowyzwoleńczym", na którym to kłamstwie od co najmniej 2004 r. budowana jest tożsamość państwowo-narodowa Ukrainy.

Tego też nie potrafiły i nie potrafią wymusić na Ukrainie kolejne ekipy rządzące w Polsce, stale mylące uległość wobec Kijowa i politykę życzeniową z iluzją partnerstwa politycznego. Nierozliczenie tej sprawy lub szukanie rozliczenia połowicznego (albo „kompromisu") będzie zawsze obciążać stosunki polsko-ukraińskie, bez względu na to, jak gorące deklaracje przyjaźni będą sobie składali politycy z obu stron. Dlatego będzie to stale wykorzystywane przez Rosję do jątrzenia stosunków polsko-ukraińskich.

Środowiska postbanderowskie, które na emigracji spreparowały fałszywą mitologię OUN/UPA jako ruchu niepodległościowego, przeszczepiały tę narrację na Ukrainę już w latach 90.

Bohdan Piętka

[1] G. Mazur, *Rozważania nad kwestią tradycji skrajnie nacjonalistycznych ruchów w polityce historycznej współczesnej Ukrainy. Zarys problematyki*, „Europa Orientalis. Studia z dziejów Europy Wschodniej i Państw Bałtyckich", nr 7 (2016), s. 179-180.

[2] Z. Parafianowicz, *Polska na wojnie*, Warszawa 2023, s. 212-213.

[3] *Wiadomo, kto kazał usunąć Birczę z tablic na Grobie Nieznanego Żołnierza w Warszawie, www.nowiny24.pl, 5.03.2018* (dostęp: 24.06.2024).

KSIĄŻKA **PRZEGLĄDU**

POLSKO-UKRAIŃSKI SPÓR O HISTORIĘ

KULT BANDERY I SZUCHEWYCZA

Zamów książkę
na **sklep.tygodnikprzeglad.pl**
lub wpłać na konto:
72 1090 2851 0000 0001 2023 9821
Fundacja Oratio Recta,
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7.
Darmowa wysyłka listem
nierejestrowanym Pocztą Polską.

Dostępna także w formie e-booka

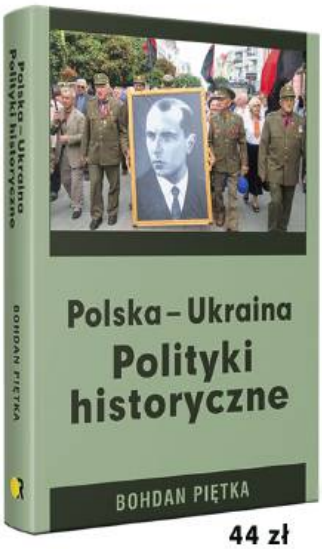

44 zł

eprasa.pl b22ed4e4b8

U NAS W POLSCE NIE CHODZI SIĘ W KAPELUSZU

Książki z mojej półki: proszę państwa, **Stefan Chwin**

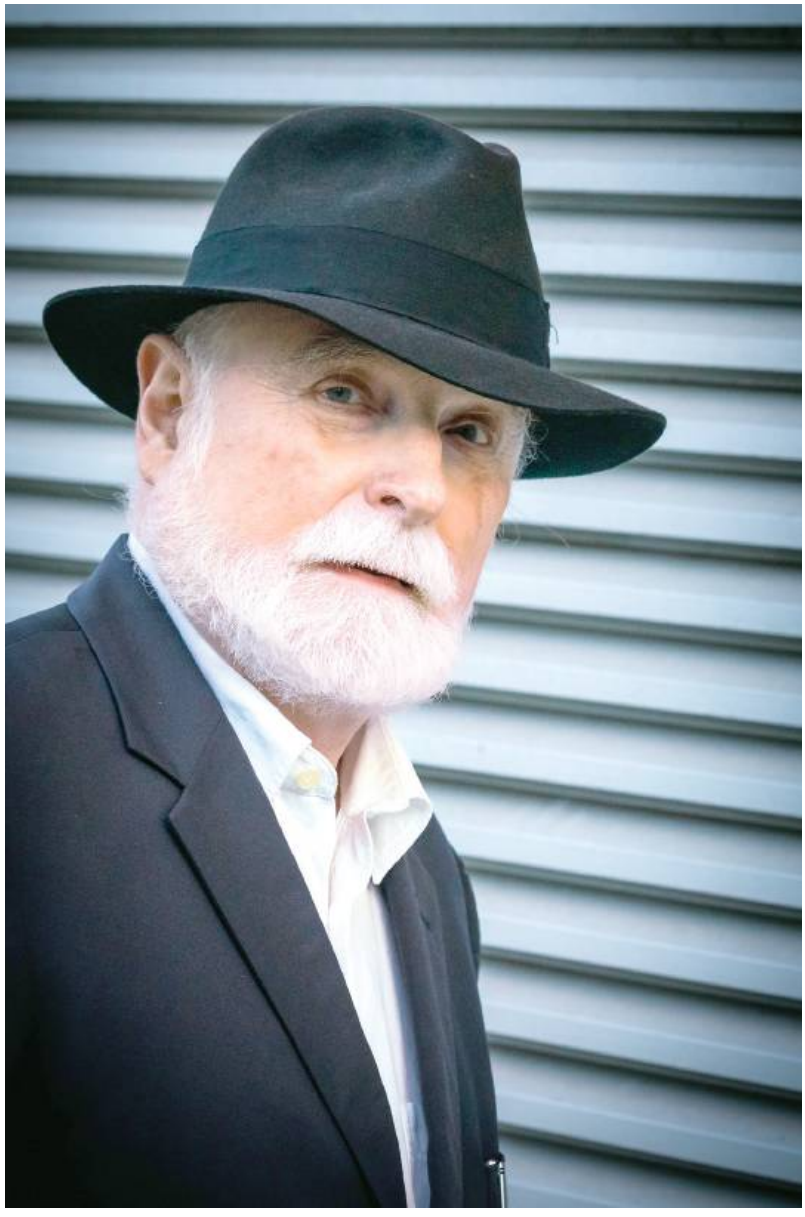

W dzienniku Stefan Chwin notuje swoje zmagania: z polskością, szczęściem, poczuciem obowiązku, słabnącym ciałem.

Robert Walenciak

Stefan Chwin nie pisze już klasycznych powieści, pisze o sobie. Pisze swój dziennik – życia we dwoje.

Jesteśmy więc razem – autor i jego żona – K. Oraz my, czytelnicy. Podglądamy ich. Dokąd chodzą, o czym rozmawiają, o co się spierają, jak się ubierają… Wiadomo, to nie jest Big Brother, to koncept literacki, widzimy tylko to, co autor chce, żebyśmy widzieli, co chce nam pokazać.

Co pokazuje? Zmagania z życiem. Swoim ego. Swoim słabnącym ciałem. Swoją polskością. Swoim poczuciem obowiązku. I swoim szczęściem. Niezasłużonym – jak podkreśla – niewypracowanym, w ogóle nie wiadomo jak zdobytym i utrzymanym. Szczęściem, którym jest K., jego żona od ponad 50 lat.

•

Czytamy: „Znowu ciche prywatne credo, którego nikt nie słyszy.

Nie bić pokłonów przed kimkolwiek. Nie klękać przed kimkolwiek i czymkolwiek. We wszystkim widzieć skazę, gdyż to skaza jest prawdą, a kto upiera się, że byt bez skazy istnieje, po prostu żyje w kłamstwie.

Nie wielbić nikogo. Nie mrużyć oczu z zachwytu, nic nie zasługuje na zachwyt. Nawet Pan B., który – tak jak wszystko – jest mieszaniną doskonałości, skazy i błędu. Zachwyt jest zawsze formą kapitulacji. Dusza, która tonie w zachwycie, wmawia sobie, że istnieje nieskazitelne Piękno i Dobro, bo chce się w nim wygodnie umościć.

Ale ona?

Ileż to razy byłem zniewolony przez zachwyt, gdy na nią patrzyłem, czując przy sobie jej bliskość. Dziękowałem tylko z niewypowiedzianą wdzięcznością losowi, że mnie obdarował tak niezasłużonym darem bez najmniejszej skazy, chociaż była pełna skaz, jak wszystko”.

eprasa.pl b22ed4e4b8

•

To najpierw o Panu B.

Józef Tischner mówił kiedyś, że nie spotkał nikogo, kto straciłby wiarę po przeczytaniu Marksa i Engelsa, natomiast spotkał wielu, którzy ją stracili po spotkaniu ze swoim proboszczem.

Albo katechetą. Bo to jest przypadek Stefana Chwina, którego katecheta – krzycząc, strasząc – odepchnął od wiary. „To on wybił mi z głowy wszelką nadzieję na zbawienie". Może pchnął tym samym do pisania? I do czytania. „Czytam Koran. Porównuję z Biblią. Studiuję sury i opowieści biblijne. Wers po wersie".

Po co? By napisać zdumione słowa: „Święte księgi wszystkich religii są zatem mozaikami osobnych zdań sformułowanych tak, żeby można ich było użyć stosownie do okoliczności?". Ale tak właśnie jest i było przez ostatnie 2 tys. lat.

Chcesz udowodnić, że chrześcijaństwo odrzuca jakąkolwiek przemoc? Proszę bardzo! Wyciągasz z Biblii wers: „Miłujcie nieprzyjaciół waszych, módlcie się za tych, którzy was prześladują" (Mt 5,44), „Jeśli ktoś uderzy cię w prawy policzek, nadstaw mu jeszcze drugi" (Mt 5,38). Chcesz udowodnić coś dokładnie przeciwnego, że chrześcijaństwo dopuszcza użycie przemocy i pozwala toczyć wojny w imię Jezusa? Wtedy wyciągasz z Biblii zdanie: „Nie myślcie, że przyszedłem, by zaprowadzić pokój na ziemi. Nie przyszedłem, by przynieść pokój, ale – miecz" (Mt 10,34).

Oto prawda religii – wierzymy w to, co chcemy, kolejne pokolenia lepią wiarę według własnych pomysłów i potrzeb. A potem nazywają to wolą Boga.

•

Jak więc żyć? „Codziennie sumiennie wykonuję swoje obowiązki zawodowe, obywatelskie i rodzinne – deklaruje autor. – Staram się być nie najgorszym ojcem i mężem przy poczuciu zupełnego bezsensu wszystkiego, w czym biorę udział, które jednak nie przeszkadza mi w niczym".

•

Bo autor już wie – tu nic się nie zmieni. A on żyje obok.

Nie zmieni się Polska. „Boże drogi, ileż to już ja się w moim życiu nasłuchałem w kółko tych samych polskich pretensji, tych samych polskich samooszustw, tych samych polskich snów o mocarstwowej potędze. (…) I żadnej nauki ze straszliwej klęski powstania warszawskiego, z Teheranu, Jałty i Poczdamu. I do tego jeszcze ta brednia o polsko-ukraińsko-rumuńsko-czeskiej potędze Międzymorza, które przebudzi się pod polskim sztandarem.

Panie Boże, zmiłuj się nad nami… Śmiech i łzy…".

Nie zmienią się Polacy. „Co też się kłębi w tych głowach plebejsko-wiejsko-miejskich, które widzę wokół siebie w galeriach handlowych, supermarketach, multikinach, McDonaldach, Pizza Hutach? Dwudziesty pierwszy wiek? Postęp? Oświecenie? Nowoczesność? Miliony ludowych głów, które nas mijają na ulicach, żyją w samym środku mroków średniowiecza. Wierzą w czarownice rzucające uroki. W straszne oko Jonasza. W czarnego kota, który przebiegł drogę. W leczenie chorób zaklęciami. W magiczny wpływ klejnotów na płodność kobiet i szczęście mężczyzn w interesach… W gąbczastym miąższu ludowej głowy bulgocą te same od setek lat, zamierzchłe jady i trucizny, jakby czas stanął w miejscu i nic się nie zmieniało na ziemi?

I zawsze tak będzie? I żadna racjonalna edukacja tych trucizn z ludowej głowy nigdy nie wypłucze?".

Wiadomo. Nie wypłucze. „Dla ludzi sto razy ważniejsze od myśli są uczucia. Myśli miewamy tylko od czasu do czasu, uczucia mamy zawsze. Dlatego człowiek chce być kochany, przytulany, głaskany po główce, karcony, bity po łapach, straszony, przerażany, zabawiany, uspokajany. Dużo bardziej potrzebuje surowego Ojca niż rozumnego Parlamentu".

•

Jak się zachować w obliczu tej sytuacji? Odpowiedź jest oczywista: uczciwie wobec siebie. Choć przeważnie nie jest to najprostsze rozwiązanie.

Pasawa, konferencja o wypędzeniach. Autor notuje: „A na Sali – widzę – Polacy zaproszeni na konferenz. Polacy dobrani w korcu maku jak trzeba. Polacy grzeczni, układni, śpiewający do taktu. Siwy profesor z przyciętym wąsem, w szarym, kosmatym swetrze, mrużąc oczy, zapewnia niemieckich gospodarzy, że Polacy mają jeszcze wiele do zrobienia, że muszą jeszcze przepracować w sobie gruntownie winę za Jedwabne, a także winę za niewłaściwy stosunek do Niemców, że – biedni! – muszą głowy swoje wyszorować ze stereotypów antyniemieckich (…). Kiedy ja słyszę to wszystko, podnoszę rękę, prosząc o głos. – Stereotypy antyniemieckie? – pytam zebranych. – Jakie znowu stereotypy? Przecież w Polsce dzisiejszej wciąż żyją świadkowie tego, co Niemcy podczas wojny wyprawiali. Na przykład moja matka. Starzy to są świadkowie zdarzeń, ale oni żadnych stereotypów nie mają w głowie, tylko pamięć tego, co na własne oczy widzieli. Na przykład jak to w powstańczej Warszawie Niemcy palili miotaczami płomieni cywilne

Święte księgi wszystkich religii są zatem mozaikami osobnych zdań sformułowanych tak, żeby można ich było użyć stosownie do okoliczności?

Dzisiaj ci sami „prawdziwi patrioci", którzy popisowo walczą z urojoną „opcją niemiecką" w Gdańsku, chcą mieszkać w poniemieckich domach Starej Oliwy, Wrzeszcza, Sopotu! Cóż za bezczelne zakłamanie!

eprasa.pl b22ed4e4b8

szpitale razem z chorymi pacjentami. I ci starzy świadkowie zdarzeń dzisiaj o tym opowiadają ludziom młodym. Więc, jeśli jakieś stereotypy w młodych głowach siedzą, to one się żywią żywym słowem naocznych opowieści. Oczywiście są w Polsce politycy, którzy te stereotypy wrednie wykorzystują, ale one nie wzięły się z powietrza.

Takie to słowa wypowiadam w sali niemieckiej, chociaż żadnej nienawiści do dzisiejszych Niemców nie czuję, a nawet do wzajemnej współpracy zachęcam.

Ale co powinno zostać powiedziane, powinno zostać powiedziane i tyle".

•

Co powinno zostać powiedziane... Dlatego Stefana Chwina do nikogo nie przypiszemy, zawsze jest sam. *Amicus Plato, sed magis amica veritas* (Platon przyjacielem, lecz większą przyjaciółką prawda).

Mówi zatem o Grudniu 1970 słowa niewygodne – o tych, co nie żyją, i o dzisiejszej Polsce – Krainie Szlachetnego Patriotycznego Kłamstwa. „Co myśleli na przykład wtedy, w Grudniu, mieszkańcy Trójmiasta i innych polskich miast o tym, co się działo w Gdańsku i na Wybrzeżu? – pyta. – Czy podziwiali zabitych przed bramą stoczni, czcili ich, szanowali, czy kładąc kwiaty na grobach, dorzucali po cichu – »Boże, całe szczęście, że nie było nas wtedy tutaj, pod stocznią«. Bo większość »zwykłych ludzi« jest zawsze taka sama: czci, stawia pomniki, składa kwiaty, a równocześnie po cichu lekceważy tych, którzy – jak z bolesną ironią pisał kiedyś Tadeusz Borowski – dali się zabić. Bo żywi są zawsze przeciwko umarłym. I robią z nimi – zupełnie bezbronnymi – co tylko chcą, stosownie do własnych potrzeb".

Mówi o Gdańsku, swoim Gdańsku, pięknym starymi, niemieckimi kamienicami. „Oskarżają nas o jakąś zdradę! To mi dopiero zdrada, podziwiać piękne miasto, którego fragmenty jakimś cudem przetrwały." I dodaje: „Dzisiaj ci sami »prawdziwi patrioci«, którzy popisowo walczą z urojoną »opcją niemiecką« w Gdańsku, chcą mieszkać w poniemieckich domach Starej Oliwy, Wrzeszcza, Sopotu! Cóż za bezczelne zakłamanie!".

W gąbczastym miąższu ludowej głowy bulgocą te same od setek lat, zamierzchłe jady i trucizny, jakby czas stanął w miejscu i nic się nie zmieniało na ziemi?

Mówi „prawdziwym" Polakom prosto w twarz: rozpiera mnie duma, że nie jestem podobny do was.

A swoim kolegom uświadamia: „Kompleks małego wpływu społecznego to jest, niestety, podstawowy kompleks części polskich inteligentów, także polskich pisarzy. Mądrzy jesteśmy, oświeceni, nowocześni, postępowi, proeuropejscy, racjonalni, a słuchać nas – psiakrew! – Polacy nie chcą, tylko wleką się setkami tysięcy na jakąś tam Jasną Górę.

eprasa.pl b22ed4e4b8

To nie biskupi chcą, żeby Kościół w Polsce był dominujący, bogaty, potężny, wpływowy. To miliony katolików polskich życzą sobie, żeby każdy kościelny gmach był okazały, a więc kosztowny, i na złość ateistom oraz lewakom górował swoją wieżą nad okolicą".

Mówi, że nie ma jednej Polski. I nie będzie.

Oto autor, który nie daje spokoju. A przy tym pisze o osobistym szczęściu, ponieważ 50 lat temu spotkał na swojej drodze najwspanialszą kobietę. Wszystko wbrew kanonom – bo przyzwyczailiśmy się, że artysta wiedzie życie pełne miłosnych udręk i rozstań, nawołując przy tym naród do boju. Im bardziej niestały rodzinnie, tym twardszy w swoich naukach.

•

Teraz o K. „Mógłbym opisać prawie wszystkie suknie, jakie nosiła – wyznaje, dodając zaraz: – ale nie potrafię opisać tego, co najważniejsze – samej Jej obecności. Jakbym od naszego pierwszego spotkania żył w ciepłym, przejrzystym obłoku spokojnej pewności, że Ona jest zawsze po mojej stronie, nawet jeśli nie jest po mojej stronie. To dzięki Niej samotność znam tylko ze słyszenia".

Są we dwoje. Idą ulicami Wiednia. „Kapelusz K.? W całym Wiedniu nie spotkaliśmy żadnej kobiety z takim nakryciem głowy. Biały toczek z czarną i kremową kokardą na czubku, ozdobiony woalką z czarnej siateczki, która ładnie przysłania czoło i oczy. Do tego długa sukienka w czarno-brązową łączkę z białym, haftowanym kołnierzykiem i wysokie, czarne buty. A narzutka na ramionach – papieska, z rękawami szerokimi, jak biała pelerynka. (…) K. papuziasta, uskrzydlona pelerynką, kokardowa, woalkowa, ja – czarny kruk z białą brodą, w czarnym kapeluszu, w płaszczu czarnym i z kołnierzem na stójce. Zawieruszyliśmy się wśród austriackich arcydzieł i ludzi…". Goście z XIX w. Otaczają ich turyści z Japonii – w Leopold Museum przed obrazami Klimta! – i fotografują bez końca.

•

A w Polsce? „U nas w Polsce, proszę pana, nie chodzi się w kapeluszu", upomina go na przystanku we Wrzeszczu starszy pan.

„Mógłbym opisać wszystkie suknie, jakie nosiła" – pisze o żonie Krystynie, również pisarce, Stefan Chwin.

„Przedwczoraj, kiedy szliśmy do sklepu na Marusarzówny, ubrani tak jak zwykle w nasze śmieszne, wydziwaczone, inteligencko-artystyczne ubranka, starsza baba ludowa z siatką foliową pełną włoszczyzny, w puchowej kurtce czerwonej i czarnych spodniach z kantami, która mijała nas przy warzywniaku, splunęła na nasz widok. K. miała na głowie bordowy toczek, z czarną woalką.

Ale kiedy wczoraj wieczorem pojechaliśmy z Moreny do Gdańska na Światowy Zjazd Gdańszczan tramwajem linii numer 10, motorniczy na przystanku przy ulicy Warneńskiej zatrzymał tramwaj na dłużej, (…) dość młody gość w czarnym swetrze – wyszedł ze swojej dyżurki, podszedł do nas, po czym uprzejmie się skłonił.

– Proszę państwa – powiedział do nas uroczyście, nachylając się ku nam z uśmiechem – bardzo jestem dumny, że wiozę takich pasażerów jak państwo! Pochwalę się tym przed kolegami w zajezdni!

(…) Byłem w granatowej marynarce ze srebrnymi guzikami, biała koszula, wąskie, czarne spodnie, pod szyją czerwona muszka w białe kropki, lakierki, do tego kapelusz czarny ze sztywnym rondem, biała, przystrzyżona broda. K. miała na sobie białą suknię, długą do kostek, naszyjnik perełkowy, toczek kremowy z fikołkiem i czarno-błyszczące buty na wyższym obcasie… i to wszystko w normalnym, publicznym tramwaju! Prawdziwe rarogi, pchające się pod nóż niechętnych spojrzeń!".

Piękni państwo, na przekór walącemu się światu.

Stefan Chwin, *Dziennik życia we dwoje*, Wydawnictwo Tytuł, Gdańsk 2024.

FOT. PIOTR KAMIONKA/REPORTER, ANNA REZULAK/KFP/REPORTER

eprasa.pl b22ed4e4b8

Ręce dokładnie umyte

Bodnar powołał zespół prokuratorów. Dlaczego w sprawie Barbary Blidy potrzebna jest biała księga?

Pogrzeb Barbary Blidy, 2007 r.

Robert Walenciak

Czy 17 lat po śmierci Barbary Blidy doczekamy się sprawiedliwości? Jest nadzieja. Prokurator generalny Adam Bodnar powołał zespół do opracowania w sprawie byłej posłanki SLD białej księgi, czyli zbioru usystematyzowanych dokumentów dotyczących działań podjętych przez prokuraturę w związku ze śmiercią Blidy. Zespół ma też uwzględnić prace sejmowej komisji śledczej powołanej do zbadania okoliczności tej tragedii oraz raport komisji.

To może być otwarcie do kolejnych działań. Z prostego powodu – sprawa śmierci Barbary Blidy została zamieciona pod dywan. Winnych znamy. Ich nazwiska są wymienione w raporcie końcowym sejmowej komisji śledczej, którą kierował Ryszard Kalisz. Raport pokazuje patologiczne mechanizmy, wskazuje ludzi, którzy łamali prawo. Nikt nigdy tych ustaleń nie podważył. Rzecz w tym, że zostały w Sejmie przegłosowane – bo Platforma nie chciała wojny z PiS. Sejm, w którym większość miały Platforma i PSL, nie zebrał wystarczającej liczby głosów, by postawić przed Trybunałem Stanu Jarosława Kaczyńskiego i Zbigniewa Ziobrę. Podobnie było w prokuraturze, która – gdy władzę przejęło PiS – umorzyła śledztwa w kolejnych wątkach. Może więc warto o prawdę zawalczyć?

– Jestem dobrej myśli – mówi Ryszard Kalisz, gdy pytamy go, co sądzi o inicjatywie Bodnara. – Mam nadzieję, że prokuratura przeanalizuje raport komisji i wnioski, które przyjęliśmy. Powinna to być pierwsza część działalności tego specjalnego zespołu.

– A potem?

– A potem wykonanie czynności procesowych, które są jeszcze możliwe. Może powinna jeszcze raz przeprowadzić wizję lokalną tej szarpaniny? Choć okoliczności, w jakich padł strzał, zostały dokładnie wskazane.

Czego więc po działaniach zespołu możemy się spodziewać? Po pierwsze, rekonstrukcji tragicznych wydarzeń. PiS wmawia nam od lat, że Barbara Blida popełniła 25 kwietnia 2007 r. samobójstwo. Tymczasem wszystkie ustalenia temu przeczą. Są one zresztą zawarte w raporcie sejmowej komisji śledczej.

– To jest opisane – mówi Ryszard Kalisz. – Przy łazience było pomieszczenie na różnego rodzaju proszki, tam trzymana była broń. Funkcjonariuszka tego nie kontrolowała, siedziała przed wejściem do łazienki. I jak do niej weszła, zobaczyła, że Blida ma broń. To odbywało się przecież w kilka sekund, kiedy zrobiła te trzy kroki do Blidy, chciała pistolet wyrwać. Strzał padł w wyniku szarpaniny. Czy Blida sama pociągnęła za spust, czy też nie miała tego zamiaru – tego już nikt nie jest w stanie udowodnić. Kula przeszła od prawej górnej piersi do dolnego pośladka, trochę powyżej. Czy jakikolwiek człowiek, który popełnia samobójstwo i strzela do siebie, robi taki ruch? Jest pytanie: czy bez tej szarpaniny doszłoby do zabójstwa? Nikt nie może oskarżać funkcjonariuszki, chyba że za niedopełnienie obowiązków. Natomiast tam mieliśmy do czynienia z nieumyślnym spowodowaniem śmierci.

Kolejnym elementem jest to, co działo się po śmierci Blidy. Otóż zespół ABW, który przybył do jej domu, zachował się karygodnie, gdyż zaczął zacierać ślady. Funkcjonariuszce, która szamotała się z Blidą, a później próbowała ją reanimować, zmieniono kurtkę. Na czystą. Kobieta umyła też ręce. Nie można było więc ustalić, czy na kurtce i na rękach są ślady prochu. Pistolet, z którego padł strzał, został wytarty. Nie było na nim śladów linii papilarnych.

Jeszcze gorzej przedstawiają się ustalenia dotyczące działań prokuratury. – W raporcie komisji śledczej przedstawiłem cały system patologii w działalności prokuratury katowickiej – mówi Kalisz. – Chociażby te słynne

FOT. EAST NEWS

eprasa.pl b22ed4e4b8

spotkania co poniedziałek u skądinąd ostatnio popularnego prokuratora Janeczka, który zapraszał czterech asesorów, żeby z nimi pogadać na temat tej sprawy. To działo się poza protokołem. Wypowiedzi prokuratora apelacyjnego dla asesorów były równoznaczne z wydaniem polecenia.

Komisja ustaliła, że specjalnie powołany zespół prokuratorów działał przeciwko Blidzie, byle tylko znaleźć jakiekolwiek dowody i ją zatrzymać. Oskarżenie opierało się na micie „mafii węglowej". Na tym, że Blida w imieniu Barbary Kmiecik, której firma pośredniczyła w handlu węglem, wręczyła dyrektorowi kopalni łapówkę. Ta wersja trzymała się zeznań dwójki świadków – wspomnianej Barbary Kmiecik i jej pracownika, Ryszarda Zająca, byłego posła SLD. Ten ostatni przekazywał plotki, natomiast Kmiecik została zatrzymana i w areszcie dostała propozycję: albo zacznie mówić (czyli obciąży Blidę), przyjmie status świadka koronnego i wyjdzie na wolność, albo za kratkami zostanie. Wybrała wariant pierwszy.

To były tak marnej jakości oskarżenia, wymuszone, nietrzymające się kupy, że prokuratorzy, którzy z tą sprawą się zapoznawali, mówili wyraźnie, że to nie przejdzie. Ostatecznie, po latach, jakość tych zeznań i „dowodów" zweryfikował sąd, uniewinniając dyrektora kopalni, który rzekomo miał wziąć od Blidy łapówkę.

Kolejny element – komisja ustaliła, że akcja przeciwko Blidzie była działaniem wagi państwowej. Powołano kilkuosobowy zespół prokuratorów, zaangażowano też miejscową ABW, która organizowała wokół Blidy agenturę i założyła jej podsłuch. Na szczeblu państwa odbywały się w tej sprawie narady z udziałem premiera Jarosława Kaczyńskiego oraz ministra sprawiedliwości i prokuratora generalnego Zbigniewa Ziobry.

Mamy więc cały mechanizm oskarżania i niszczenia ludzi. Są też wskazane osoby za to odpowiedzialne.

One zresztą się nie kryją. Bogdan Święczkowski jest dziś sędzią Trybunału Konstytucyjnego. Grzegorz Ocieczek, jego ówczesny zastępca w ABW, był później prokuratorem w Prokuraturze Krajowej. Przeszedł na wcześniejszą emeryturę ze świadczeniem w wysokości 25 tys. zł miesięcznie. Jako emerytowany prokurator został wiceszefem CBA. I to on odpowiadał za inwigilację Pegasusem m.in. Krzysztofa Brejzy. Do tego „dorabiał" jako adiunkt na Uniwersytecie Kardynała Stefana Wyszyńskiego. Jego wspólne dochody z konkubiną wynosiły 716 tys. zł, co miesięcznie daje ok. 59,5 tys. zł – czytamy w „GW". Prokuratorzy zaangażowani w sprawę Blidy również porobili kariery. Krzysztof Sierak, który nadzorował działania, jest zastępcą prokuratora generalnego, a Tomasz Janeczek prokuratora generalnego do spraw wojskowych. Krew Blidy na rękach im nie zaszkodziła, przeciwnie, w państwie PiS okazała się najlepszą przepustką. ■

Sąd nie jest twierdzą (cd.)

Dołączając do apelu znakomitej dziennikarki, sprawozdawczyni sądowej Heleny Kowalik, o rozwiązanie problemów z zamykaniem się sądów przed dziennikarzami, pragnę zwrócić uwagę Pana Ministra Sprawiedliwości Adama Bodnara, że problem wymaga natychmiastowego rozwiązania

Violetta Krasnowska

Otóż sądy chcą taką praktyką, o której pisze Helena Kowalik (PRZEGLĄD nr 26/2024), zamykać się przed społeczeństwem. Widzę to na każdym kroku. Od pytań ludzi z biura obsługi interesanta sądu, gdy dowiaduję się o termin rozprawy („A pani jako kto pyta? Kim pani jest w sprawie?"), po odpowiedzi (uzasadnienia „jako publiczność" nie rozumieją).

To pracownicy sądu, a sami sędziowie? Zwykle nie interesuje ich, czy na sali jest świadek w sprawie – a należałoby tym się zainteresować, wszak nie powinien znać zeznań innych, zanim swoich nie złoży. Pytają za to, czy na sali są dziennikarze. A jakie to ma znaczenie? Po co jest to rytualne domaganie się legitymacji prasowych z wpisywaniem danych do akt?

Dołączę jeszcze decyzje, niepokojąco coraz częstsze, o zamykaniu rozpraw przed dziennikarzami, a tym samym przed opinią publiczną, bywa, że pod byle pretekstem. Jak choćby 9 lipca przez sąd w Lublinie – w sprawie ważnej społecznie, dotyczącej zarzutów korupcji w urzędzie. Sąd wyprosił dziennikarzy, uzasadniając to tym, że świadek może czuć się skrępowany obecnością mediów. Choć takiego wniosku nawet nie było, tak jak nie było go w innej ważnej społecznie sprawie – byłego szefa KNF Marka Chrzanowskiego. Sama sędzia postanowiła utajnić postępowanie, argumentując, że w trakcie procesu mogą pojawić się informacje objęte tajemnicą.

W sprawie tzw. gangu przebierańców toczącej się w Sądzie Okręgowym w Warszawie sędzia postanawiał o wyłączeniu jawności, gdy pojawiałam się na rozprawie, a gdy mnie nie było, rozprawy były jawne. Albo jak w sprawie o zabójstwo – sędzia, również Sądu Okręgowego w Warszawie, odmówiła dostępu do akt, a ponadto nagrywania rozprawy, godząc się tylko na robienie notatek, i to w sytuacji, gdy zeznawała biegła, której słowa niezmiernie dużo ważyły w tej sprawie. Jaki był tego sens, do dziś nie pojmuję.

W zamykaniu się sądów przed społeczeństwem nie chodzi tylko o dziennikarzy. Raport z obywatelskiego monitoringu sądów opracowany przez stowarzyszenie Court Watch Polska pokazuje, że problem jest o wiele szerszy – wielu sędziów nie chce żadnej publiczności. Boją się? Pytanie dlaczego.

To groźne zjawisko. Koniecznie trzeba cofnąć tę tendencję, o co apeluję do reformującego sądy ministra sprawiedliwości Adama Bodnara.

Violetta Krasnowska jest dziennikarką tygodnika „Polityka"

eprasa.pl b22ed4e4b8

Maciej Mikołajczyk

Wczoraj rządowi, dziś antyrządowi

Ogórek nie chowa się w wannie, czyli co słychać u ulubieńców poprzedniej władzy

Telewizja publiczna przestała pluć na Tuska, ale wojna o dusze Polaków trwa. Tak znamienici żurnaliści jak Danuta Holecka, Michał Rachoń czy Adrian Klarenbach nie złożyli bowiem broni, tylko po zwolnieniu z TVP z oddaniem opluwają niemieckiego agenta na antenie TV Republika. Szkopuł: jak zauważył prezes Jarosław Kaczyński, „Republika nie wszędzie dociera, ma bardzo niewielkie środki i to jest dopiero taki początek telewizji". W takiej początkującej telewizji nie mogli pomieścić się wszyscy bojownicy o wolność i demokrację wyrzuceni z roboty przez koalicję 13 grudnia.

Sygnał uzurpatorów

Zabrakło miejsca dla Michała Adamczyka, wieloletniego dziennikarza Telewizji Polskiej i prowadzącego „Wiadomości", a od kwietnia do grudnia 2023 r. dyrektora Telewizyjnej Agencji Informacyjnej. Redaktor Adamczyk mówi, że jest dumny, iż jako dziennikarz TVP informował „o wielu aferach rządu PiS, i to obiektywnie, inaczej niż TVN". Poza tym sądzi, że jest prezesem zarządu TVP. „26 grudnia 2023 r. zostałem powołany przez Radę Mediów Narodowych na stanowisko prezesa zarządu TVP. Nic się od tego czasu nie zmieniło, więc nigdzie się nie wybieram", stwierdził, gdy go jakiś wredny pismak zapytał o plany zawodowe.

Co prawda, sąd umorzył postępowanie w sprawie wpisania do KRS Adamczyka jako prezesa zarządu, co jest równoznaczne ze stwierdzeniem, że na gruncie prawa pan Adamczyk prezesem nie jest, ale wyrokami wydanymi przez nadzwyczajną kastę przejmują się tylko słabujący na umyśle targowiczanie, a nie piewcy Polski dumnej i wielkiej, o szerokich horyzontach.

Gdy dobra zmiana dobiegła końca, Adamczyk przez trzy tygodnie okupował siedzibę TVP, a po zakończeniu akcji ogłosił manifest: „Siłą i przemocą, bezprawiem i podstępem wypędzono legalne władze Telewizji Polskiej. Wypędzono wielu dziennikarzy, pracowników i współpracowników. Wyłączono legalny sygnał Telewizji Polskiej. Podłączono sygnał uzurpatorów. Ta walka się nie zakończyła. Obiecuję".

Że nie odpuścił, świadczy wpłynięcie do Prokuratury Okręgowej w Warszawie zawiadomienia o podejrzeniu popełnienia przez niego przestępstwa, polegającego na próbie otwarcia rachunku bankowego na rzecz TVP. Z zawiadomienia wynika, że Krajowa Rada Radiofonii i Telewizji planowała przelanie na to konto ponad 100 mln zł pochodzących z abonamentu.

Obrońca niezależności telewizji publicznej za niezłomność płaci wysoką cenę. Kłopoty redaktora i prezesa TVP w jednej osobie na bojach z prokuraturą się nie kończą. Telewizja, której prezesuje, pozwała go bowiem i żąda 1,3 mln zł za okupację swej siedziby, co miało doprowadzić do strat finansowych. Ku pokrzepieniu: pozwano również innego okupanta, Samuela Pereirę.

Pereira w TVP zaczął robić karierę, jak tylko PiS przejęło władzę. Mimo braku doświadczenia w 2016 r. został zastępcą szefa redakcji publicystyki Telewizyjnej Agencji Informacyjnej i p.o. szefem portalu TVP.info. Okazał się towarzyszem godnym zaufania – wkrótce partia powierzyła mu zadanie wymagające większego poświęcenia. Objął stanowisko wicedyrektora Telewizyjnej Agencji Informacyjnej, z ramienia której kierował TVP Info. Przeprowadził wiele akcji wymierzonych przeciw politykom opozycji, bo organizacja medialnych ataków na opozycję to, jak wiadomo, najważniejsza misja telewizji publicznej. Uwaga: tylko w okresie sprawowania władzy przez PiS. Brzmi podejrzanie? „Nie ma demokracji bez pluralizmu mediów i bez silnych mediów antyrządowych. W każdej demokracji muszą być silne media antyrządowe. Tak się składa, że w Polsce to są media publiczne", wyjaśniał tę zawiłą kwestię Jarosław Kaczyński, nie tłumacząc jednak, czy media publiczne przestaną być antyrządowe, gdy PiS wróci do władzy.

W każdym razie, gdy Pereira kierował TVP Info, a państwem naczelnik Kaczyński, telewizja publiczna antyrządowa nie była, albowiem nie było potrzeby obrony demokracji przed rządem, za to trzeba było bronić rządu przed demokracją. Pereira po wielokroć dowiódł, że świetnie pojmuje ten dialektyczny mechanizm, a jednym z jego osiągnięć była napaść na Krzysztofa Brejzę. W 2019 r. Brejza był nie tylko posłem Platformy, ale także szefem sztabu wyborczego Koalicji Obywatelskiej. Zawiadywane przez Pereirę TVP.info tygodniami bombardowało Polaków newsami mającymi wskazywać, że ów polityk uwikłany jest w liczne przestępstwa.

Pereira zorganizował zrzutkę na swoją rzecz. Cel: pozyskanie pieniędzy na adwokata i na realizację bliżej nieokreślonego projektu medialnego.

eprasa.pl b22ed4e4b8

Magdalena Ogórek odpoczywa dziś od mediów, Samuel Pereira za nimi tęskni.

Na paskach leciała informacja za informacją, że dziennikarze korzystali z materiałów pochodzących ze śledztwa. Okazało się, że TVP.info kampanię wobec Brejzy zmontowało na podstawie danych uzyskanych wskutek użycia Pegasusa: z komórki posła ściągnięto SMS-y, które następnie tak skompilowano, by nadać im aferalno-kryminalny kontekst.

Redaktor się kąpie

Pereira nie wahał się użyć spreparowanych dowodów, bo liczył na bezkarność. I słusznie – w czasach królowania Ziobry śledztwo prowadzone przez Prokuraturę Okręgową w Ostrowie Wielkopolskim zakończyło się konstatacją, że dziennikarz dopuścił się działań bezprawnych, ale ukaranie go byłoby pogwałceniem międzynarodowych norm gwarantujących wolność słowa. Pereira został pozwany przez Brejzę i jego małżonkę, z zawodu prawniczkę. Ponieważ dziennikarz patriota nie odbierał sądowej korespondencji, skorzystano z pomocy komornika.

Komornik również natrafił na przeszkody i sporządził notatkę. „Bramę na osiedle otworzyła, sądząc po głosie, małoletnia dziewczynka, oświadczając, że pan Samuel Pereira kąpie się. W rozmowie przez drzwi mężczyzna będący w lokalu oświadczył, że nie nazywa się Samuel Pereira i że pod tym adresem nie mieszka osoba o takich personaliach", napisał.

Pereira oświadczył, że w wannie nigdy się nie ukrywał, bo woli się kąpać pod prysznicem. Zorganizował zrzutkę na swoją rzecz. Cel: pozyskanie pieniędzy na adwokata oraz realizację bliżej nieokreślonego projektu medialnego, pozwalającego kontynuować misję telewizji publicznej do czasu odzyskania władzy przez PiS, w wersji antyrządowej.

Ściepa na portalu Zrzutka trwała od 4 kwietnia br. do 4 lipca. Dzięki wpłatom 48 osób Pereira uciułał 7621 zł – ponad 12 tys. mniej, niż zakładał. Uzyskał lepszy rezultat niż młoda para zbierająca na ślub, ale gorszy od emeryta pragnącego podróżować po Ameryce Południowej. Na dobrego prawnika chyba za mało, na projekt medialny pozwalający kontynuować misję telewizji publicznej nie starczy na pewno.

Dziś antyrządowi, a wczoraj rządowi dziennikarze najwyraźniej wciąż uważają, że ciemny lud wszystko kupi – Pereira nie jest jedynym szukającym finansowego wsparcia w kieszeniach Polaków. Zrzutkę na Patronite urządził Krzysztof Ziemiec, w latach 2009-2019 prowadzący „Wiadomości", a potem „Teleexpress". Po rozstaniu z publicznym nadawcą przeniósł się do internetu, gdzie prowadzi kanał „Otwarta konserwa" i – jak zakomunikował – potrzebuje w związku z tym 50 tys. miesięcznie.

Odzew mizerny: fani łącznie zadeklarowali wpłatę 960 zł – to ponad 50 razy mniej niż potrzeby twórcy. Na dodatek oskarżono Ziemca o to, że żebrze, choć jako gwiazdor TVP zarabiał krocie. „To nie jest forma żebrania, tylko naturalna forma zdobywania funduszy na rozwój", odpowiedział dziennikarz.

Magdalena Ogórek na tle dawnych kolegów z telewizji publicznej jawi się jako dama – nie żebrze ani nie udaje otwartej konserwy.

„Otwarta konserwa" ma być połączeniem otwartości i konserwatyzmu, ale zarówno zapraszani goście: Krzysztof Bosak, Marek Jakubiak, Marcin Horała, Przemysław Czarnek, Rafał Ziemkiewicz, jak i tytuły programów: „Czy Unia Europejska upokarza Polskę?", „Niech Scholz uczy historii Niemców, nie nas", „Zaczyna się zwijanie Polski", temu zaprzeczają.

Magdalena Ogórek na tle dawnych kolegów z telewizji publicznej jawi się jako dama – nie ukrywa się po wannach, nie żebrze ani nie udaje otwartej konserwy. Twierdzi, że otrzymała propozycję pracy w TV Republika, ale odmówiła, bo zajmuje się pisaniem książki i chce od mediów odpocząć. Lepiej, żeby nie zafundowała sobie odpoczynku od polityki. Bo jeśli zostanie kandydatką PiS w wyborach prezydenckich, może Kaczyńskiemu przysporzyć takich samych pożytków jak niegdyś Millerowi. ■

FOT. EAST NEWS (2)

eprasa.pl b22ed4e4b8

Futbol w dziurawych skarpetkach

Aż do fazy półfinałów Anglicy rywalizowali z Francuzami o tytuł mistrzów paździerza

Wojciech Kuczok

Bawią mnie niesłychanie dziury w getrach, własnoręcznie wycięte przez piłkarzy o niewymiarowych łydach – ci milionerzy, którzy za każdy kędzior, nową dziarę czy ułożenie kołnierzyka płacą fortunę stylistom, biegają w podziurawionych skarpetach. Niechybnie przypomina się Sąsiad z „Dnia świra" i jego słynna metoda na żyletkę („ciach gumki i skarpetka bezuciskowa zdrowa!"). Bożyszcza tłumów tak czynią, aby uniknąć niedokrwienia mięśni, ale jak coś robią bożyszcza, to się nazywa trendsetting – tylko czekać, jak dziurawe fuzekle będą modne niczym potargane dżinsy. A żeby się dobrze sprzedawały, nazwa towaru będzie brzmiała „getry ażurowe". Liczę na to, bo mam szufladę pełną niezacerowanych skarpet; te niedopasowane doczekały się już swoich pięciu minut, zdaje się, że teraz modne jest noszenie dwóch różnych, o ile się ze sobą zmyślnie rymują.

Jeśli kontuzja nie zatrzyma kariery Lamine'a Yamala, będziemy mieli na kolejne dekady seryjnego łowcę Złotych Piłek.

Kroniki futbolowych mistrzostw to także dzieje przedwczesnych finałów – rzadko bowiem zdarza się tak, że dopiero w decydującym, ostatnim starciu turnieju mierzą się dwie drużyny faktycznie najlepsze. Historia mundiali i europejskich czempionatów pamięta ekipy, które „doczołgiwały się" do samego końca kosztem drużyn grających dużo efektowniej wyłącznie dzięki szczęśliwej drabince i fartowi w jedenastkach. Najlepsze mecze rozgrywano zwykle we wcześniejszej fazie, dopiero ostatni finał mundialu zadał kłam tej regule, bo potyczka Argentyny z Francją była meczem doskonałym, zarówno pod względem dramaturgii, jak i poziomu sportowego. Tegoroczny ćwierćfinał Niemcy-Hiszpania okrzyknięto meczem tytanów z powodu niezwykle efektownej gry obu drużyn we wcześniejszej fazie, prognozowano też, że kto wygra ten mecz, wygra potem cały turniej. Gospodarze zaczęli ostro, kosząc Hiszpanów równo z trawą, skopany Pedri musiał zejść z murawy już po sześciu minutach gry, a zdezorientowany sędzia zapomniał, gdzie ma kartki. Ostatni mecz w karierze Toni Kroos powinien zakończyć przed czasem, ale sędziemu nie wystarczyło na to odwagi, Hiszpanie też poczuli, że rozjemca ich nie ochroni przed lawiną fauli, więc zaczęli grać ostrożnie. Mógł sędzia w ten sposób zabić mecz, na szczęście siła i talent młokosów z La Furia Roja nie tkwi wyłącznie w motoryce i dryblingach. Tym razem zwyciężyły precyzja i elegancja, które definiują choćby bramkę duetu Lamine Yamal-Dani Olmo, i choć Niemcy zgodnie z odwieczną tradycją zerwali się ze stryczka tuż przed końcem meczu, w dogrywce Hiszpania postawiła na swoim. Nie bez pomocy sędziego, który uderzenie piłki dłonią Marca Cucurelli w polu karnym zignorował, powołując się na prawo do interpretacji naturalnego ułożenia górnej kończyny. Karma wróciła – gospodarze przeszli Duńczyków w jednej ósmej po karnym za ponoć dyskusyjną rękę, teraz nie dostali karnego za rękę ewidentną. Niesmak pozostał, czego dowodem wygwizdywanie przez niemiecką publiczność Cucurelli przy każdym kontakcie z piłką w kolejnych spotkaniach. Jeśli kto udawał, że rozumie, o co chodzi z tym przepisem, teraz już zgłupiał jak wszyscy – sędzia Anthony Taylor orzekł: „To nie jest ręka" niczym René Magritte na swojej słynnej „Zdradliwości obrazów": „Ceci n'est pas une pipe". Za taki sędziowski surrealizm dziękujemy.

W półfinale Hiszpanie trafili na Francuzów, którzy do tej fazy przepełzli bez gola z gry kosztem Portugalii osłabionej egotyzmem tego nieszczęśnika Cristiana Ronalda. Dygresja polityczna: pozostaje mieć nadzieję, że katastrofa reprezentacji Portugalii nie powtórzy się w innej skali i innej dziedzinie, ale wedle tego samego mechanizmu – czasem nieustępliwość jest przekleństwem, co powinno w końcu dotrzeć także do głowy Joego Bidena. Niespodziewanie właśnie niemrawi dotąd Francuzi z Hiszpanami stworzyli jedno z najpiękniejszych widowisk. Trudno nie wiązać tego z faktem, że Kylian Mbappé mógł wreszcie zagrać bez maski chroniącej złamany nos, dzięki czemu nie miał ograniczonego pola widzenia. Można było drżeć o to, jak defensywa osierocona przez Daniela Carvajala odeprze napór klubowego tria PSG (Mbappé-Ousmane Dembélé-Randal Kolo Muani), ale geniusz

FOT. GRZEGORZ WAJDA/REPORTER

eprasa.pl b22ed4e4b8

Półfinał Hiszpania-Francja – talent Lamine Yamala wydaje się nie mieć granic.

najmłodszego w dziejach uczestnika mistrzostw załatwił sprawę. Talent Lamine'a Yamala wydaje się nie mieć granic – oprócz typowo młodzieńczej motoryki i świetnego dryblingu pokazał, że umie kropnąć gola marzenie, do tego ma profesorski przegląd pola i niezwykłą dojrzałość gry. Jeśli kontuzja nie zatrzyma tej kariery, będziemy mieli na kolejne dekady seryjnego łowcę Złotych Piłek. Odkrycie fotografii z sesji charytatywnej, w której uczestniczył w 2007 r. Leo Messi i kąpał małe Yamalątko, nadaje karierze tego cudownego dzieciaka wymiar mistyczny. Oto największy futbolista XXI w. pozuje do zdjęć z przypadkowo wybranym kilkumiesięcznym potomkiem afrykańskich imigrantów, który po 16 latach stanie się jego następcą – toż to prawdziwe namaszczenie nowego mesjasza…

Aż do fazy półfinałów Anglicy rywalizowali z Francuzami o tytuł mistrzów października, od oglądania ich występów bolały zęby, a ćwierćfinał ze Szwajcarią był bodaj najbardziej niestrawnym daniem tych mistrzostw. Pokonali jednak swoją słabość i wreszcie nie odpadli w karnych, a w kolejnej fazie przeciw Holendrom zagrali swój najlepszy mecz. Być może wcześnie odpalona torpeda Xaviego Simonsa po prostu zmusiła Anglików do grania w piłkę i choć mieli wystarczająco dużo okazji, by wyrównać z gry, znów nie obyło się bez interwencji sędziowskiej. Pomógł im niby-faul w polu karnym, bo to Harry Kane kopnął rywala, tyle że w spód stopy, przez co incydent można było uznać za nakładkę. Za takie karne w A-klasie sędziowie uciekają przez ścierniska przed chłopskim linczem, na tegorocznym Euro to i tak średniej klasy kontrowersja. Oprócz horrendalnej liczby goli samobójczych (Jules Koundé w półfinale był 11. zawodnikiem, który podczas tych mistrzostw skierował piłkę do własnej bramki! – to już cała drużyna „samobójców") zapamiętamy Euro 2024 z sędziowskich kontrowersji, co w dobie VAR wydaje się co najmniej niepożądane.

Gol dający Anglikom przepustkę do finału padł po akcji rezerwowych świeżo wprowadzonych w ostatnich chwilach meczu, gdy wydawało się, że ściągnięcie z boiska liderów, Kane'a i Phila Fodena, jest działaniem bezmyślnym w kontekście możliwej dogrywki i kolejnej serii karnych. Gareth Southgate wyrósł na najlepszego stratega turnieju, dostosowując skład do potrzeby chwili, wykazując się świetną intuicją i przede wszystkim znakomitym rozpoznaniem słabych stron rywali. Mimo niechęci do angielskich piłkarzy, naszych odwiecznych prześladowców (ileż można się mścić za Wembley?!), doceniam potęgę ich zimnokrwistej piłki i przeczuwam, że ten europejski finał północ-południe wcale nieźle się ułożył. Z tego, czy iberyjski żywioł zwycięsko pokonał także ostatnią przeszkodę, czy to wyspiarskie wyrachowanie ostatecznie zatriumfowało, zdam Państwu sprawę dopiero za tydzień. ■

Czasem nieustępliwość jest przekleństwem, co powinno w końcu dotrzeć także do głowy Joego Bidena.

eprasa.pl b22ed4e4b8

Co interesowało Amerykanów?

Notatka z rozmowy ppłk. Wiesława Górnickiego z attaché wojskowym USA w lutym 1989 r.

Zmiany, które zachodziły w Polsce na przełomie lat 80. 90., szczególnie interesowały Stany Zjednoczone. Amerykańscy dyplomaci nie tylko chcieli być dobrze poinformowani, ale i wpływać na sytuację w Polsce. A i ekipa gen. Wojciecha Jaruzelskiego nie stroniła od kontaktów z nimi. Dochodziło do nich na różnym szczeblu i dotyczyły wielu spraw politycznych, zagranicznych i gospodarczych. Poniżej prezentujemy niepublikowaną notatkę płk. Wiesława Górnickiego, bliskiego współpracownika gen. Jaruzelskiego, powstałą po rozmowie z attaché wojskowym USA płk. Dennisem Monroe. Warte uwagi są fragmenty dotyczące rozmów z Solidarnością i tworzenia przez zaufanych gen. Jaruzelskiego alternatywnego kanału wymiany informacji z przedstawicielami Stanów Zjednoczonych oraz zachowania polskiego ambasadora podczas opuszczania Afganistanu przez wojska Związku Radzieckiego.

Dokument zamieszczamy w oryginalnym kształcie, z zachowaniem ówczesnej pisowni, dodając jedynie wyjaśnienia w nawiasach kwadratowych. Notatka pochodzi z kolekcji Wiesława Górnickiego znajdującej się w zbiorach Fundacji Archiwum Dokumentacji Historycznej PRL.

Paweł Dybicz

Ppłk WIESŁAW GÓRNICKI
Warszawa, dnia 1989.02.11
Nr AX/002/89

Wyłącznie do wiadomości
Tow. Generała

TAJNE

NOTATKA SŁUŻBOWA
Dotyczy: spotkania z płk. Monroe

Melduje, że 9 bm. Wraz z płk [Marianem] Moraczewskim[1] spotkaliśmy się na kolacji z amerykańskim attaché wojskowym, płk. Dennisem Monroe, na jego zaproszenie.

Zgodnie z instrukcją przekazałem na wstępie rozmówcy informację następującej treści, ujmując ją dosłownie w cudzysłowy: „zostałem upoważniony, aby poinformował pan swoich zwierzchników wojskowych, że pochodzący od nich pewien sygnał dotarł bezpośrednio do Generała Jaruzelskiego i został przychylnie przyjęty. (Użyłem angielskiego słowa, które można również zrozumieć jako »mile powitany«)". Monroe mimo mojej sugestii nie zanotował tego sformułowania, gdyż nagrywał rozmowę z ukrytego w kieszeni magnetofonu. Można więc mieć pewność, że informacja dotrze pod właściwy adres, z pominięciem kanału dyplomatycznego oraz CIA.

Podniosłem również sprawę wystąpienia [Janusza] Onyszkiewicza[2]. Wskazałem, zgodnie z instrukcją, że kluczowe decyzje X Plenum[3] zostały rozstrzygnięte decyzjami trzech generałów, z których każdy ma przecież swą własną „bazę kadrową". Nie wnikam w tej rozmowie w powiązania Onyszkiewicza z poszczególnymi agendami rządowymi USA, jednakże uważam, że powinny one wpłynąć na niego w kierunku zaprzestania tak destruktywnej działalności, gdyż godzi ona poprzez nieprzychylne reakcje „bazy kadrowej" w szanse szerokiego porozumienia narodowego. Nie ma ono w Polsce alternatywy, oprócz ponownego konfliktu wewnętrznego, który w obecnej sytuacji międzynarodowej byłby chyba dla USA niepożądany. Wojsko i aparat MSW miałyby prawo uznać, że żądanie 20% redukcji budżetów jest pierwszym konkretnym rezultatem „okrągłego stołu"[4].

Monroe wysłuchał tego wywodu bez żadnej dyskusji, a nawet z gestem ledwo dostrzegalnej aprobaty. Prawdopodobnie chodzi o rozbieżności w sterowaniu Onyszkiewiczem pomiędzy CIA i Pentagonem.

Monroe zadał nam kilka pytań dotyczących zapowiedzianych przez tow. Gen. Siwickiego zmian w WP, przy czym natarczywie pragnął się dowiedzieć o numery dywizji, które zostaną rozformowane lub skadrowane. Oczywiście odmówiliśmy odpowiedzi.

W toku rozmowy potwierdziłem zadowolenie z ustanowienia „niezależnego kanału informacji z pominięciem kanału dyplomatycznego", wyrażając nadzieję, że od czasu do czasu będzie on pożyteczny dla obu stron. Zastrzegłem się jednak, że niczego nie należy formalizować, a ponadto „nowy kanał" z natury rzeczy nie może być wykorzystywany do problematyki ściśle obronnej.

Monroe nie wypowiadał tym razem żadnych opinii na temat biegu polskich wydarzeń politycznych. Reszta rozmowy miała charakter bardziej towarzyski. Poruszyłem m.in. perspektywy „rzezi narodowej" w Afganistanie po wycofaniu kontyngentu radzieckiego oraz przekazałem tę część swych spostrzeżeń z niedawnego pobytu w Kampuczy, która z pewnością jest pożyteczna dla interesów LRK [Ludowej Republiki Kampuczy, potem Kambodży].

Biorąc pod uwagę niefortunne doświadczenie z moim poprzednim raportem służbowym dla Szefa Oddziału Wojskowych Spraw Zagranicznych, proszę Tow. Generała o wyraźną instrukcję, czy o obecnym spotkaniu powinienem złożyć stosowny meldunek w imieniu nas obu, a jeśli tak, to czy mogę go ograniczyć do poinformowania o samym fakcie spotkania, bez podawania szczegółów rozmowy.

Nadmieniam, że Monroe był podczas kolacji dość nieudolnie śledzony przez WSW i fakt spotkania jest z pewnością znany. Nigdy nie

eprasa.pl b22ed4e4b8

Gen. Wojciech Jaruzelski z Wiesławem Górnickim i Jadwigą Skórzewską, Santander, 27 lipca 1991 r.

opowiadam się ze swych spotkań z dyplomatami KK [krajów kapitalistycznych], gdyż sporządzam stosowne notatki służbowe tylko wtedy, gdy ze spotkań wynika sprawa godna przekazania.

Natomiast każdorazowe spotkanie z amerykańskim attaché wojskowym jest sprawą na tyle ważną, że uważam za konieczne przestrzeganie, nawet bardzo rygorystyczne, przepisów obowiązujących w wojsku. Tylko ten wzgląd skłonił mnie poprzednim razem do sporządzenia raportu dla płk. Dziedzica. Sądzę, że gdyby nie obecność tow. płk. Moraczewskiego, tow. gen. Siwicki nie zareagowałby z takim rozdrażnieniem. Przykro mi, że powstała tego rodzaju sytuacja, ale nie przyszło mi do głowy, że mógłbym informować członka Biura Politycznego, Ministra Obrony Narodowej, o najwyraźniej idiotycznych plotkach, które w charakterze „balonu próbnego" przedstawia attaché wojskowy USA. Jest to informacja w sam raz dla Oddziału Wojskowych Spraw Zagranicznych.

Wyrażam pogląd, że funkcjonujący już „kanał zapasowy", pozwalający ominąć CIA oraz Departament Stanu, jest dla nas niezwykle wygodną, przynajmniej potencjalnie, formą bezpośredniej komunikacji z kierownictwem Narodowej Rady Bezpieczeństwa USA. O ile wiem (tak przynajmniej było kilkanaście lat temu), materiały wywiadu wojskowego są całkowicie niezależne od tzw. raportów zbiorczych CIA, przedstawianych codziennie prezydentowi. Jest żelazną zasadą, że ważne informacje obu służb nigdy nie są przez prezydenta udostępniane „drugiej stronie", co było jedną z przyczyn przebiegu kryzysu karaibskiego w 1962 r.[5]

Korzystając ze szczególnej tajności niniejszego raportu i prosząc o natychmiastowe zniszczenie, pragnę zameldować, że przedmiotem wielu złośliwych komentarzy w MSZ, a także w niektórych kołach wojskowych, jest chyba samowolna decyzja tow. gen. [Edwarda] Poradki o opuszczeniu Kabulu na kilkanaście dni przed wyjazdem innych ambasadorów KS [krajów socjalistycznych]. Pozostawił on ambasadę pod kierownictwem cywilnego pracownika MSZ, tow. Zięby oraz dwóch kadrowych pracowników MSW (szyfranta i radiotelegrafisty), którzy zostaną wycofani z Kabulu dopiero 13 bm. Uchwała Biura Politycznego dotyczyła likwidacji placówki, a nie wyjazdu ambasadora.

Zwracam uwagę, że dopiero w środę 15 bm. Gen. [Gieorgij] Gromow, jako najostatniejszy z ostatnich żołnierzy radzieckich w Afganistanie, przejdzie pieszo przez most graniczny.

Ambasada radziecka w Kabulu pozostaje na miejscu, co jest zrozumiałe, gdyż jest to obiekt silnie ufortyfikowany, strzeżony przez ok. 300 doborowych komandosów i zapewniający możliwość przetrwania dowolnego ataku z użyciem broni konwencjonalnej. Natomiast wszystkie pozostałe ambasady KS zostają w całości ewakuowane, toteż i naszą decyzję uważam za słuszną. Problem polega tylko na tym, czy polski generał dywizji powinien być pierwszym ambasadorem KS opuszczającym to straszne miasto.

Nie wiem, czy jesteśmy dostatecznie przygotowani propagandowo i organizacyjnie do następnego chronologicznie po Kampuczy ludobójstwa, które pod koniec przyszłego tygodnia rozpocznie się w Afganistanie. Zobaczymy, co na ten temat napiszą nasze wspaniałe środki masowego przekazu.

Nigdy nie zamierzałem być ambasadorem PRL gdziekolwiek, ponieważ uważam, że brak mi takich kwalifikacji. Gdyby się jednak tak złożyło, że byłbym ambasadorem PRL w Kabulu, akurat w tym dramatycznym momencie historii, zechce Tow. Generał uwierzyć, że opuściłbym ambasadę przynajmniej o symboliczną godzinę później niż wszyscy moi pracownicy.

Ppłk Górnicki

[1] Marian Moraczewski w latach 1979-1984 był attaché wojskowym przy Polskiej Misji Wojskowej w Berlinie Zachodnim, a w latach 1986-1987 przy ambasadzie PRL w Waszyngtonie. Potem pracował w Kancelarii Rady Państwa, a następnie w Kancelarii Prezydenta Jaruzelskiego.

[2] Janusz Onyszkiewicz, działacz Solidarności, jej rzecznik, w styczniu 1989 r. zaprezentował stanowisko związku i kół opozycyjnych nt. rozmów z władzą.

[3] Podczas obrad wznowionego po miesiącu X Plenum KC PZPR (16-18.01.1989) I sekretarz KC, przewodniczący Rady Państwa gen. Wojciech Jaruzelski, a wraz z nim premier Mieczysław Rakowski, ministrowie gen. Czesław Kiszczak (MSW) i gen. Florian Siwicki (MON) oraz członkowie Biura Politycznego Józef Czyrek i Kazimierz Barcikowski oświadczyli, że ustąpią z zajmowanych stanowisk, jeżeli KC nie wyrazi zgody na legalizację Solidarności i rozmowy przy Okrągłym Stole.

[4] Okrągły Stół obradował w dniach 6.02-4.04.1989 r.

[5] Kryzys karaibski/kubański powstał w wyniku rozmieszczenia przez ZSRR na Kubie swoich pocisków balisty stycznych średniego zasięgu, bezpośrednio zagrażających terytorium USA.

FOT. PAP

eprasa.pl b22ed4e4b8

Tomasz Miłkowski

To nie jest miły świat do życia

Teatr w poszukiwaniu drogi i powiew zmian personalnych

Sezon teatralny 2023/2024 zakończył się 5 lipca dwiema premierami: „Szklanej menażerii" Tennessee Williamsa na sopockiej scenie Teatru Wybrzeże i „Skoku wzwyż" na małej scenie Teatru Dramatycznego m.st. Warszawy im. Gustawa Holoubka.

Na festiwalach królowały koprodukcje krakowskie: musical „1989" Teatru Słowackiego (zrealizowany wspólnie z gdańskim Teatrem Szekspirowskim) w reżyserii Katarzyny Szyngiery i „Jak nie zabiłem swojego ojca i jak bardzo tego żałuję" Mateusza Pakuły Teatru Łaźnia Nowa (przygotowany wspólnie z Teatrem im. Stefana Żeromskiego w Kielcach). Spektakle te zdobyły mrowie nagród, mnóstwo pochwalnych recenzji, a co równie istotne – podbiły publiczność.

Można wprawdzie marudzić, że pozytywny mit Solidarności i polskiej transformacji ustrojowej w rapowym ujęciu „1989" nie ustrzegł się uproszczeń i ułatwień, ale w końcu to musical. Adresowany głównie do młodych widzów, mający za zadanie odczarować negatywną narrację o polskiej przeszłości i jej nieznośny martyrologiczny patos. Z kolei przedstawienie Pakuły w sposób trudny do przecenienia stawia ważne pytania etyczne, jest wołaniem o godne umieranie i wsparcie cierpiących. To spektakl wywiedziony z osobistych bolesnych doświadczeń reżysera, a jednocześnie społecznie nośny.

Mistrzowie

Sukcesy Szyngiery i Pakuły to pokłosie poprzednich lat. Zakończony właśnie sezon przyniósł kolejne wydarzenia, tym razem rozdzielone między Kraków i Warszawę. Mam na myśli „Wesele" Stanisława Wyspiańskiego w reżyserii Mai Kleczewskiej w Teatrze Słowackiego i „Elizabeth Costello", sceniczny esej Krzysztofa Warlikowskiego w Nowym Teatrze.

Kleczewska przeprowadza z chirurgiczną precyzją dowód na głębokie podziały między Polakami, Warlikowski zaś pyta o szansę wymknięcia się człowieka z odwiecznej pułapki okrucieństwa. Oba spektakle, choć myślowo i artystycznie nietuzinkowe, spotkały się ze skrajnie różnymi ocenami. Z klasyką tak bywa. Z kolei eseistyka teatralna Warlikowskiego wzbudziła podejrzenia, że artysta zatrzymał się, nie znajdując nowych środków wyrazu, że uprawia sceniczne gadulstwo. Tymczasem Warlikowski odsłania duchowe rozdarcie ludzkości, szukającej swojej drogi, zmęczonej dezorientacją w podzielonym, niszczejącym świecie, w którym człowiek stał się katem zwierząt i natury.

Pewnie potrzebny jest czas, aby te dwa przedstawienia zaakceptować i docenić ich wagę. Podobnie jak kilka innych opartych na klasyce, które łatwo przegapić, uważając, że wszystko już o tych dramatach wiemy. To dotyczy także dwóch kameralnych arcydzieł krakowsko-warszawskich. Pierwszym jest „Czekając na Godota" Samuela Becketta z wybitnymi rolami Jerzego Radziwiłowicza, Mariusza Benoit, Bartłomieja Bobrowskiego i Cezarego Kosińskiego. Minimalistyczna inscenizacja Piotra Cieplaka, trzymająca się litery i sensu tekstu – trochę z konieczności, bo teatr musiał zobowiązać się do tego w umowie, a trochę z wyboru, bo takie ograniczenie okazało się zbawiennym wędzidłem – otworzyła szansę dogłębnego zbadania dzieła. Okazało się, że choć niby wszystko wiadomo, wciąż można w „Godocie" znaleźć tajemnice, które otwierają morze skojarzeń.

Drugi ze wspomnianych spektakli to „Śmierć komiwojażera" Arthura Millera w Teatrze Ludowym w Krakowie w reżyserii Małgorzaty Bogajewskiej, z koncertowymi kreacjami Piotra Pilitowskiego w roli tytułowej i Beaty Schimscheiner jako jego żony. Bogajewska otwiera aktorom przestrzeń do rysowania wnikliwych portretów psychologicznych, często

eprasa.pl b22ed4e4b8

„Wesele" w reż. Mai Kleczewskiej, głośna premiera Teatru im. J. Słowackiego w Krakowie.

Jacek Braciak jako Stalin w „Geniuszu" granym w Teatrze Polonia, ostatnim przedstawieniu w reżyserii Jerzego Stuhra.

niejednoznacznych, budzących niepokój i współczucie. Stworzenie napiętej atmosfery zaciskania się garoty na szyi głównego bohatera budzi nie tylko współczucie dla niego, ale i przerażenie, a nawet rozpacz.

Aktorskie perły błyszczały również m.in. w „Matce" Witkacego w reżyserii Anny Augustynowicz w warszawskim Teatrze Ateneum. Porywającą rolę tytułową zbudowała tam Agata Kulesza, a partnerował jej Adam Cywka jako syn. W stołecznej Komedii tymczasem w inteligentnie uwspółcześnionej i niezwykle zabawnej „Zemście" Aleksandra Fredry w reżyserii Michała Zadary królował Maciej Stuhr w roli Papkina.

Zaskakujące okazały się ukraiński, lecz niezwiązany z trwającą wojną, musical „Charków! Charków!" z Modestem Rucińskim w Teatrze Polskim w Warszawie, a także „Ostatnie dni Eleny i Nicolae Ceauşescu" Julii Holewińskiej, odsłaniające upadek reżimu. Duża w tym zasługa reżyserii Wojciecha Farugi z Teatru Polskiego w Bydgoszczy i mocnej roli Małgorzaty Witkowskiej. Publiczność i jurorów Warszawskich Spotkań Teatralnych podbiła Karolina Kowalska z Teatru Wybrzeże w kilku rolach, może najbardziej w tytułowej w spektaklu Marcina Wierzchowskiego „Piękna Zośka".

Świetny sezon mają za sobą teatry Studio i Żydowski. W pierwszym pojawiły się wyrafinowane artystycznie, krytyczne spektakle utrzymane w rozmaitych poetykach. Bliska teatrowi faktu adaptacja książki reporterskiej Wojciecha Tochmana „Polowanie na osy" w reżyserii Natalii Korczakowskiej, osobisty antymusical zen Marii Peszek „Serce ze szkła" na jubileusz Jana Peszka i arcymistrzowski monodram Ireny Jun „Stara kobieta wysiaduje" według dramatu Tadeusza Różewicza. W Żydowskim też trzy pamiętne spektakle: „Żydowski pies" młodej reżyserki Ewy Galicy z poruszającymi rolami Jerzego Walczaka, „Miasto bez Żydów" według powieści Hugona Bettauera i tchnący prawdą przeżycia monodram Aliny Świdowskiej „Chciała zapomnieć", oparty na wspomnieniach jej matki, lekarki w warszawskim getcie.

Dwa ostatnie przedstawienia w reżyserii odnotowującej coraz bardziej widoczne sukcesy Karoliny Kirsz.

Debiutanci

Warte pamięci osiągnięcia mają teatry niepubliczne. Polonia zapisała się tu z co najmniej dwóch powodów. Mam na myśli wstrząsający monodram Marii Seweryn „Na pierwszy rzut oka" o przemocy seksualnej i kosztach psychicznych ponoszonych przez ofiary oraz teatralny majstersztyk „Geniusz" Tadeusza Słobodzianka. To ostatni spektakl w reżyserii Jerzego Stuhra i z jego udziałem – zagrał legendarnego Konstantina Stanisławskiego – z mocną rolą partnerującego mu Jacka Braciaka jako Stalina.

Błyskotliwą realizacją „Handlarzy gumek" Hanocha Levina w Teatrze 6.piętro przypomniał o sobie Adam Sajnuk (także reżyser monodramu Marii Seweryn), oddając pole trójce aktorów opowiadających sugestywnie o udręce życia: Katarzynie Dąbrowskiej, Grzegorzowi Małeckiemu i Borysowi Szycowi. A to zaledwie pars pro toto długiej listy aktorskich dokonań minionego sezonu.

Po mistrzach pora skierować reflektory na młodych reżyserów. Wspomniane na początku przedstawienia wieńczące sezon pokazują równoległe drogi, którymi młodzi podążają. Spektakl w Sopocie był dyplomem Stanisława Chludzińskiego, studenta V roku AST w Krakowie, a ten w Dramatycznym przygotował Wojciech Rodak, też niedawny absolwent krakowskiej uczelni.

Wieś stała się żywym źródłem dla współczesności. To nowatorski zwrot teatru w stronę kultury ludowej, nieskażony modelem Cepelii.

eprasa.pl b22ed4e4b8

Chludziński sięgnął po dramat od lat silnie obecny w teatrze. Trzymał się tekstu, drążąc uwikłania psychologiczne postaci i dbając o współbrzmienie sztuki z naszymi czasami. Wart uwagi jest fakt, że tzw. nowa klasyka, nie ta z pierwszego rzędu (jak Szekspir, Molier, Czechow, Ibsen), okazała się dla niego ciekawym materiałem. Rodak we współpracy z dramaturgiem Szymonem Adamczakiem stworzył własny spektakl, inspirowany książką Macieja Jakubowiaka „Hanka. Opowieść o awansie". Adaptacja odsłoniła liczne niedostatki, reżyser zawiesił sobie poprzeczkę za wysoko, w rezultacie karmiąc widza banałami.

W przebudowie

Wiatr zmian personalnych w teatrach zbiegł się z przetasowaniem w parlamentarnym układzie sił. Nastąpiła radykalna przebudowa Teatru Telewizji, poniekąd tworzonego od początku po okresie zastoju i ideologicznego uwikłania. Nowe kierownictwo – Michał Kotański (będący nadal dyrektorem Teatru im. Stefana Żeromskiego w Kielcach) i Wojciech Majcherek – zainicjowało zmiany. Wznowiło np. przedstawienia z bogatego archiwum, podjęło też decyzję o rejestracji najciekawszych spektakli teatru żywego planu. Dzięki temu zorganizowany w czerwcu w Sopocie Festiwal Dwa Teatry (powrót po „wygnaniu zamojskim") mógł przedstawić 14 premier. Wśród nich znalazły się nagrodzone grand prix „Zapiski z wygnania" z Teatru Polonia w reżyserii Magdy Umer – wstrząsający monodram Krystyny Jandy, i wspomniany już musical „1989".

Jeszcze przed wyborami parlamentarnymi nastąpiła zmiana warty w TR Warszawa, skąd wskutek wewnętrznych napięć odszedł długoletni szef artystyczny Grzegorz Jarzyna. Dyrektorkę naczelną zastąpiła od 1 września 2023 r. wyłoniona w konkursie Anna Rochowska, od lat związana z tym teatrem. Po konflikcie wewnętrznym w Teatrze Kwadrat miejsce wieloletniego dyrektora Andrzeja Nejmana zajęła znana aktorka tego teatru Ewa Wencel. W tym samym czasie nowym dyrektorem w Teatrze Komedia został Krzysztof Wiśniewski, dotychczasowy szef Sceny Komediowej.

Nie udało się wyłonić w konkursie dyrektora Teatru Dramatycznego – zostanie nim w drodze nominacji Wojciech Faruga, który obejmie fotel 1 listopada. Jego zastępczynią będzie Julia Holewińska.

Na tym tle zapowiedziana zmiana dyrekcji w warszawskim Teatrze Współczesnym przypomina sielankę, choć nie brakuje łez na pożegnanie Macieja Englerta, który kierował tą zasłużoną sceną przez 43 lata. Od nowego sezonu jako dyrektor naczelny rozpoczyna pracę Wojciech Malajkat, a jego zastępcą ds. artystycznych będzie Marcin Hycnar. Zdumiewające, że na ostatnim spektaklu sezonu, poniekąd pożegnalnym starej dyrekcji, zamiast prezydenta Warszawy pojawił się tylko jego wysłannik z listem.

W Krakowie po 800 dniach zakończyło się niesławne polowanie na dyrektora Teatru im. Juliusza Słowackiego, Krzysztofa Głuchowskiego, którego usiłował odwołać eksmarszałek województwa małopolskiego Witold Kozłowski. Pretekst ku temu był dęty, a przyczyna uporczywości szykan nietrudna do wskazania: nieposłuszeństwo Głuchowskiego, który pozwalał występować na scenie Marii Peszek, a przede wszystkim dopuścił do wystawienia „Dziadów" w reżyserii Mai Kleczewskiej, broniąc zasady niezależności artystycznej. Nadal nie wiadomo, kto obejmie dyrekcję Słowaka. Rozpisany przez marszałka konkurs został unieważniony, lecz apele zespołu teatru o przedłużenie kadencji obecnemu dyrektorowi (która upływa 31 sierpnia) pozostały bez echa. Jeśli nie zostaną podjęte nadzwyczajne decyzje ministry kultury, dorobek teatru może zostać zniweczony – w samorządzie małopolskim pozostała przy władzy ta sama ekipa, mimo gorszących

Jan i Maria Peszkowie zagrali w osobistym antymusicalu „Serce ze szkła" na scenie Teatru Studio.

„Elizabeth Costello", sceniczny esej Krzysztofa Warlikowskiego w Nowym Teatrze.

Konkursy są kołem zamachowym polskiej dramaturgii, ale żal, że wyróżniane sztuki z reguły kończą żywot po pierwszej realizacji.

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl b22ed4e4b8

sporów w PiS poprzedzających wybór nowego marszałka.

Inaczej rzecz się ma z Narodowym Starym Teatrem, w którym zmiana dyrekcji została przesądzona. Konkurs wygrała Dorota Ignatjew, dotychczasowa dyrektorka Teatru Nowego w Łodzi, a jej zastępcą zostaje beniaminek krytyki Jakub Skrzywanek, dotychczasowy szef Teatru Współczesnego. Zaledwie dwa lata wcześniej objął dyrekcję w Szczecinie, namaszczony przez poprzednią dyrektorkę Annę Augustynowicz. Obsada Starego Teatru skomplikuje więc najbliższą przyszłość dwóm ważnym teatrom w Łodzi i Szczecinie.

Powrót literatury

Dramat współczesny, wypychany na wszelkie sposoby ze sceny, wraca frontowymi drzwiami – wielkie na tym polu zasługi ma organizowany od lat pod skrzydłami Ministerstwa Kultury (niezależnie od tego, kto nim włada) Ogólnopolski Konkurs na Wystawienie Polskiej Sztuki Współczesnej. W tym roku odbył się po raz 30., a triumfowały „Dropie" Natalki Suszczyńskiej w adaptacji Michała Kmiecika i reżyserii Marcina Libera z Teatru im. Wilama Horzycy w Toruniu, groteskowa opowieść o prekariacie.

Żal, że wyróżniane sztuki z reguły kończą żywot po pierwszej realizacji. Mimo to konkurs pozostaje kołem zamachowym polskiej dramaturgii, wspomaganym przez Gdyńską Nagrodę Dramaturgiczną. W ostatnich sezonach dołączyły do niej: Nagroda Dramaturgiczna Miasta Bydgoszczy Aurora, gliwicka Nagroda Dramaturgiczna im. Tadeusza Różewicza i program Dramatopisanie prowadzony przez Instytut Teatralny.

Prawie na koniec sezonu Teatr Narodowy na scenie Studio przygotował premierę nagrodzonego w konkursie Różewicza w pierwszej edycji (2022) „Feblika" Małgorzaty Maciejewskiej w reżyserii Leny Frankiewicz. Autorka nie odwzorowuje świata widzialnego. Jej nieistniejące realnie uniwersum jest jednak lustrem, w którym przeglądamy się wraz ze swoimi przesądami, uwikłaniem w przemoc i mroczne instynkty. To nie jest miły świat do życia, jedynym sposobem pozostaje ucieczka. I właśnie o tej niełatwej drodze do wolności opowiada w spektaklu Frankiewicz.

Maciejewska nie zatrzymała się na tym, dając kolejny niezwykły tekst, „Na borg" – jak sama powiada, mający oddać sprawiedliwość starym kobietom, ich pamięci i marzeniom o godnym życiu. Zadedykowała go swoim babciom, Anielce i Hani. Dramat (w reżyserii Marty Streker), który wszedł do repertuaru Nowego Teatru w Słupsku, został zrealizowany w przestrzeni byłego Żydowskiego Domu Przedpogrzebowego z udziałem członkiń zespołu ludowego Klęcinianki z Główczyc i Koła Gospodyń Wiejskich Stowięcino. Autorka potwierdziła skalę wyobraźni, tym razem odwołując się do zasobów polskiej tradycji, zwłaszcza Mickiewiczowskich „Dziadów". „Na borg" jest ostatnią częścią jej „Trylogii na smutne czasy", której bohaterkami są kobiety: w latach dorastania („Feblik"), dojrzałości („Rigor Mortis") i starości. To nowatorski, nieskażony modelem Cepelii zwrot w stronę kultury ludowej, którym Maciejewska upomina się o wieś jako żywe źródło dla współczesności.

Tomasz Miłkowski

Kleczewska przeprowadza dowód na głębokie podziały między Polakami, zaś Warlikowski pyta o szansę ucieczki z odwiecznej pułapki okrucieństwa.

eprasa.pl b22ed4e4b8

FESTIWAL

30. Międzynarodowy Plenerowy Festiwal Jazz na Starówce
Aga Zaryan Quintet

Jedna z najlepszych polskich wokalistek jazzowych i laureatka najważniejszych nagród w świecie muzycznym. Aga Zaryan międzynarodowe uznanie zawdzięcza ciepłemu, matowemu głosowi i charakterystycznej lekkości frazowania. Jej pierwszy album, solowy „My Lullaby" z 2002 r., uzyskał status złotej płyty. Na 20-lecie debiutu fonograficznego wydała 11. już krążek, zatytułowany „Sara". Rekordowa sprzedaż jej albumów, nagrywanych m.in. dla Blue Note, udowadnia, że ambicja i wysublimowany styl pozwalają dotrzeć do szerokiego grona odbiorców. W sobotę z udziałem znakomitych muzyków wystąpi ze specjalnym, retrospektywnym programem. Będą muzyczne niespodzianki dla publiczności. *(ap)*

Więcej na: www.jazznastarowce.pl, www.facebook.com/festiwaljazznastarowce.

Warszawa, Rynek Starego Miasta, 20 lipca, godz. 19

NA EKRANACH

Eksperyment społeczny

To swoisty eksperyment społeczny. Kasia i Robert sprzedają mieszkanie i rzeczy, które w nim przez lata zgromadzili, pakują trójkę synów do kampera i ruszają w świat. Bez planu, bez zobowiązań i – co najważniejsze – bez ograniczeń. Reżyserka Agnieszka Kokowska śledzi transformację ich życia, z monotonnego, ale stabilnego, w nomadyczne. To nie są wakacje, bohaterowie nie próbują uciekać od codzienności. Mierzą się ze zdalnym nauczaniem i wyzwaniami typu posiłki, sprzeczki z dziećmi. Emocji na ekranie nie brakuje – nomadzi cały czas poznają kogoś nowego, ale i ciągle z kimś się żegnają, gdy zmieniają miejsce pobytu. Poza ciekawymi obserwacjami z życia w niekończącej się podróży (bohaterowie jeżdżą tak już kilka lat) Kokowskiej udaje się uchwycić specyficzną relację rodzinną. Ekranowa familia wszystko ze sobą przegaduje, rodzice uczą chłopców wyrażać to, co czują, nie tłumić niczego w sobie. Kasia i Robert nie tracą głowy w tych wariackich warunkach. *Artur Zaborski*

W stronę słońca
reż. Agnieszka Kokowska,
prod. Polska,
w kinach od 14 lipca

ZAJRZYJ TU

Zamek pół wieku bez Hasiora

Zaraz po odbudowie warszawskiego zamku w surowych, niewykończonych salach Władysław Hasior miał indywidualną wystawę. Na 50-lecie tamtego wydarzenia można znów zobaczyć dzieła jednego z najsłynniejszych współczesnych polskich rzeźbiarzy. Pokazuje on ogrom polskiego cierpienia, w ostrych symbolach przeciwstawia się propagandowej papce i zaskakuje wykorzystaniem najprostszych sprzętów, nadając im nowe funkcje. Skłania do myślenia i pobudza wyobraźnię. Po mistrzowsku.

Bronisław Tumiłowicz

„Hasior. Trwałość przeżycia", Zamek Królewski w Warszawie, do 8 września

KURTYNA W GÓRĘ

Nakarmić kruki

Małgorzata Wdowik wraz z zespołem Wrocławskiego Teatru Pantomimy przenosi widzów do dziwnej, niepokojącej, na poły mitycznej krainy, którą staje się tu holenderska wieś. W świecie powieści Rijnevelda życie i śmierć, nie tylko ludzkie, sąsiadują ze sobą. Wdowik w ślad za autorem snuje opowieść o tragicznej śmierci dziecka, która na zawsze zmienia życie pozostałych członków rodziny. Rodzeństwo Jas, Obbe i Hanna – świetne trio Agnieszka Dziewa, Jakub Pewiński i Karolina Paczkowska – musi radzić sobie nie tylko z żałobą, bólem i lękiem, pogłębiającą się depresją rodziców, ale i z własnym dojrzewaniem. Mieszkańcy tej mroźnej krainy nieustannie żyją w cieniu śmierci. Zwierzęta gospodarskie, ludzie – wszyscy podlegają tym samym absurdalnym, niemożliwym do zrozumienia regułom. Rzeczywistość oglądana z perspektywy nastoletniej bohaterki jest w gruncie rzeczy przerażająca.

Monumentalna powieść, choć w adaptacji Roberta Bolesty zredukowana do kilkunastu zaledwie zdań, znajduje na scenie efektowny, bardzo zmysłowy teatralny ekwiwalent. Przede wszystkim za sprawą dobrego zespołowego aktorstwa, intrygującej ścieżki dźwiękowej oraz sugestywnej choreografii.

Michał Centkowski

Marieke Lucas Rijneveld, „Niepokój przychodzi o zmierzchu", reżyseria Małgorzata Wdowik, Wrocławski Teatr Pantomimy, premiera 3 marca 2023

Kolumnę przygotowała Agata Gogołkiewicz

FOT. NATALIA KABANOW, KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI, MATERIAŁY PRASOWE (2)

eprasa.pl b22ed4e4b8

Lewomyślniej

Roman Kurkiewicz

Zrozumieć nie znaczy zaakceptować

Coraz częściej ostatnio konfrontuję się z postawą, którą nazwałbym buddyjską. Jest to pakiet przekonań, które w największym skrócie można by określić słowami: „tak po prostu jest", w domyśle: „tak jest dobrze, nic nie należy z tym robić". Jeśli chodziłoby o tzw. życiową mądrość – żaden problem, powiedziałbym nawet: zdrowy dystans jeszcze nikomu nie zaszkodził. Mój opór jednak budzi przenoszenie takiej postawy w wymiar polityczny, historyczny, ideowy. Postaram się to zilustrować konkretnymi przykładami. Polityczne na początek.

Dobrze rozumiem, dlaczego Jarosław Kaczyński, nie zważając nawet na ewentualną odpowiedzialność sądową, każdego 10. dnia miesiąca walczy jak lew z wieńcem, na którym jest napis: „Pamięci 95 ofiar Lecha Kaczyńskiego, który, ignorując wszelkie procedury, nakazał pilotom lądować w Smoleńsku w skrajnie trudnych warunkach. Spoczywajcie w pokoju". Ta treść wymierzona jest w sedno mitu „zamachu" smoleńskiego, ściąga go na ziemię jak pasmo błędnych decyzji, które doprowadziły do katastrofy. Rozumiem także, że w zbudowanym przez Kaczyńskiego kulcie brata – „najwybitniejszego Prezydenta RP" nie ma miejsca na jakąkolwiek krytykę, a co dopiero zarzut bezpośredniej odpowiedzialności. To moje zrozumienie ma podłoże psychologiczne, na tym poziomie „rozumiem".

Ale już krok dalej rozpoczyna się polityczna batalia, na kłamstwie smoleńskim PiS poszybowało do władzy, doprowadziło do skrajnej polaryzacji politycznej polskiego społeczeństwa, mając za sobą aparat władzy, pieniądze i wpływy. Partia nie zdołała nawet uprawdopodobnić tezy o zamachu na prezydencki samolot, a dokonania komisji Macierewicza czekają raczej na twarde rozliczenie marnotrawstwa publicznych środków niż na jakiekolwiek oklaski.

W sprawie feralnego wieńca zapadły prawomocne wyroki sądów, które uznają prawo do wyrażania w tej formie swojej opinii. Przez lata bycia prezesem Polski Kaczyński nie omieszkał wykorzystywać w tych dziecinnych przepychankach policji i żandarmerii wojskowej. Gdy władzę trzeba było oddać, do rękoczynów i niszczenia wieńca oddelegował się osobiście, stając się karykaturą własnych fobii. Cały wymiar politycznej manipulacji tragedią smoleńską, cynicznej i na wskroś koniunkturalnej, zasługuje na niezgodę. Osobiste oraz partyjne interesy nie są usprawiedliwieniem dla trwającej kilkanaście lat hucpy. Za wybryki o charakterze chuligańskim, mam nadzieję, prezes PiS stanie przed sądem. Rozumiejąc zatem na płaszczyźnie ludzkiej, żadnej zgody dać nie można na płaszczyźnie politycznej.

Inny przykład: rozmawiam ze świetną reporterką, autorką wydanej akurat książki o Polakach w Teksasie w czasach „Dzikiego Zachodu", oczywiście jest tam mnóstwo współczesnego Teksasu. Pojawia się temat powszechnego, niepodważalnego prawa do posiadani broni palnej, w tle kolejna masakra w szkole, krew, trupy. Ale słyszę: rozmawiałam z nimi, są tacy mili, uprzejmi, dobrzy, trzeba zrozumieć ich tradycję, tacy już są. Próbuję argumentować, że takie podejście, nie tyle do broni, ile do prawa jej użycia, ma poważne konsekwencje polityczne – USA niemal nieprzerwanie od 1945 r. prowadzą i wywołują konflikty wojenne. Prawie 50% światowego handlu bronią to także ten kraj. Hołubieniem tak rozumianej „tradycji" i fałszywej ciągłości historycznej (Dziki Zachód to jednak przeszłość) legitymizuje się globalną przemoc, odsuwa krytyczną refleksję na temat tej przemocy jako instrumentu politycznego i w końcu uczłowiecza przemoc radykalną. Ale oni są tacy mili, uprzejmi, dobrzy... Cóż, żyjemy w XXI w., wiemy, że sprawcy największych zbrodni to zwykli ludzie, kochający ojcowie, mężowie, bracia. Ich dobroć jest okrojona do wspólnoty rodzinnej, wioskowej, miasteczkowej, stanowej lub krajowej, inni zawsze mogą stać się celem.

W całej tej konfrontacji zderzają się dwie wizje świata. Niezmiennego, trwałego, starego, a więc „dobrego" z racji samego istnienia, i świata, który podlega zmianom albo do zmian musi zostać nakłoniony czy zmuszony. Jestem z tej drugiej opowieści. Cieszę się, że świat XIX-wiecznej przemocy i pracowniczego wyzysku odszedł do lamusa. Nie sam odszedł i nie dobrowolnie, tysiące osób oddało życie, krew, wolność. Wcześniej był tysiącletni feudalizm. I nie był „dobry" przez to, że był. Te zmiany muszą postępować. Ocena takich trwających długo procesów wymaga dystansu, ale z perspektywy czasu widzimy, jak wiele zmieniło się na lepsze. Jednak nie możemy tracić z oczu faktu, że nie dzieje się to samo z siebie. Samo z siebie to trwa całe to przemocowe, wyzyskowe gadanie, za którym najczęściej też stoi po prostu własny interes.

W polityce zatem, jestem przekonany, nie ma miejsca na akceptację status quo, jest miejsce na zmiany i na nowe. Wszak wiemy coraz więcej, potrafimy wymyślać i konstruować także społecznie lepsze reguły i instytucje. Czas przestać się godzić na to, co jest, bo takie jest.

„Lawina bieg od tego zmienia, / Po jakich toczy się kamieniach. / I, jak zwykł mawiać już ktoś inny, / Możesz, więc wpłyń na bieg lawiny", pisał Miłosz. I dobrze pisał. ■

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl b22ed4e4b8

Jakie filmy kochają Polacy?

Nieustannie bawią nas „Kogel-mogel" i „Sami swoi", wzruszają „Pianista" i „Znachor", a za najbardziej kultowe produkcje uznajemy „Janosika" i „Psy"

Artur Zaborski

Lata 90. Rodzinny zjazd wielkanocny. Na stole sałatki, mazurki i flaszki z wódką. Dookoła gwar rozmów. Przerywanych wtedy, gdy na ekranie stojącego w rogu telewizora zaczyna się ważna scena z któregoś filmu. Wszyscy śmieją się, gdy Kargul i Pawlak nawzajem tłuką sobie garnki i targają koszule. Wzruszają, gdy Kmicic tuli do siebie Oleńkę w sunących po śniegu saniach i wstrzymują oddech, gdy słychać kultowe zdanie: „Proszę państwa, Wysoki Sądzie, to jest profesor Rafał Wilczur!".

Jeszcze trzy dekady temu święta miały swoje nieodłączne elementy – jednym z nich były emitowane w telewizji ukochane produkcje Polaków. Wtedy sprawa była prosta. Oglądaliśmy to, do czego mieliśmy dostęp, czyli filmy, które pokazywali nam kiniarze albo nadawcy telewizyjni.

Klęska urodzaju

Dzisiaj platformy streamingowe nie oczekują, że zasiądziemy przed ekranem wyznaczonego dnia o konkretnej godzinie. Dzięki przepastnym bibliotekom, których zawartość jest dostępna na życzenie, możemy sobie włączyć tysiące produkcji o dowolnej porze dnia i nocy. Spektakularnie zwiększyła się też liczba premier – toniemy w zalewie nowych propozycji, które debiutują w streamingu niemal codziennie. Czy w czasach, kiedy oferta jest tak bogata, że nikt nie jest w stanie pochłaniać wszystkiego, co nam się proponuje, ludzie chcą jeszcze wracać do tego, co już kiedyś obejrzeli?

To, czy słowa inżyniera Mamonia, że najbardziej lubimy piosenki, które dobrze znamy, da się obecnie przełożyć na kino, sprawdziła grupa Kino Polska. Stacja od dwóch dekad oferuje nam mieszankę kultowych polskich produkcji i hitów ostatnich lat. Zlecone w czerwcu br. Agencji Badawczej Zymetria badanie „Popularność polskiego filmu wśród polskich widzów" miało odpowiedzieć na kilka pytań. Które polskie filmy najbardziej wzruszają Polaków? Czy zetki i milenialsi oglądają jeszcze kultowe polskie filmy sprzed lat? Jak bardzo preferencje pokolenia Z różnią się od wyborów filmowych baby boomersów? Które polskie filmy bawią poszczególne pokolenia i gdzie najchętniej oglądamy rodzime kultowe produkcje?

Reprezentatywna próba 1 tys. osób miała wybrać spośród kilkudziesięciu filmów te, które są dla nich kultowe, wzruszające albo zabawne. Co z tych badań wynika? Przede wszystkim obalają one stereotyp, że Polacy są zmęczeni rodzimymi produkcjami. Wbrew powszechnej opinii, że ciągle grają Karolak i Adamczyk, nie słychać dialogów, a nastrój polskiego kina jest dołujący, większość ankietowanych, niezależnie od generacji, do której przynależy, deklaruje, że je ogląda. I to w dużym natężeniu: ponad połowa (59%) twierdzi, że robi to co najmniej raz w tygodniu, a prawie jedna trzecia codziennie lub dwa-trzy razy w tygodniu. Ponad trzy czwarte widzów przyznaje, że lubi polskie filmy. Najbardziej docenia je pokolenie baby boomersów, czyli osoby w wieku 58-65 lat, spośród których aż 85% wskazało, że uważa polskie filmy za wartościowe.

Ważniejszy film niż twórca

Badanie jasno też pokazuje, że przywiązujemy wagę do jakości filmu, a nie do kontrowersji wokół jego twórcy, czego najlepszym dowodem zwycięstwo oscarowego „Pianisty" (2002) Romana Polańskiego w kategorii film, który wzrusza. Wiele osób z branży odcięło się od reżysera, bo na fali ruchu #MeToo powróciła głośna sprawa z 1977 r., gdy Polański odbył stosunek seksualny z 13-letnią Samanthą Geimer, za co został skazany w USA. Choć poszedł na ugodę z sądem, potem w obawie przed surowym wyrokiem uciekł do Francji, która nie ma umowy ekstradycyjnej ze Stanami. Polańskiego wyrzucono z akademii przyznających Oscary i Cezary, a jego wizytę w łódzkiej Szkole Filmowej w 2019 r. oprotestowali studenci. Jednak widzowie od twórcy się nie odwrócili i nadal kochają jego filmy.

Badanie w szerszej skali pokazuje, że ruchy społeczne i afery w internecie w niewielkim stopniu przekładają się na nasze przywiązanie do filmów, czego dowodem obecność w czołówce rankingów takich filmów, jak „Psy" (1992, drugie miejsce w kategorii film kultowy)

eprasa.pl b22ed4e4b8

„Janosik" Jerzego Passendorfera z 1974 r. zwyciężył w kategorii filmów kultowych.

„Znachor" Jerzego Hoffmana z 1982 r. zajął drugie miejsce wśród filmów, które wzruszają.

Władysława Pasikowskiego czy „Seksmisja" (1983, trzecia pozycja w kategorii film, który rozbawił). Pierwszy spotkał się z pretensjami młodego pokolenia, które nie akceptuje maczystowskiego ujęcia mężczyzn i przedmiotowego pokazania kobiet. Drugi natomiast z dzisiejszej perspektywy niektórym internautom wydaje się seksistowski (kobiety są w nim pokazane jako dominujące i nieprzyjemne, co ma być dla nich deprecjonujące) i transfobiczny (żartuje się z osób niezgodnych z tradycyjnymi normami płciowymi). Jak widać, wirtualne dysputy nie wychodzą poza sieć i wciąż po te świetnie przyjęte przez krytyków i publiczność filmów lubimy sięgać.

Przyglądając się poszczególnym kategoriom, można też wywnioskować, że rację mieli twórcy „Baby boom, czyli kogel-mogel 5" (2024) i „Sami swoi. Początek" (2024), którzy powrócili do – zdawałoby się – zapomnianych już bohaterów. Okazuje się, że Polacy nadal noszą ich w sercu. „Sami swoi" (1967) Sylwestra Chęcińskiego zajęli trzecie miejsce w kategorii film kultowy i drugie miejsce w kategorii film, który bawi. Respondentów bardziej rozbawił tylko „Kogel-mogel" (1988) Romana Załuskiego. „Znachor" (1982) Jerzego Hoffmana w badaniu zajął drugie miejsce wśród filmów, które wzruszają. Nie dziwi więc gigantyczne powodzenie zrobionej w ubiegłym roku przez Netflix nowej adaptacji prozy Tadeusza Dołęgi-Mostowicza, które potwierdza wielki sentyment widzów do wersji sprzed lat, a także potrzebę młodego pokolenia, aby mieć swojego „Znachora". Podobnie można popatrzeć na „Chłopów". Film Jana Rybkowskiego z 1973 r. zajął dziewiąte miejsce w zestawieniu kultowych produkcji, a malowana wersja DK i Hugh Welchmanów z zeszłego roku zgromadziła w kinach 1,8 mln widzów. „Stary" „Kiler" (1997) Juliusza Machulskiego zajął siódme miejsce w kategorii filmów kultowych i tę samą pozycję wśród filmów, które bawią. Właśnie powstaje trzecia część. Nie zdziwiłbym się, gdybyśmy lada moment dostali również nową wersję „Janosika" (1974) Jerzego Passendorfera, który okazał się numerem jeden wśród kultowych polskich filmów według ogółu badanych widzów, albo „Potopu" (1974) Jerzego Hoffmana, który znalazł się na pozycji czwartej.

Wolimy nostalgię

„Potop" jest ulubionym filmem baby boomersów. Pokolenie X, czyli osoby w wieku 45-57 lat, postawiło na „Rejs" (1970) Marka Piwowskiego, który portretuje absurdy życia w PRL i dla młodych widzów staje się coraz mniej zrozumiały. Milenialsi (30-44 lata) uznali za swój klasyk „Psy", z kolei najmłodsza generacja Z (16-29 lat) zagłosowała za „Korczakiem" (1990) Andrzeja Wajdy ze scenariuszem Agnieszki Holland. To o tyle zaskakujące, że filmu nie ma ani na Netfliksie, ani w MAX, a to przecież na platformach młoda widownia uczy się dzisiaj klasyki. Co ciekawe, respondenci deklarują, że nadal polskie filmy najchętniej oglądają w telewizji, a nie w streamingu.

Co jeszcze wynika z badania? Że wcale nie jesteśmy smutasami. W pierwszej dziesiątce kultowych filmów znalazły się aż cztery komedie („Sami swoi", „Rejs", „Miś", „Kiler"), tyle samo filmów historycznych („Janosik", „Potop", „Chłopi", „Noce i dnie"), kryminalne „Psy" i jeden dramat społeczno-polityczny, czyli „Człowiek z marmuru" (1977) Andrzeja Wajdy. Wygląda na to, że współcześni filmowcy popełniają błąd, eksplorując najciemniejsze strony egzystencji Polaków, bo widzowie nadal w kinie chcą się śmiać i to, jak wskazuje zestawienie, nie na komediach romantycznych. Nie wiadomo wprawdzie, ile filmów z tego gatunku mieli do wyboru ankietowani, ale wśród filmów, które bawią, znalazła się tylko jedna taka produkcja – „Lejdis" (2008) Tomasza Koneckiego, choć nie jest to typowa komedia romantyczna.

> Wcale nie jesteśmy smutasami. W pierwszej dziesiątce kultowych filmów znalazły się aż cztery komedie.

Zestawienie filmów, które nas wzruszają, też potwierdza, że wolimy fabuły osadzone w przeszłości („Pianista", „Znachor", „Katyń", „Trędowata", „Korczak", „Róża", „Noce i dnie") niż perypetie współczesnych bohaterów. Tylko trzy filmy dziejące się mniej lub bardziej współcześnie wzbudziły w widzach duże emocje – „Tato" (1995) Macieja Ślesickiego, „Jesteś Bogiem" (2012) Leszka Dawida oraz „Plac Zbawiciela" (2006) Joanny Kos-Krauze i Krzysztofa Krauzego.

Wygląda więc na to, że filmy służą nam do ucieczki od trudnej i skomplikowanej teraźniejszości. Z tęsknotą spoglądamy w przeszłość, a jej wspomnienie powoduje, że chętnie sięgamy po starsze kino. Podążając za wskazaniami widzów, w lipcu na kanale Kino Polska będzie można obejrzeć wybrane filmy uwzględnione w badaniu:

- **„Psy" – sobota, 20 lipca, godz. 0.05 (noc z piątku na sobotę),**
- **„Chłopi" – sobota, 27 lipca, godz. 14.35.**

FOT. EAST NEWS

eprasa.pl b22ed4e4b8

Żegnamy Jerzego Stuhra, wybitnego Polaka – aktora, reżysera, pedagoga. Mądrego człowieka, szanowanego i kochanego także przez naszych czytelników. Przypominamy jeden z wywiadów, którego udzielił „Przeglądowi".

JERZY STUHR
– aktor i pedagog
(1947-2024)

Najlepsze rzeczy zrobiłem w PRL

Zawsze podchodzę z dystansem, z przymrużeniem oka. Tak się ukształtowałem. „Pat i Pataszon", proszę pana

Rozmawia Artur Zaborski

Święta spędza pan z bliskimi czy na scenie?

– Tylko raz grałem w Wigilię, we Włoszech. Pracowałem wtedy w teatrze w Trieście i gdy zobaczyłem repertuar, zapytałem: „Gramy w Wigilię, dwudziestego czwartego?". Mnie za komuny opowiadali koledzy, że musieli w latach 50., za stalinizmu, w Wigilię grać – na widowni samo wojsko siedziało, więc kompletnie się nie spodziewałem, że we Włoszech ktokolwiek na taki spektakl przyjdzie. Ale Włosi na to: „A dlaczego nie? Przecież tłumy ludzi będą. Potem pójdą na spacer i na kolację". I zagraliśmy.

Był komplet?

– Tak. Życzenia żeśmy sobie w teatrze składali, każdy wylosował kolegę, któremu coś kupił. Przedziwne prezenciki sobie wtedy wymyślaliśmy. Zamartwiałem się o kolację, o rybę, ale na szczęście bliscy wtedy do mnie przyjechali. Wigilię spędziliśmy w restauracji, chyba jedyny raz, bo zawsze rodzina gotowała. Kiedyś my z małżonką, a teraz to się zmieniło – gotują dzieci, a my jesteśmy gośćmi. Potem zabieramy wnuczki do nas na wieś, pod Rabkę, uczymy je jeździć na nartach. Niech się uczą jak najwięcej od dziadków.

Pan dużo się nauczył od swoich?

– Babcia, proszę pana, która w młodości była śpiewaczką operową, wszystkiego mnie nauczyła: i pływać, i jeździć na rowerze. Wszystko babcia. Była dla mnie wielką osobowością. Do kina pierwszy raz też ona mnie zabrała, na „Pata i Pataszona", kiedy miałem pięć lat.

eprasa.pl b22ed4e4b8

To była taka zwulgaryzowana wersja Flipa i Flapa, w której chodziło już tylko o to, żeby ktoś dostał tortem w buzię albo kopa w tyłek. Ja się wtedy bardzo cieszyłem. Mówiłem potem, że gdyby mnie babcia na „Hamleta" Laurence'a Oliviera zaprowadziła, to może byłbym zupełnie innym aktorem. Ale ona na „Pata i Pataszona"…

Dzieci sam pan zabierał do kina czy też zostawiał to babci?

– Nie pamiętam dokładnie, jak to było. Przypominam sobie za to, jak mój syn Maciej zadebiutował w „Dekalogu" Krzysztofa Kieślowskiego jako chłopczyk. Byłem potwornie zdenerwowany graniem z własnym dzieckiem. Z obcymi wchodzić w fikcję to coś innego, ale wygłupiać się z synem i odpowiadać nie swoim tekstem było trudno. Zdenerwowany byłem strasznie, myliłem się. Kieślowski śmiał się ze mnie okrutnie, kiedy ja – który nigdy nie zapominałem tekstu – zapominałem. A Maciej wchodził w te sytuacje jak dziecko – jego bardziej interesowały śrubki na kamerze niż odtwarzanie jakichś tam słów.

Obserwował pan, jak rodzi się u niego miłość do kina?

– Nie tyle do kina, ile do teatru. Przeżywałem wtedy mój pierwszy bum zawodowy. Strasznie dużo pracowałem, prawie w ogóle w domu mnie nie było. Jedyne spotkania moje i syna były, kiedy przyjeżdżałem z Łodzi do Krakowa na spektakl. Żona go przyprowadzała do teatru i to była nasza jedyna szansa na spotkanie. Siedział na widowni i patrzył, jak graliśmy, a w przerwie wymienialiśmy parę zdań, pytałem, co w szkole. Po spektaklu od razu jechałem do Łodzi, żeby być na miejscu o trzeciej rano. Maciej wychowywał się w teatrze. Film przyszedł później – chyba od Kieślowskiego się zainteresował moimi rolami kinowymi. Potem obserwowałem, jak sam zaczął coś próbować. To zawsze dylemat dla rodziców dzieci, które wybierają artystyczne zawody – czy one się do tego nadają. Jak się nie nadają, ale połknęły tego bakcyla, to tragedia. Jednak widziałem, że on się nadaje, dlatego nie interweniowałem. No i jemu się udało, bo się do tego nadawał – jako pedagog już stwierdzałem, obserwując go, że ma do tego predyspozycje.

Aktorzy często nie chcą, żeby dzieci szły w ich ślady, z powodu ceny, jaką się płaci w tym zawodzie. To utrata prywatności, ciągłe bycie ocenianym. Nie chciał pan ochronić go przed tym?

– Trochę chciałem, bo on jest wrażliwszą osobą niż ja. Do tego zawodu trzeba mieć nerwy. Wytrzymywać stresy, kiedy ktoś ocenia, kiedy nie można do końca być sobą. Mówiłem mu: „To jest codziennie tak, jakbyś zdawał maturę". To jedyne uczucie stresu, które znał, będąc młodym człowiekiem, więc było to najdobitniejsze porównanie. „Co wieczór idziesz na osąd ludzi – i to taki natychmiastowy, bezwzględny, bo przecież na aktorstwie każdy się zna", bez przerwy mu klarowałem. Zawsze miałem obawy, że będąc osobowością delikatniejszą niż ja, może mieć z tym problemy. On ich nie ujawnia, ale gdzieś go pewnie męczą. Chociaż teraz, gdy już przebrnął te wszystkie granice – popularności, spełnienia – jest mu troszkę łatwiej.

Maciej poznał też smak hejtu i odrzucenia. A pan?

– Tylko „Trybuna Ludu" o mnie źle pisała za komuny. To było jedyne, co przeżywałem, bo było faktycznie groźne.

Czym pan podpadł?

– „Wodzirejem". Kiedy w „Trybunie Ludu", naczelnym organie wiodącym, ukazało się moje zdjęcie z wielkim podpisem: „Nie trzeba nam wodzirejów w tym kraju", martwiłem się, czy jeszcze w czymkolwiek zagram. Wielki stres.

Publikacja miała konsekwencje?

– Nie, jakieś kąsania drobne, ale naprawdę drobne w porównaniu z moimi kolegami z KOR. Ja do tego tzw. hejtu byłem wtedy przygotowany, bo takim jestem typem – ślizgam się po tym wszystkim, spływa to po mnie. Ale Maciej ma inaczej – jego to boli.

Po „Pokłosiu" na Macieja wylała się fala pomyj. Skala tego problemu jest nieporównywalnie większa niż w PRL.

– Jest, to zjawisko umocniło się, ale z drugiej strony straciło znaczenie, bo nie ma konsekwencji. Za komuny odwrotnie – człowiek się bał, czy będzie mógł jeszcze pracować. A teraz to wie pan – gadanie, gadanie, hejt, hejt. To tylko boli w sferze ludzkiej, że pracuje się dla tych ludzi, coś im się daje, a oni człowieka tak nienawidzą. Potem się okazuje, że to za forsę goście jacyś płodzą. Ale, jak mówię, bardziej to dotyka ludzi wrażliwszych, którzy pamiętają. Często mówię synowi: „Za długo pamiętasz". Po mnie to spływa natychmiast.

W kinie łatwo wymyślić temat. Wszyscy wiemy, co nas dręczy, boli, gniewa. Problemem jest forma.

Nie jest pan pamiętliwy? Odpuszcza pan, wybacza?

– Bardzo mi się spodobało, jak powiedział Giulio Andreotti, premier Włoch: „Ja nie jestem człowiekiem mściwym, ale mam pamięć z żelaza". Ja też mściwy nie jestem, ale jak mnie ktoś okłamie, jak mi źle życzy – to się nie mszczę, ale nie zapominam. Jak raz się zrażę do kogoś…

Nie daje pan drugiej szansy?

– U nas to rodzinne, że się od takiej osoby oddalamy. Kiedy mnie pytają: „Przypieprzy mu pan?", ja mówię: „Nie, nie", ale się odsuwam.

Nie lepiej przypieprzyć?

– Ja zawsze podchodzę z dystansem, z przymrużeniem oka. Tak się ukształtowałem. „Pat i Pataszon", proszę pana. A tak na poważnie, to pierwszym reżyserem, który pozwolił mi inaczej spojrzeć na rzeczywistość naszego kraju i jego dzieje, był Andrzej Munk. Jego gorycz, ironia i śmiech zapadły we mnie niespodziewanie głęboko. I zostały ze mną w podejściu do świata i do ludzi. Dopiero potem trafiłem na kino amerykańskie.

Co w nim pana porwało?

– Kiedy je odkryłem, byłem już studentem szkoły aktorskiej i usilnie poszukiwałem jakiegoś stylu grania.

eprasa.pl b22ed4e4b8

Pierwsze filmy z Ameryki, które oglądałem na Konfrontacjach i tym podobnych imprezach, szokowały mnie właśnie stylem gry Jamesa Deana, Marlona Brando czy Jacka Nicholsona. Oni pokazywali uczucia poprzez zachowanie, a nie opowiadanie o nich, do czego byłem przyzwyczajony w teatrze. To była dla mnie, młodego wtedy aktora, ogromna i ważna lekcja. Największą inspiracją zawodową był „Lot nad kukułczym gniazdem" z Jackiem Nicholsonem. Podobne emocje czułem już tylko, odkrywając magię kina Federica Felliniego, dzięki któremu cofałem się w historię włoskiego kina, aż do neorealizmu. Fellini pokazał mi świat, którego nie można sfilmować.

Jaki to świat?

– Świat snu, Fellini był jedynym twórcą, który potrafił wyreżyserować sen. To było coś takiego, czego ja nigdy bym nie był zdolny zrobić – dlatego tak strasznie mi to imponowało. To był szok, ten Fellini. Potem przyszło jeszcze coś innego. Jak już wrosłem w teatr, który stał się dla mnie nową magią bycia codziennego, przeistaczania się metafory – zobaczyłem film „Kabaret" Boba Fosse'a z Lizą Minnelli. I zobaczyłem – znowu – coś, co mnie olśniło, że można straszny okres rodzącego się nazizmu pokazać przez teatr, przez kabaret. Nigdy bym nie wymyślił takiej zbitki, takiego kontrapunktu. Potem sam robiłem „Kabaret", wielokrotnie, w świetnym tłumaczeniu Wojtka Młynarskiego, ze studentami w PWST jako ćwiczenia, a przedstawienie w Teatrze Muzycznym w Gdyni. Byłem zafascynowany tym, że można przez musical, przez teatr pokazać tak ważne wydarzenia. Takie były moje filmy.

Fellini też rozliczał swoich z ekstremizmu.

– Fellini potrafił opowiedzieć w sposób ciepły, prosty o strasznym zjawisku, jakim jest narastający w miasteczku, w Rimini, faszyzm, w filmie „Amarcord". On to potrafił opowiedzieć nawet z sympatią do tych ludzi. To był dla mnie kolejny szok. W moich filmach, choć bywam okrutny w obnażaniu ludzkich cech, też staram się z sympatią podchodzić do bohaterów, nie usprawiedliwiam ich, ale rozumiem.

Łatwo przychodzi panu rozumienie innych?

– Do niektórych spraw, choćby do takiego „Osiem i pół", trzeba dorosnąć. Młody człowiek nie wie, o czym to jest film. Jakbym to studentowi dzisiaj pokazał, toby nie zrozumiał. Dopiero trzeba zobaczyć, co to jest niemoc twórcza. Jak sam zacząłem mieć męki twórcze, że nie wiedziałem jak, a tam już rozstawiali scenografię i światła, no to sobie myślałem: „Teraz to ja rozumiem tego bohatera »Osiem i pół«, a ja przecież jeszcze nawet nie wiem, co chcę powiedzieć. To dopiero musi być męka straszna".

Jerzy Stuhr o tym, czy Polacy umieją cieszyć się z życia

Do tej pory nie zastanawiałem się nad tym zagadnieniem, jednak przebywając w innych krajach, zwłaszcza na południu Europy, zauważyłem, że Polacy mogliby pozazdrościć niektórym nacjom ich beztroski i radości z życia. My najczęściej musimy mieć pretekst, jakiś powód do radości. Częstym motywem jest śmianie się z kogoś, w ogóle śmianie się na jakiś temat. Potrafimy cieszyć się, że komuś się coś nie powiodło. To wystarczy za motyw do radości, bo ona najczęściej ma charakter „zaczepno-odporny". O tym jednak przekonałem się dopiero w krajach południowych, gdy zobaczyłem, ile relaksu, oddechu i wypoczynku można mieć z niczego. Włosi potrafią radować się z rzeczy najprostszych, bez powodu. Kiedyś wstydziłem się bawić i cieszyć tak jak oni, bo wydawało mi się, że radość bez specjalnego motywu to tracenie czasu. Teraz wiem, że można okazywać ogromną radość i wcale nie być przeciwko czemuś lub komuś, czy też śmiać się na jakiś temat. Szkoda, że Polacy tego nadal nie umieją. A ja nauczyłem się bawić, choć początkowo miałem z tym pewne kłopoty. Na szczęście przestałem się wstydzić.

PRZEGLĄD nr 18/2001

eprasa.pl b22ed4e4b8

Premiera filmu „Habemus papam" na 64. festwalu filmowym w Cannes.

Maciej i Jerzy Stuhrowie z żonami.

Doświadcza pan niemocy twórczej?

– Za każdym razem doświadczam. W kinie temat wymyślić jest łatwo. Wszyscy wiemy, co nas dręczy, co nas boli, co nas gniewa. Problemem jest co innego – forma. Tyle już było, a zwłaszcza w filmie, wszystko opowiedzieli, więc jak wymyślić oryginalną formę? Nad tym głównie się głowię, jak coś powiedzieć. I nagle wpada mi pomysł, który wydaje się atrakcyjny, ale którego nie umie się rozwiązać na pierwszy rzut oka. Staję wtedy przed białą kartką papieru. Dopiero to zaczyna być fascynujące, że nic nie wiem, a cała moja wiedza, doświadczenie, nabyte umiejętności – wszystko jest nieważne. I tu zaczyna się straszliwe myślenie, straszliwe, jak to rozwiązać. Żeby dać przykład – w moim filmie „Obywatel" chciałem opowiedzieć całe swoje życie. Proste, prawda? Ciekawe to życie było, zabawne, wiedziałem, jakie epizody mają być, co, gdzie, kiedy, jak. Pomyślałem sobie: „Jak to pokazać? Najpierw przedszkole, potem szkoła, potem studia. Może jeszcze daty dać? Słabo". I nagle, proszę pana, pewnej nocy wpada mi pomysł, żeby to opowiedzieć wspak, do tyłu. Trzy lata trwało, zanim wymyśliłem tę krzyżówkę. Byłem nie jak ten, który rozwiązuje krzyżówkę, ale jak ten, co ją układa. Pionowo tyle, poziomo tyle, takie literki muszą się skrzyżować z tymi, nie za dużo opowiedzieć, żeby widzowi nie zdradzić pewnych rzeczy. Trzy lata męki – to jest „Osiem i pół".

„Obywatel" przypominał mi dokonania Munka.

– Byłem wyraźnie pod jego wpływem. W pierwotnej wersji mój bohater nazywał się Piszczek, ale zmieniłem, bo to już byłoby za bardzo odwołujące się. To wtedy się zorientowałem, jak ten Munk kiedyś, w młodości, we mnie zapadł.

W „Obywatelu" patrzy pan na czas PRL inaczej niż koledzy po fachu. Pan jednoznacznie nie potępia tego okresu.

– Ja go przeżyłem, on mi to dał, że siedzę tu przed panem, rozmawiamy – wszystko. Osiągnąłem wiele, więc jak mogę potępiać? To właśnie mnie denerwuje dzisiaj w Polsce – nagle się znaleźli sędziowie poprzedniego okresu, w którym zdobyli wykształcenie, rodziny, majątki, pozycję, ale chóralnie mówią, że chcieliby, żeby PRL nie było. A ja się w niej wychowałem i jestem, kim jestem. Irytuje mnie takie strasznie powierzchowne i propagandowe ocenianie przeszłości. Najlepsze rzeczy zrobiłem w PRL, największe role zagrałem w tzw. PRL, którą ja nazywałem Polską. To była i jest dla mnie Polska. Jakie sukcesy osiągaliśmy z teatrem za tamtych lat! Jakie osiągałem sam sukcesy na scenach włoskich, całego świata. Oczywiście płaciłem pewną cenę, pewnych rzeczy nie mogłem wyrazić tak, jak bym chciał jako obywatel. Musiałem pójść na pewne kompromisy, oczywista, ale ważniejsze były dla mnie właśnie te osiągnięcia.

Jak to się stało, że trafił pan na włoskie sceny?

– Przypadek. W mojej żonie zakochałem się w latach 60., ona była studentką szkoły muzycznej. W jakiś sposób przez kolegów muzyków dostała się do rzymskiej akademii Santa Cecilia na kurs wiolinistyczny. W latach 60. wyjechała do Włoch – wie pan, jak ja jej zazdrościłem? Ja tu, a ona mi przywozi dżinsy markowe. To był szok. Jeszcze jak zaczęła mówić po włosku, to już zżerała mnie zazdrość. Ponieważ byłem dobrym studentem krakowskiej szkoły teatralnej, wystarałem się przez ministerstwo o stypendium na festiwal w Wenecji, gdzie potem sam, po wielu latach, szedłem po czerwonym dywanie. Wie pan, jakie déjà vu miałem? Ja tam stałem jako student, machałem Ursuli Andress i Seanowi Connery'emu, którzy prezentowali „Doktora No" z Bondem. Tak się zaczęło. Potem było tak, że przyszedł taki moment zawodowy u mnie,

Aktorem zostałem przez wielką osobowość, która nauczyła mnie też pływać i jeździć na rowerze. To moja babcia.

FOT. FILIP MILLER/FOTONOVA, EAST NEWS, AFP/EAST NEWS

eprasa.pl b22ed4e4b8

kiedy zastanawiałem się, czy jest możliwe przekroczenie granicy języka przez aktora. Jedyną możliwością, żeby sobie na nie odpowiedzieć, było zgłosić się do agencji Pagart (na placu Piłsudskiego były biura) i przez nią wyjechać za granicę, oficjalnie, oczywiście opłacając prowizję.

W jakiej wysokości?

– No, 20% gaży szło na ten Pagart. Zgłosiłem się tam i powiedziałem, że jeżeli byłaby jakaś propozycja zagraniczna, to ja bym skorzystał. To był 1979 r., już byłem znanym aktorem dzięki „Wodzirejowi" i „Amatorowi". Gdyby propozycja przyszła z Finlandii, tobym był dzisiaj znanym fińskim aktorem, ale przyszła z Włoch.

Czyli to nie był pański wybór?

– Akurat tak się złożyło. Szukali polskiego aktora, żeby zagrał w sztuce „Oni" w ramach promocji Witkacego na rynku włoskim. Zgłosiłem się, dostałem rolę i tak się zaczęło. Potem już szło powolutku – jedna oferta teatralna, druga oferta teatralna… Gdy się dowiedzieli, że jestem pedagogiem szkół teatralnych, to przez całe Włochy, od Palermo po Mediolan, się przetoczyłem jako nauczyciel. Myślałem wtedy, że ta dość uciążliwa przygoda już się kończy.

Uciążliwa?

– Tam jest inny system teatralny, jedzie się na tournée na całe miesiące. Z Polski strasznie trudno było utrzymać ten reżim dojeżdżania, wyjeżdżania. Pomyślałem, że już dość, ale „Historie miłosne", mój drugi film, dostały się do Wenecji do konkursu głównego. Zaczęła się nowa przygoda, bo Włosi nagle się dowiedzieli, że robię filmy. Dostałem włoskiego dystrybutora, inny świat się otworzył przede mną i to trwa do dziś. Oczywiście bardzo wybiórczo muszę traktować swoje włoskie propozycje filmowe, bo mimo że władam językiem dość biegle, słychać jednak, że nie jestem Włochem. Muszę wybierać role, które usprawiedliwią mój leciusieńko obcy akcent. Tak sobie pływam po nich. Na przykład parę lat temu dostałem propozycję zagrania w historii rodziny Olivettich z wielkimi tradycjami, z XIX w., która dorobiła się na maszynach do pisania. Zaproponowano mi, żebym zagrał nestora rodu. Ja mówię: „Nie, nie mogę Włocha zagrać". „Ale, panie Jerzy, on długo w Ameryce mieszkał". Nie przyjąłem tej roli, bo wiedziałem, że widz miałby dyskomfort, słuchając mnie.

W moich filmach bywam okrutny w obnażaniu ludzkich cech, ale staram się z sympatią podchodzić do bohaterów.

Mimo że Włosi mają tyle akcentów, tyle dialektów?

– Mają, ale obcokrajowca wyczują natychmiast. Dialekty dialektami – a to Neapol, a to Palermo – ale obcego rozpoznają. Ciągle słyszę: „Pan to mówi jak papież Wojtyła". No, mówię jak papież Wojtyła.

Nie chciał pan tam osiąść?

– W Polsce działy się tragiczne rzeczy, ze stanem wojennym na czele, a ja w 1983 r. dostałem paszport. Stary Teatr miał kontrakt z Argentyną, z festiwalem w Buenos Aires. Gen. Jaruzelski uznał, że proszę, nic się nie stało, artyści mogą podróżować. Zespół Mazowsze i Stary Teatr dostały paszporty w styczniu. Jak już go miałem, to mimo że był stan wojenny, mogłem przez Pagart jeździć na swoje indywidualne kontrakty. Był taki moment, że żona szła do teatru po dary od kolegów niemieckich: mleczko dla dzieci, jakieś upokarzające rzeczy, a ja wracałem z Włoch obładowany różnymi dobrami, cały samochód wypchany rarytasami, których w Polsce nie było. Miałem świetne kontrakty, ale nigdy nie zdecydowałem się osiąść. To nawet nie wchodziło w rachubę.

Zamiast palącego słońca i chianti wolał pan szary stan wojenny?

– Pamiętam 1980 r. Właśnie skończyłem jakiś kontrakt we Włoszech i parę dni odpoczywaliśmy u przyjaciół pod Rzymem. Basen, słońce, wszystko rozpalone, wylegujemy się nad tym basenem. Przysypiając, widzę, że ktoś czyta gazetę „La Repubblica". Na pierwszej stronie o Gdańsku. Wyostrzyłem się natychmiast, mówię: „Czy mogę prosić pana o tę gazetę na chwilę?". A tam, że w Polsce wybuchły strajki. Proszę pana, w trzy godziny byliśmy już spakowani, o ósmej byliśmy na granicy, wracając do Polski. Gierka ostatni raz na ekranie, jak jeszcze przemawiał, to widziałem w Tarvisio, bo tam migawka z polskich dzienników była. Tak szybko żeśmy wracali, bo wiedzieliśmy, że u nas coś się dzieje strasznego. Jeszcze pamiętam, jak benzynę brałem na granicy, a ten, który nalewał, już wiedział, co w Polsce się dzieje, i mówił: „Gdzie ty jedziesz? Po co ty tam jedziesz?". A ja wracałem, bo chciałem być tu. Jakoś nigdy mi przez myśl nie przeszło, żeby gdzieś zostać, choć żona muzyk w każdej orkiestrze mogłaby grać… Ale nie.

Patriotyzm?

– Ja tego nie nazywam tak górnolotnie. Może przez to, że we Włoszech długo przebywałem i zawsze wiedziałem, że nie chcę zostać na stałe. Mogę przyjeżdżać, proszę bardzo, ale moje życie jest gdzie indziej, w innej mentalności.

Jakoś nigdy mi przez myśl nie przeszło, żeby gdzieś zostać.

Czyli jednak są różnice między nami?

– Oczywiście! Mimo że tak nam blisko do siebie i religia ta sama, różnice są ogromne – w mentalności, w wychowaniu, w dorastaniu, w edukacji nawet.

W edukacji?

– Kiedyś ze zdumieniem przeczytałem tematy prac maturalnych włoskich uczniów. Jeden z nich brzmiał: „Arystoteles ornitologiem". Pan sobie wyobraża taki temat na maturze? Arystoteles i ptaki? No czego oni się uczą? To był dla mnie szok. U nas Mickiewicz, Fredro, Słowacki, a tam Arystoteles ornitologiem. To są te różnice.

Artur Zaborski

Rozmowa ukazała się w PRZEGLĄDZIE nr 52/2018

eprasa.pl b22ed4e4b8

Oko w oko

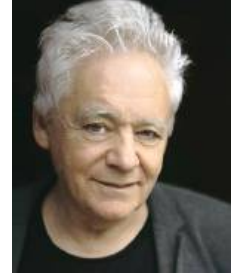

Tomasz Jastrun

Miasto zakopane w tłumie

Najpierw złe wiadomości, a potem przyszły dobre. Nie tylko u nas emocje polityczne w stanie wrzenia. W Londynie przegrali konserwatyści, wygrała Partia Pracy. Moi angielscy znajomi i bliscy są w euforii. Bogdan Frymorgen, kiedyś w BBC, a od niedawna utalentowany autor, pisze mi: „W 14 lat zrujnowali ten kraj. Potwory!". A kuzynka z Londynu: „Straszna ulga, Tomku, i powiew optymizmu, przed którym się nie bronię".

•

Miła niespodzianka we Francji. Załamywaliśmy ręce, że francuscy faszyści są bliscy przejęcia władzy, ale w drugiej turze ponoszą klęskę. Francuzi po prostu śmiertelnie się przestraszyli, jak my w październiku, a tam duch republiki jest mocny. Wygrała lewica – we fragmentach skrajna, nie da się lubić takiej lewicy, wszystko, co skrajne, nie do zniesienia – ale są też rozsądni socjaldemokraci.

Do czasu wyborów prezydenckich z osłabionym Macronem może być sporo chaosu we francuskiej polityce. Jak jednak nie lubić Macrona: błyskotliwie inteligentny i ma żonę o 25 lat od siebie starszą, czy nie jest to godny szacunku heroizm?

•

A w Stanach Biden, coraz powszechniej namawiany przez autorytety polityczne i dziennikarskie, nie chce jednak zrezygnować z prezydenckiego wyścigu. Robi to ze starczym uporem. Ten upór też go dyskwalifikuje. Coraz gorzej, groteskowo to wygląda. Uderza wszędzie zanik zaufania do polityków, ale przecież przedtem to zaufanie prowadziło czasami do wielkich nieszczęść.

•

Kilka gęstych i ładnych dni w Zakopanem – jak co roku jestem w jury konkursu o nagrodę literacką miasta w ramach Zakopiańskiego Festiwalu Literackiego. To niesłychane, że powstaje tyle książek o Tatrach i Zakopanem. Większość imprez w Mediatece, która mieści się w niedawno wyremontowanym dworcu kolejowym. Teraz dworzec kameralny, przytulny, przykład świetnej rewitalizacji. I mieszczą się tam instytucje kultury. Dworzec jest niezwykle ważny, to brama wjazdowa. Gdy ładny, miasto od razu zyskuje, a jak szpetny – to traci. Wiedziano o tym na początku poprzedniego wieku i dworce były architektonicznymi dziełami sztuki. Polskie dworce po 1989 r. znalazły się w stanie katastrofy. Trochę to trwało, ale nastąpiła wielka zmiana.

Zwyczajowo najpierw jedziemy pociągiem do Krakowa, a z dworca bierze nas samochód z urzędu miasta. Znany nam od lat kierowca, pan Janusz. W czasie drogi rozmawiamy o przydomowych ogrodach, pięknie mu rośnie kapusta. I on sam jest okazem zdrowia. Ale wieczorem tego dnia, gdy nas odwiózł, wrócił do domu, źle się poczuł, położył się i umarł. To sytuacja, gdy czuje się zupełną bezradność, a też trwogę. I przecież za kilka dni jest pogrzeb Jana, sąsiada, tak przez nas lubianego. Jak mogę, unikam pogrzebów, a teraz żal, że nie będę mógł go pożegnać na Powązkach. W czasie festiwalu umiera tata Ani Janko. Ania, świetna pisarka i moja przyjaciółka, także w jury, w ramach festiwalu prowadziła ze mną spotkanie autorskie wokół „Alfabetu polifonicznego" i wierszy „Epoka wymierania". Ojciec Ani, poeta, miał 90 lat. Tytuł mojego tomiku bardzo na czasie.

•

Równia Krupowa, niezwykłe miejsce. W samym centrum miasta obszerna polana, nie ma tu drzew, są trawy i polne kwiaty, ławki, drewniane leżaki i niezwykły widok na Tatry oświetlone właśnie reflektorem zachodu. Pobliskimi Krupówkami płynie gęsta rzeka ludzi, a tu nie tak gęsto, chociaż miasto jest zakopane w tłumie. Nagle widzę w pobliżu jelenia, myślę: instalacja, ale on ku nam zmierza. Fotografują go Arabki okutane od stóp do głów. Surrealistyczny widok. Najazd Arabów, tych religijnych, na Zakopane trwa od lat. Znajomi z urzędu miasta mówią, że nie ma z nimi kłopotu, żadnych awantur, tylko bałaganiarze. Zawsze zdumiewają mnie te kobiety ubrane jak zakonnice. A jednocześnie uwodzą tym, co łaskawie pozwala im się pokazać, malują usta, oczy, różem pokrywają policzki. Więc jest w tym moralna obłuda. I to jednak przemoc wobec kobiet, ich mężowie przecież wyglądają jak Europejczycy. Co zniewolone czują, widząc polskie dziewczyny, którym tańczą pośladki i błyszczą się brylanciki w obnażonych pępkach? Potem spacer pod reglami, celem jest szałas, gdzie co roku upijam się żętycą. Mam wielką słabość do tego napoju. Nie ma już góralki, która serwowała mi żętycę gratisowo, kojarzyła mnie jako autora i miała takie jak ja emocje polityczne, jest inna, też z góralską gwarą i pełna dobrego humoru. Na spotkaniu autorskim pojawiło się dwoje czytelników moich felietonów w PRZEGLĄDZIE, mówią, że te teksty pozwoliły im przetrwać mroczny czas rządów PiS. Mnie też pomogły, pisanie to była autoterapia. ■

Nagle widzę w pobliżu jelenia, myślę: instalacja, ale on ku nam zmierza. Fotografują go Arabki okutane od stóp do głów. Surrealistyczny widok.

FOT. BARTOSZ MACIEJEWSKI

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl b22ed4e4b8

Złoci chłopcy z Kortowa

W drużynie, która niemal pół wieku temu zdobyła olimpijskie złoto w Montrealu, było dwóch siatkarzy AZS Olsztyn: Zbigniew Lubiejewski i Mirosław Rybaczewski

Marek Książek

Olimpijskie zwycięstwo siatkarzy pod wodzą Huberta Wagnera w Montrealu do dziś wspominamy z przyśpieszonym biciem serca. Chyba tylko futbolowe sukcesy „orłów Górskiego" wywoływały takie przeżycia. Byliśmy dumni z chłopaków, którzy sięgali po największe sportowe trofea!

Za dwa kotlety

Dwóch siatkarzy ze złotej drużyny Wagnera wywodziło się z Olsztyna. Ryba, czyli Mirosław Rybaczewski, pochodził wprawdzie z Falenicy koło Warszawy, ale po początkowych występach w stołecznych klubach zmienił miejsce gry i zamieszkania. A to za sprawą Leszka Dorosza, legendarnego trenera AZS Olsztyn, który tak długo namawiał rodziców Mirka, a zwłaszcza jego babcię, że zgodzili się puścić chłopaka na Warmię. Dorosz zachęcał grą w mocnym klubie, a przede wszystkim studiami w Wyższej Szkole Rolniczej, zlokalizowanej w Kortowie, miasteczku akademickim na wzór amerykańskich kampusów. I tak 20-latek spod Warszawy w 1972 r. przeniósł się do AZS Olsztyn, gdzie początkowo musiał walczyć o wejście do podstawowej szóstki, bo tak mocny skład miał wtedy zespół Dorosza. Ale jak już się dostał, był w niej całe 10 lat!

W pierwszym składzie grał już starszy od Ryby o trzy lata Zbigniew Lubiejewski z Bartoszyc. Ściągnięty do Olsztyna przez Dorosza siłą argumentów. W domu Lubiejewskich było trzech wyrośniętych chłopaków, których trzeba było wykarmić. A że ich ojciec zmarł wcześnie, obowiązek utrzymania rodziny spadł na matkę. Kiedy więc Dorosz zaczął przekonywać, że Zbyszek – który w szkole średniej zdążył się pokazać jako wysportowany, utalentowany młodzian z mocnym odbiciem – nie tylko zdobędzie w Olsztynie dobre wykształcenie, ale też odciąży rodzinę materialnie, nie było sensu się upierać. Tylko dyrektor liceum przestrzegał trenera, że uczeń nieco chuligani, na co Dorosz zareagował: „Już ja mu to chuligaństwo z głowy wybiję!". I tak Zbyszek trafił do akademików na dziewięć lat. Dziś powiada, że grał w drużynie za „dwa kotlety". Co poniekąd było prawdą, jako że korzystał z uczelnianej stołówki.

Nocny thriller rodem z Hitchcocka oglądała cała Polska. A potem witała złotych siatkarzy jak bohaterów narodowych.

W drużynie z Kortowa obaj zawodnicy grali ze starszym od nich Stanisławem Zduńczykiem, chłopakiem ze Szczytna, pierwszym siatkarzem AZS, który został powołany do kadry narodowej i wyjechał na igrzyska olimpijskie w Meksyku (1968). Drugim olimpijczykiem w zespole Leszka Dorosza był Stanisław Iwaniak, absolwent AWF Warszawa, który występował w naszej kadrze na turnieju w Monachium (1972). Igrzyskach znamiennych, naznaczonych krwawym atakiem palestyńskich terrorystów na ekipę olimpijską Izraela. Ale dla Polski znakomitych, uwieńczonych siedmioma złotymi medalami, w tym Władysława Komara w pchnięciu kulą i piłkarzy pod wodzą Kazimierza Górskiego. Nasi siatkarze zajęli tam dziewiąte miejsce; to nie był jeszcze ich czas.

Pod wodzą Wagnera

Do Monachium Lubiejewski – ze względów rodzinnych – nie pojechał. Podobnie jak dwa lata później na mistrzostwa świata w Meksyku, kiedy trenerem kadry był już Hubert Jerzy Wagner. Wtedy zaledwie 33-latek, który zastosował wobec młodszych kolegów morderczy trening. By wzmocnić kondycję, siatkarze musieli m.in. biegać z dużym obciążeniem po górach.

Na zgrupowania do Zakopanego i w inne miejsca jeździł za to Mirosław Rybaczewski i to on był pierwszym olsztyńskim siatkarzem, który zdobył mistrzostwo świata. Zbliżał się jednak turniej olimpijski w Montrealu i Wagner odgrażał się publicznie, że interesuje go tylko złoty medal. Niektórzy potraktowali to jako buńczuczne, nierealistyczne zapowiedzi zarozumiałego szkoleniowca.

Pewnie tylko nieliczni wiedzą, że do Montrealu miało szansę pojechać czterech graczy AZS Olsztyn: oprócz Lubiejewskiego i Rybaczewskiego także Stanisław Iwaniak i Wojciech Baranowicz. Cała czwórka znalazła się w powołanej przez Wagnera kadrze, bo olsztyński zespół zdobył w 1973 r. mistrzostwo kraju i powtórzył ten sukces w roku 1976. Stanisław Iwaniak opowiada, że byli już na ostatnim zgrupowaniu w Rudziskach Pasymskich, szyto dla nich garnitury olimpijskie i wyrabiano paszporty. I dosłownie kilka dni przed wylotem na igrzyska selekcjoner podjął decyzję o powołaniu podstawowej dwunastki. Z 14-osobowej reprezentacji

eprasa.pl b22ed4e4b8

Hubert Wagner wśród mistrzów Polski 1976. Od lewej m.in.: Wojciech Baranowicz (7), trener Leszek Dorosz, Stanisław Iwaniak (5), Mirosław Rybaczewski (9), II trener Andrzej Grygołowicz i Zbigniew Lubiejewski (15).

Krystyna Zduńczyk gratuluje dobrej gry mężowi.

Atakuje Mirosław Rybaczewski, z lewej Stanisław Iwaniak, z prawej Wojciech Baranowicz.

odpadli Iwaniak i Baranowicz, obaj z Olsztyna! Można pokpiwać o spiskowej teorii dziejów, ale faktem jest, że Wagner był wcześniej koordynatorem Płomienia Sosnowiec i akurat z tego klubu do Montrealu pojechało aż czterech siatkarzy: Ryszard Bosek, Włodzimierz Sadalski, Zbigniew Zarzycki i Wiesław Gawłowski. Trudno powiedzieć, czy Sadalski był lepszym rozgrywającym niż Iwaniak, ale ten drugi uważa dzisiaj, że widocznie Wagner wybrał dobrze, skoro zespół zdobył złoty medal.

Co nie do końca było oczywiste. Po wygraniu półfinału z Japonią Polacy mieli zmierzyć się z silną ekipą Związku Radzieckiego. Nasi chłopcy już cieszyli się srebrnym medalem! Ale w miasteczku olimpijskim był jeden człowiek, który tej nocy nie mógł spać ze zmartwienia. Wyszedł z papierosem na balkon, gdzie dojrzał go Lubiejewski. „Co się tak martwisz, Jurek?" – zagadał trenera, który częściej używał drugiego imienia. A ten odpowiedział, że nie wie, jak pobudzić zespół, jak wstrząsnąć chłopakami, żeby nazajutrz zagrali na najwyższych obrotach. Bo wyluzowali i zanosi się na to, że trudno będzie ich zmobilizować do walki. Lubiejewski doradził Wagnerowi, żeby wywołał jakąś awanturę, konflikt. I na drugi dzień, przed meczem z Rosjanami, istotnie doszło do słownego starcia z kapitanem drużyny Edwardem Skorkiem, co spowodowało wyrzut adrenaliny i zawodnicy zagrali prawdziwie mistrzowski, zwycięski pojedynek. To był nocny thriller rodem z Hitchcocka, oglądany w napięciu przez całą Polskę. Ta zaś wkrótce witała ozłoconych medalami siatkarzy jak bohaterów narodowych.

Dodajmy, że to złoto przywieźli także Włodzimierz Stefański, Lech Łasko, Bronisław Bebel, Marek Karbarz i Tomasz Wójtowicz. Jeszcze w Montrealu siatkarze dostali po 7 tys. dol., natomiast w kraju premier Piotr Jaroszewicz dorzucił im po 185 tys. zł plus talony na samochody produkcji koreańskiej.

Gawłowski zginął w 2000 r. w wypadku drogowym, Wójtowicz zmarł jesienią 2022 r. Pozostali co roku spotykają się na Memoriale Huberta Wagnera, który również – za sprawą Jerzego Mroza – wyszedł z Olsztyna, obecnie zaś odbywa się w Krakowie.

Przegrali, gdy wyszedł Gierek

W późniejszych latach nie odnieśliśmy już takiego sukcesu. W Moskwie w 1980 r. mieliśmy szanse na medal, ale przegraliśmy walkę o finał, a potem o trzecie miejsce. Jak opowiada uczestnik tego turnieju, Włodzimierz Nalazek z Olsztyna, na meczu

eprasa.pl b22ed4e4b8

grupowym z Brazylią pojawił się na trybunach Edward Gierek, chyba w drodze z Krymu do ogarniętego już gorączką kraju. Polacy wygrywali 2:0, wtedy I sekretarz wyszedł i nasi... przegrali w pięciu setach. Cztery lata później Nalazek pojechał na Kubę na turniej Przyjaźń-84, który odbywał się zamiast zbojkotowanych przez państwa socjalistyczne igrzysk w Los Angeles. Polscy siatkarze, ponownie pod wodzą Wagnera, zdobyli tam brązowy medal, traktowany w Polsce jak medal olimpijski. Dzięki temu Nalazek otrzymuje sportową emeryturę, tak jak Lubiejewski i Rybaczewski za medal w Montrealu.

Potem na igrzyska jeździło wielu siatkarzy związanych z AZS Olsztyn (obecnie Indykpol AZS). W 1996 r. w Atlancie było ich aż ośmiu! Tyle że w większości nie grali w tym czasie w olsztyńskiej drużynie; występowali w niej wcześniej lub później. W przeciwieństwie do „starych" siatkarzy, którzy grali w Kortowie 10 czy 12 lat, w późniejszych czasach zawodnicy trafiali tu najwyżej na kilka sezonów (jak czterokrotny olimpijczyk Paweł Zagumny), by wkrótce podpisać nowy, korzystniejszy kontrakt z krajową konkurencją, bo zespoły PlusLigi miały coraz bogatszych sponsorów, albo klubem zagranicznym.

Dolarowy kontrakt

Tutaj dodajmy, że za czasów Zduńczyka, Iwaniaka i Rybaczewskiego polski sportowiec mógł wyjechać na saksy dopiero po ukończeniu 30. roku życia, czyli w końcówce kariery. Miał wtedy okazję odkuć się za lata uprawiania sportu za marne grosze. Chociaż nie wszędzie słabo płacili. Wbrew pozorom nawet socjalistyczne z założenia kluby znały siłę pieniądza, ściągając dobrych zawodników do swoich zespołów. Głównie do śląskich drużyn piłkarskich, ale także siatkarskich.

Trzej przyjaciele z boiska. Od lewej: Mirosław Rybaczewski, Zbigniew Lubiejewski i Stanisław Iwaniak.

Były zawodnik olsztyńskiego AZS Leszek Urbanowicz, olimpijczyk z Atlanty, opowiada, jak do jego ojca – gdy jeszcze mieszkali w Gdańsku – przylecieli służbowym samolotem działacze klubu górniczego i namawiali go, by w imieniu syna podpisał kontrakt. Leszkowi oferowali studia i mieszkanie, a ojcu dobrze płatną pracę. Zabrali ich obu na Śląsk, by Urbanowiczowie przekonali się osobiście, jakim rajem dla sportowca jest ten kawałek Polski. Ale nim decyzja została podjęta, pojawił się... Leszek Dorosz z Olsztyna. I wytoczył argumenty, które przebiły ofertę górniczego klubu.

AZS Olsztyn zdobył w 1973 r. mistrzostwo kraju i powtórzył ten sukces w roku 1976.

Leszek Urbanowicz, tak jak większość zawodników AZS do czasów transformacji ustrojowej, skończył studia na olsztyńskiej uczelni; najpierw była to Wyższa Szkoła Rolnicza, potem Akademia Rolniczo-Techniczna, a od końca ubiegłego wieku – Uniwersytet Warmińsko-Mazurski. Początkowo siatkarze chętnie studiowali, przy jawnej życzliwości wykładowców, na wydziale rolniczym i technologii żywności, a do legend należą mecze siatkarskie rozgrywane między studentami obu kierunków. Wydział rolniczy ukończyli Zduńczyk i Lubiejewski, a technologię żywności Urbanowicz i wcześniej Rybaczewski, który – o czym teraz opowiada ze śmiechem – studiował całe 10 lat, więc poznał przedmiot tych studiów dogłębnie. Potem, tak jak jego koledzy z drużyny, którym stuknęła trzydziestka, znalazł się na Zachodzie, gdzie grał i trenował drużyny we Francji i wraz z rodziną mieszka tam do dzisiaj. Ale przy każdej okazji przyjeżdża do Falenicy i Olsztyna, gdzie spotyka się ze starymi kumplami, głównie Iwaniakiem i Lubiejewskim, zwykle w hali Uranii na meczu Indykpolu AZS. Podtrzymują klimat z przeszłości, kiedy ich zespół był jak rodzina: razem walczyli o medale i puchary, razem chodzili na dziewczyny (Ryba i Zduńczyk poznali swoje żony na studiach w Kortowie), wpadali na piwo, świętowali ukończenie studiów, a nawet byli świadkami na swoich ślubach, tak jak trener Dorosz u Iwaniaka.

O ile nie tak dawno zawodnikami AZS Olsztyn byli wychowankowie klubowych trenerów, Marka Kotulskiego i Andrzeja Grygołowicza, np. Mariusz Szyszko, Łukasz Kadziewicz, Andrzej Przeździecki czy Marcin Możdżonek, o tyle w ostatnich latach częściej ściąga się graczy z kraju i zagranicy. I to nie byle jakich, bo np. w minionym sezonie w Indykpolu grał reprezentant Brazylii Alan Souza. I to on wystąpi na igrzyskach w Paryżu przeciw polskiej drużynie, w której zagra Jakub Kochanowski, były olsztyński zawodnik, rodem z Giżycka. A obok niego utytułowany Aleksander Śliwka, mistrz świata, który przez jeden sezon grał w Olsztynie, potem wyfrunął do Rzeszowa, Kędzierzyna-Koźla, a w nowym sezonie – podobnie jak Souza – zasili klub w Japonii. Kibice żywią nadzieję, że wyjedzie tam z medalem olimpijskim. Może nawet złotym? Pod warunkiem że w Paryżu nasi siatkarze zagrają tak dobrze jak w 1976 r. w Montrealu.

Marek Książek

FOT. ARCHIWUM AZS OLSZTYN (2), MAREK KSIĄŻEK, ARCHIWUM PRYWATNE

eprasa.pl b22ed4e4b8

Kapitalizm i realizm

Andrzej Szahaj

Kultura marnotrawstwa

W czasach mojego dzieciństwa nicowano ubrania, w szczególności garnitury. Buty oddawało się do szewca, aby przedłużyć ich żywot; naprawiało sprzęt AGD, którego żywotność i tak była nieporównanie dłuższa niż dzisiejsza. Czerstwy chleb wykorzystywało się do różnych potraw i zup, w ostateczności oddawało ludziom, którzy karmili nim zwierzęta. Do sklepu szło się po mleko z tzw. kanką, czyli blaszanym naczyniem, zamykanym specjalną nakrywką. Nalewano do niego mleko z beczek. Stawiało się też przed drzwiami mieszkania szklane butelki na mleko, wymieniane wczesnym rankiem. W sklepach były duże pojemniki z różnymi sypkimi towarami, klientom napełniano z nich papierowe torebki. Wodę sodową pito z tzw. syfonów, które się wymieniało w sklepie lub kupowało do nich specjalne naboje, aby zwykłą wodę zamienić w gazowaną. Co kilka kroków były skupy butelek i makulatury. I tak dalej.

Oczywiście ktoś może powiedzieć: to była gospodarka niedoboru, stąd ta cyrkulacja opakowań i materiałów. Z pewnością tak, spora część oszczędności była wymuszona. Jednak nastawienie na oszczędność i recykling materiałów było wspólne dla obu systemów, choć bardzo niekonsekwentne w systemie tzw. realnego socjalizmu (energia!). Cechowało po prostu czasy umiaru konsumpcyjnego i unikania marnotrawstwa – w niektórych krajach do dziś widać tego ślady w tzw. *cucina povera*, biednej kuchni, w której stosuje się tanie produkty i dba o wykorzystywanie resztek.

Wtedy marnotrawstwo było złem. Dziś jego skala i przyzwolenie nań są przerażające. Co się stało? Otóż kapitalizm nie od razu był taki jak dziś. Przez jakiś czas nie honorował zasady „zysk ponad wszystko", wspierając się na pewnych wartościach moralnych zakorzenionych w kulturze zachodniej. To zmieniło się wraz z nastaniem czasów tzw. neoliberalizmu, gdy maksyma jednego z jego założycieli, ekonomisty Miltona Friedmana – mówiąca, że jedynym obowiązkiem przedsiębiorstwa jest osiąganie zysku – uzyskała status prawdy quasi-religijnej, prowadząc do całkowitego odmoralnienia kapitalizmu. Jeśli uznajemy jej słuszność, drzwi do marnotrawstwa stają otworem. Chodzi o to, że zysk ów jest warunkowany wolumenem nabywanych rzeczy, poziomem konsumpcji. A nic tak bardzo jej nie krępuje jak chęć oszczędzania materiałów i produktów, przedłużanie ich użyteczności, wzrost trwałości. Dzisiejsza kultura marnotrawstwa to nic innego jak skutek odziaływania systemu neoliberalnego kapitalizmu, dla którego jest ona warunkiem uzyskiwania wciąż wyższych zysków.

Nie naprawiaj, lecz wyrzucaj. Nie dbaj o trwałość, ciesz się tandetą. Nie przywiązuj się do rzeczy, traktuj je jak potencjalne śmieci już w momencie ich nabycia. Kupuj nie po to, aby zaspokoić potrzeby materialne (fizyczne), ale by wyrazić siebie, uzyskać przewagę, symbolicznie zaznaczyć swoją wyższość. Żyj, aby kupować, a nie kupuj, aby żyć. Tylko w ten sposób wypełnisz funkcję kapryśnego i wciąż niezaspokojonego klienta, tak potrzebną turbokapitalizmowi do tego, aby trwać i się rozwijać. System ten, używając reklamy i mediów, skutecznie wychował sobie społeczeństwa znerwicowanych nabywców, którzy goniąc za nowościami, idealnie wpisują się w jego zapotrzebowania. Nigdzie nie widać tego lepiej niż w tzw. *fast fashion*. Kupowanie wciąż nowych ubrań, pobudzane przez wciskającą kit reklamę, owocuje ich szybkim zużyciem psychologicznym (znudzeniem), które nijak ma się do zużycia fizycznego. Czasami klienci nawet nie zdążą odczuć owego zużycia psychologicznego, bo nowych rzeczy nawet nie ruszają, zadowalając się samym aktem zakupu (badania pokazują, że ok. 30% nowych ubrań nigdy się nie nosi), albo używają tylko raz i wyrzucają, kiedy np. oderwie się źle przyszyty guzik (nikt już nie uczy w szkole ich przyszywania, jak to było w czasach mojego dzieciństwa).

W ten sposób kultura marnotrawstwa osiąga apogeum. A jest ona zabójcza nie tylko dla klientów, żyjących często na kredyt, ale przede wszystkim dla planety, której zasoby są w obłędnym tempie wykorzystywane i marnotrawione. Dziś nie ulega wątpliwości, że nie wytrzyma ona dłużej trwania neoliberalnego turbokapitalizmu, nawet jeśli będzie on się wspierał na tzw. zielonej energii. Świadomość ta bardzo powoli dociera do polityków. Unia Europejska potrzebowała dziesięcioleci, by przyznać, że produkty AGD i elektroniczne (np. laptopy) są sztucznie postarzane, żeby zwiększyć popyt. Że te rzeczy warto naprawiać, a nie wyrzucać po pierwszej awarii. Że coś jest nie tak ze światowym przemysłem odzieżowym, bezwzględnym w skali wyzysku. A przecież i tak tylko Unia wykazuje jakiekolwiek intencje zmiany tej chorej sytuacji. Nie ma o tym mowy w Stanach Zjednoczonych, w których nieograniczony, nieregulowany kapitalizm jest świecką religią. Ani w Chinach czy w innych krajach azjatyckich, gdzie kapitalizm występuje w najdzikszej formie, mimo formalnej kurateli partii komunistycznych czy państwa (na ogół bardzo słabego). ■

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl b22ed4e4b8

Mikołaj Gospodarek

KARTACZE Z BUZĄ **RAZ!**

Tradycyjne suwalskie potrawy wywodzą się z dość ubogiej kuchni, która ziemniakiem stoi

Mówi się, że przez żołądek do serca. Czy na Suwalszczyźnie też tak to działa? (…) Zanim prześlizgnę się po kilku moich ulubionych adresach, uważam, że warto skupić się na tym, co wyjątkowego można zjeść w tym regionie.

Lista nie jest długa: kartacze, babka ziemniaczana, kiszka ziemniaczana. To znajdzie się niemalże w każdym miejscu, które szczyci się daniami kuchni regionalnej. Dodałbym do tego ryby, bo tych w krainie jezior nie brakuje. Inna rzecz, czy te serwowane na Suwalszczyźnie rzeczywiście pochodzą z jej jezior.

Trzeba w tym miejscu wspomnieć jeszcze o sękaczu, czyli cieście biszkoptowo-tłuszczowym o charakterystycznym kształcie, a także przekroju. Sękacz jest tu bardzo często dodatkiem do kawy czy herbaty. Przyrządza się z niego też desery. Jadłem np. sękacz smażony z kruszonką jagodową. Na tym etapie skupię się jednak na daniach obiadowych, a deser zostawię na… deser.

Patrząc na trzy wcześniej wymienione dania, wyraźnie widać, że tradycyjne suwalskie potrawy wywodzą się z dość ubogiej kuchni, która ziemniakiem stoi. Nie ma w niej nic wymyślnego czy skomplikowanego. Jest prosto, syto i smacznie. I tak powinno być. Dla tych całkiem zielonych w suwalskiej kwestii kulinarnej spieszę z krótkim wyjaśnieniem, o co w tych trzech potrawach chodzi.

Kartacze (inaczej nazywane też cepelinami) to podłużne kluski ziemniaczane z nadzieniem mięsnym (składniki i przyrządzenie są podobne do znanych w innych częściach Polski pyz ziemniaczanych). Babka ziemniaczana (znana też jako kugel) to pieczona w brytfance masa z tartych ziemniaków z dodatkami (jak na placki ziemniaczane), do tego z podsmażonym boczkiem. Kiszka ziemniaczana, jak sama nazwa wskazuje, jest pieczona we flaku, czyli jelicie, jak kiełbasa. Nadzienie stanowi znów ta sama baza ziemniaczana, z cebulą i boczkiem, ale dodatkowo zawiera kaszę.

Rozpatrując temat suwalskiej kuchni logistycznie, można zaobserwować pewien paradoks. Restauracje i bary można podzielić na takie, które działają sezonowo – od czerwca do września – oraz całoroczne. Pierwsza grupa nastawia się na przyjezdnych i przygotowuje menu z myślą o tych, którzy chcą skosztować dań regionalnych, czyli tego, czego nie zamówią tam, gdzie mieszkają. Druga grupa ma pewien problem. Takie miejsca, które działają cały rok, poza turystami nastawiają się na mieszkańców Suwalszczyzny. I tu dochodzimy do sedna tematu. Ci, którzy wychowali się w domu na kartaczach czy babkach ziemniaczanych, niekoniecznie mają ochotę zamawiać je w restauracjach. Wychodząc gdzieś, by coś zjeść, szukają czegoś innego. I do nich muszą dopasować swoje menu restauracje całoroczne.

Wczesną wiosną siadłem w jednym z niewielu lokali czynnych o tej porze roku. Makarewicz Dworek w Słobódce koło Szypliszek to naprawdę godny polecenia adres. Zamówiłem babkę ziemniaczaną, bo kartacze się skończyły. Za moimi plecami usiadła rodzina z dwojgiem dzieci. Kiedy dostali menu, posypała się lawina narzekań dzieci, że nie ma pizzy, nie ma burgerów, a i dorośli mocno kręcili nosem przy wyborze dań. Ostatecznie wstali i odjechali. To nie wina menu czy szefa kuchni. Dookoła przy stolikach siedziało mnóstwo ludzi. Ci, którzy wyszli,

eprasa.pl b22ed4e4b8

Lista potraw jest długa: kartacze, babka ziemniaczana, kiszka ziemniaczana. To znajdzie się niemal w każdym miejscu z daniami kuchni suwalskiej.

szukali czegoś innego, czego nie jedzą w domu czy nie przygotuje im babcia na niedzielny obiad. Ja to rozumiem i szanuję.

Oczywiście mieszkańcy tych terenów zjadają mnóstwo kartaczy i babki ziemniaczanej. O tym, że są to lokalne popularne dania, świadczy chociażby kolejka przed kultowym barem Koko przy ulicy Nowomiejskiej w Suwałkach. Chociaż i tam obok kartaczy i kiszki ziemniaczanej serwują również burgery i zapiekanki. Jest to bar, do którego dużo osób wpada na chwilę albo odbiera jedzenie na wynos. Koko raczej nie jest miejscem na uroczysty niedzielny obiad, a w takich restauracjach mieszkańcy tych okolic poszukują nowych, innych smaków niż te znane z codzienności.

Patrząc w ten sposób na obraz suwalskiej gastronomii, można lepiej zrozumieć jej specyfikę. Ta branża z różnych powodów w ostatnich latach ma ciągle pod górkę. Zaczynając od kwestii pracowników, których brakuje, po ceny produktów. Jeszcze dziesięć lat temu za 30 zł można było bez problemu zjeść syty obiad. Dzisiaj w tej cenie są w menu jedynie przystawki i zupy. To również sprawia, że poza miastami trudno utrzymać taki biznes, bo on potrzebuje ciągłego ruchu.

Suwalszczyzna od jesieni przez zimę do wiosny jest opustoszała. Nie ma turystów, a miejscowi, jeśli już chcieliby wybrać się do restauracji, to raczej nie na kartacze. W Suwałkach czy Augustowie zje się dobrze przyrządzone owoce morza, dziczyznę, dania wegańskie, pizzę czy burgery. Dla turysty jest to mało atrakcyjne, bo takie rzeczy znajdzie w swoim regionie. Powstaje błędne koło, z którego bardzo trudno znaleźć dobre wyjście. Suwalszczyzny ten problem dotyka boleśnie. Z kimkolwiek bym rozmawiał, konkluzja jest jedna: region piękny, ale nie ma gdzie zjeść. Czy to aby na pewno prawda?

Buza to regionalny napój: rozgotowana kasza jaglana z dodatkiem drożdży, rodzynków, cukru i cytryny.

Restauracja Pod Jelonkiem w Jeleniewie to kultowe miejsce na Suwalszczyźnie. Dla mnie jest stałym elementem krajobrazu. Pierwszy raz pojechałem tam w 2008 r. Oczywiście na kartacze. Od tego czasu wnętrze przeszło kilka przemian i remontów. Smak jedzenia pozostał ten sam. Za to najbardziej cenię ten lokal. Za stałość i pewność, że nie znikną z karty dania regionalne. O gustach, jak wiadomo, się nie dyskutuje i jednym Pod Jelonkiem smakuje, a drudzy odchodzą rozczarowani, bo spodziewali się czegoś innego. Ja uważam, że jedzenie jest tam bardzo dobre, szczególnie kartacze. Restauracja działa przez cały rok (w różnych godzinach) i jak dla mnie od lat nieprzerwanie utrzymuje bardzo dobry poziom.

Wspomniałem też o lokalu położonym tuż obok drogi ekspresowej w Słobódce. Makarewicz Dworek w obecnym miejscu funkcjonuje od niedawna. To miejsce, w którym obok typowych dań regionalnych można znaleźć również ciekawe propozycje dań kuchni polskiej. Przeglądając ich posty na Facebooku, zauważyłem, że dostosowują się do pór roku i dostępności składników. Sami chwalą się tym, że ich dania powstają wyłącznie na bazie świeżych produktów, a kucharze starają się zaserwować znane i popularne dania w nowej odsłonie. W menu wyraźnie widać, że szef kuchni dba o to, żeby turyści i mieszkańcy mogli znaleźć coś zaskakującego. Gdy doda się do tego fakt, że naprawdę smacznie gotują, pozytywna recenzja pisze się sama.

FOT. SHUTTERSTOCK

eprasa.pl b22ed4e4b8

Pozostając w tej okolicy, chcę jeszcze wspomnieć o Gospodzie Jaćwing w Smolnikach. Działa sezonowo i w mojej ocenie latem jest sensowną alternatywą restauracji Pod Jelonkiem, jeśli chodzi o dobre kartacze. Menu jest tam sezonowe i zmienia się wraz z dostępnością produktów.

Kolejnym miejscem, do którego wracam i które polecam z całego serca, jest Gospoda Zapiecek w Rosochatym Rogu, która wchodzi w skład rodzinnej agroturystyki Wiejski Zakątek nad Wigrami. Latem jest to moje ulubione miejsce, gdzie jeżdżę na rybkę. Nigdy nie wiadomo, co znajdzie się w menu, ale też nigdy się tam nie zawiodłem.

Jeśli chodzi o ryby, to kolejnym miejscem, które polecam, jest smażalnia ryb przy ulicy Turystycznej 7 w Augustowie. Znam to miejsce od 2008 r. Gdzieś w sieci wyczytałem, że zamówione jedzenie nadal jest dowożone z głównego budynku smażalni do lokalu nad jeziorem fiatem 126p. Jest to chyba jedyne miejsce na kulinarnej mapie regionu, do którego… przypływałem kajakiem, spędzając wakacje w Augustowie nad Neckiem. Zawsze była tam pyszna ryba, no i niezapomniane chwile na wodzie w drodze na obiad.

Bardzo dobrze karmią również w Tabaczarni przy drodze nr 16 w Gibach. Lokal ma ciekawą historię, bo działa w dawnym miejscu skupu tytoniu. Menu jest krótkie, ale za to dania są naprawdę smaczne. W karcie są kartacze, ale także pizza, co w pewien sposób potwierdza moje refleksje z początku tego rozdziału.

Za namową kilku znajomych z Suwalszczyzny wybrałem się wiosną 2024 r. do baru Skustele. Nie wiem, jakim cudem do tej pory ominąłem to miejsce. Po kartaczach, które zjadłem w Skustelach, wiem, że to adres, pod który będę zaglądał. Bar jest świetnie położony przy głównej drodze z Suwałk do Sejn. Menu napisane ręcznie na tablicy zmienia się wraz z porami roku. Wystrój, muzyka, obsługa – wszystko jest tak pięknie suwalskie! No i ten słoń. Przy wjeździe stoi wielki słoń! Nie pytajcie mnie, czemu na Suwalszczyźnie znalazło się to zwierzę. Zajadając się kartaczami, sam się zastanawiałem, jaka historia się za tym kryje. Słoń tak cudownie nie pasuje do tego regionu i okolicy, że ze zdziwienia… aż zaczyna nabierać uroku.

Kropką nad i w mojej kulinarnej podróży po Suwalszczyźnie jest restauracja Albatros w Augustowie. Ten wybór może wiele osób zaskoczyć, bo to miejsce średnio komponuje się z wymienionymi do tej pory. Ilekroć jestem w Augustowie, odpalam w samochodzie piosenkę Janusza Laskowskiego „Beata z Albatrosa". (…) Do Albatrosa pierwszy raz trafiłem z kolegą Danielem. Traktował to miejsce jako ciekawostkę, a także pewnego rodzaju relikt przeszłości. Chodziliśmy tam na danie dnia z kompotem. Ceny były o połowę niższe niż w pozostałych restauracjach w mieście. Było smacznie, ale bez wielkich uniesień. W 2023 r. wróciłem do Albatrosa w towarzystwie trzech kolegów, co dało mi szersze spojrzenie na menu. Ja zamówiłem oczywiście kartacze, oni wybrali inne dania. Było widać, że ktoś się starał, ale efekt nie ścinał z nóg. Moje kartacze były za to pyszne! Brakowało mi tylko kompotu w szklance z grubego szkła jak za dawnych lat. Mam do tego miejsca słabość i choć wiem, że w mieście nie brakuje miejsc, w których można dobrze zjeść, to jednak zawsze wracam do Albatrosa (…).

Jest prosto, syto i smacznie. I tak powinno być.

Czy wymieniłem wszystkie miejsca na Suwalszczyźnie, w których można smacznie zjeść? W żadnym wypadku. Opisałem te, które znam, lubię i które bez mrugnięcia okiem polecam. Mam świadomość następujących zmian. Nie biegnę jednak za nowościami. Mnie smakują kartacze Pod Jelonkiem i lubię panujący tam klimat. Wchodzę, staję przy barze i zamawiam: „Kartacze z buzą raz proszę". Dzisiaj moje zamówienie trafia do systemu. Dawno temu, chyba było to w zimie, po zamówieniu dania kelnerka krzyknęła przez okienko na kuchnię: „Kartacze z wody raaaz!". Po chwili słychać było, jak wyrwana z zimowego snu kucharka odpaliła ogień pod garnkiem.

Cenię takie miejsca za ich prawdziwość oraz za to, że niczego nie udają. Być może nie zaskarbię sobie serca znawców Suwalszczyzny, polecając tylko te lokale. Moje serce jednak zaskarbili sobie w restauracji Pod Jelonkiem, kiedy mroźną zimą zaserwowali mi gorące kartacze, dzięki którym odtajałem od środka. Takich przeżyć się nie zapomina.

A co z buzą? Buza to regionalny napój, który coraz częściej można spotkać w restauracjach na Suwalszczyźnie. Pierwszy raz zetknąłem się z nią wiosną 2023 r. i od razu zostałem fanem. Gdybym wcześniej, niż posmakowałem, poznał skład buzy: rozgotowana kasza jaglana z dodatkiem drożdży, rodzynków, cukru i cytryny, to pewnie nie odważyłbym się wypić takiego wynalazku. Buza przywędrowała do Białegostoku przed I wojną światową razem z Macedończykami. Zamknięta w butelce i podana razem z kartaczami, jest bardzo ciekawym i niecodziennym dodatkiem.

Po sytych daniach czas na deser. Wspomniałem już o sękaczach. Jeśli wymieni się ich nazwę na Suwalszczyźnie, to na 99% miejscowi podadzą jeden adres: Domowy Wypiek Sękaczy u Marzeny. To niepozorne miejsce znajduje się w Marynowie obok Sejn. O sławie wypiekanych tam sękaczy świadczy chociażby to, że najlepiej zamawiać je z dużym wyprzedzeniem. Charakterystyczne ciasto w kształcie wałka, pieczone na rożnie, wyglądem przypominające sękate drzewo, znika w mgnieniu oka. Jeśli nie uda się tam dostać tego suwalskiego przysmaku, to na otarcie łez są jeszcze inne ciasta, a także pyszny chleb żytni na zakwasie. (…)

Fragmenty książki Mikołaja Gospodarka *Jak poznać Suwalszczyznę? Subiektywny przewodnik po krajobrazach przyrodniczo-kulturowych*, Paśny Buriat, Katowice 2024

eprasa.pl b22ed4e4b8

Do lasu (odc. 3)

Wojciech Kuczok

Żelazny glejt inżyniera

Wieś od wieku wieków spiskowała przeciwko drzewom, porykiwała piłami, ryła holwegi od wycinek, leśniczych kupowała albo omijała chyłkiem – wciąż wyżej i głębiej się pięły wyręby. Panoramę, znaną Suchemu Karolowi, odkąd sięgał pamięcią – obraz zielonowłochatych pagórów między Malinowską a Skalitem – zaczęły przecinać pasy poręb, jakby się jaki fryzjer zagapił i przejechał maszynką do skóry raz i drugi, i trzeci; lasy dotąd zwarte i oporne wichurom padały od niespodzianych podmuchów, bo wiatr miał się gdzie rozpędzać na karczowiskach.

Łysiały góry, jak i Suchy łysiał, zmieniały się i starzały na jego podobieństwo. Karol biadał nad losem lasu, a Eryś go badał, przyjeżdżając w każdej chwili wolnej od zajęć na akademii, gdzie na medycynie roślin się kształcił, aby uzyskać stopień inżyniera ku konsternacji wszystkich we wsi. No bo żeby jeszcze studia skończył jakieś głupie jak on sam, jakieś kulturoznawstwo chociażby, do niczego nieprzydatne. Gdyby tak darmo zjadał rozumy pozorne i wykształcił się, dajmy na to, na nikomu niepotrzebnego magistra socjologii lub jeszcze bardziej zbędnego, a wręcz szkodliwego, dyplomowanego filozofa – nikt by się na jego tytuł naukowy nabrać nie dał. Ale inżynier ma brzmienie męskie, ścisłe, dźwięczy jak glejt żelazny i uzbraja w autorytet, z którego pokpiwać już nie tak łatwo. Inżynierowie robotę zawsze znajdą, z inżynierami to się wódkę pije, a nie po nią posyła, nie ma głupich inżynierów na tym świecie, krok inżynierski jest dumny i niezachwiany.

Pewnie stąpał Eryś przez wieś, a nikt już nie miał ochoty go zapytać, gdzież to on idzie, bo wszyscy wiedzieli, że dokądkolwiek by Eryś zmierzał, ba, nawet gdyby właśnie zaniechał dalszej wędrówki, gdyby sobie przystanął pod Jezuskiem frasobliwym, a potem usiadł i już tak tylko siedział aż po wieczne zasiedzenie – i tak zaszedł dalej niż wszyscy w dolinie. Nie po to wszak ludziska pytają, co słychać, by usłyszeć, że wszystko w porządku – od wiślanych źródeł po bałtyckie parawanowiska pytają: „Jak tam, co tam?" z nadzieją, że jest komu jeszcze gorzej niż im, ażeby się cudzą krzywdą pocieszyć, aby swoje nastroje wypasać na sąsiedzkim nieszczęściu. Owszem, Suchego Karola i jego żonę Hannę podpytywano, co tam u Erysia, a kiedy rodzice niezmiennie zapewniali, że jest szczęśliwy, tłumaczono to sobie tym, że głupi ma zawsze szczęście. Ale teraz, kiedy inżynier Eryś pewnie kroczył w górę Żylicy, wszystkim było głupio, psiokrew, tylko nie jemu, pewnie stąpającemu. I nikt nie miał pomysłu, jak by tę pewność jego skruszyć.

Eryś szedł więc, a wieś przyglądała mu się w ponurej ciszy, nawet psy nie szczekały, bo zapach Erysia od nauk się nie zmienił – na swojego nie ma co pyska otwierać, za każdy fałszywy alarm kara od pana, pies na wsi jest po to, żeby zwietrzyć intruza, to tylko miastowe kanapsy wszędzie poza mieszkaniem czują się nie na miejscu i ujadają na wszystko, co żywe. No i właśnie kiedy Eryś mijał domostwo paradne – a gdzie ta domostwo, zomcysko prawdziwe, co sobie Podwójny wystawił rękami Suchego! – rozległ się szczek zajadły a cienki, zdradzający karłowatą psinę z rodowodem miejskim. Podniósł więc Eryś wzrok mimowolnie, spojrzał ku zomcysku, by się wywiedzieć, przez cóż to jest niecierpliwie oszczekiwany, ale Podwójny tak szczelną palisadą odgrodził swoje włości od pospólstwa, że dopiero z bliska, przez szpary między sztachetami, można było przyuważyć jakiś fragmencik posesji. I właśnie z takiej szpary dobywało się szczekanie zwierzęcia jakiejś miniaturowej rasy, co mogło oznaczać, że ktoś w gości do Podwójnego przyjechał z miasta, a może nawet stolicy, bo miejscowym do głowy by nie przyszło trzymać w obejściu psiny takich rozmiarów, chyba że kretom na pośmiewisko.

Miejscowym do głowy by nie przyszło trzymać w obejściu psiny takich rozmiarów, chyba że kretom na pośmiewisko.

– Nie ma rady, musi się wyszczekać – usłyszał Eryś głos żeński, pozbawiony akcentu regionalnego, a potem podniósł wzrok ku oknu. Zobaczył postać żeńską, akcentów regionalnych niepozbawioną, w samej ciasnosze, z warkoczem panieńskim, i zapatrzył, a nawet zagapił się na tę urodę, która coś mu mówiła. Zanim skojarzył, że to najmłodsze Podwójniątko tak wykobieciało, niewidziana od czasów schyłkowego dziecięctwa Ala Markówna (bo Marek Marek jedyną swoją córkę posłał do szkół zagranicznych, kiedy tylko skończyła podstawówkę), wrota drewniane – żłobione we wzory ludowe dłutem Suchego – z wolna rozsunęły się automatycznie. Z podziemnego garażu wyjechał sam Podwójny czarną limuzyną, głośnym i złowrogim piskiem opon pozdrowił Erysia i śmignął ku swoim interesom. A bardzo się widać śpieszył, albo też bardzo nie w smak mu było zobaczyć inżyniera Eryka, bo zapomniał kliknąć pilota i wrota pozostały otwarte – przez nie wybiegł ku nogom Erysia sznaucerek tak przymilny, jak przed chwilą był rozjuszony. ■

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl b22ed4e4b8

JOLKA

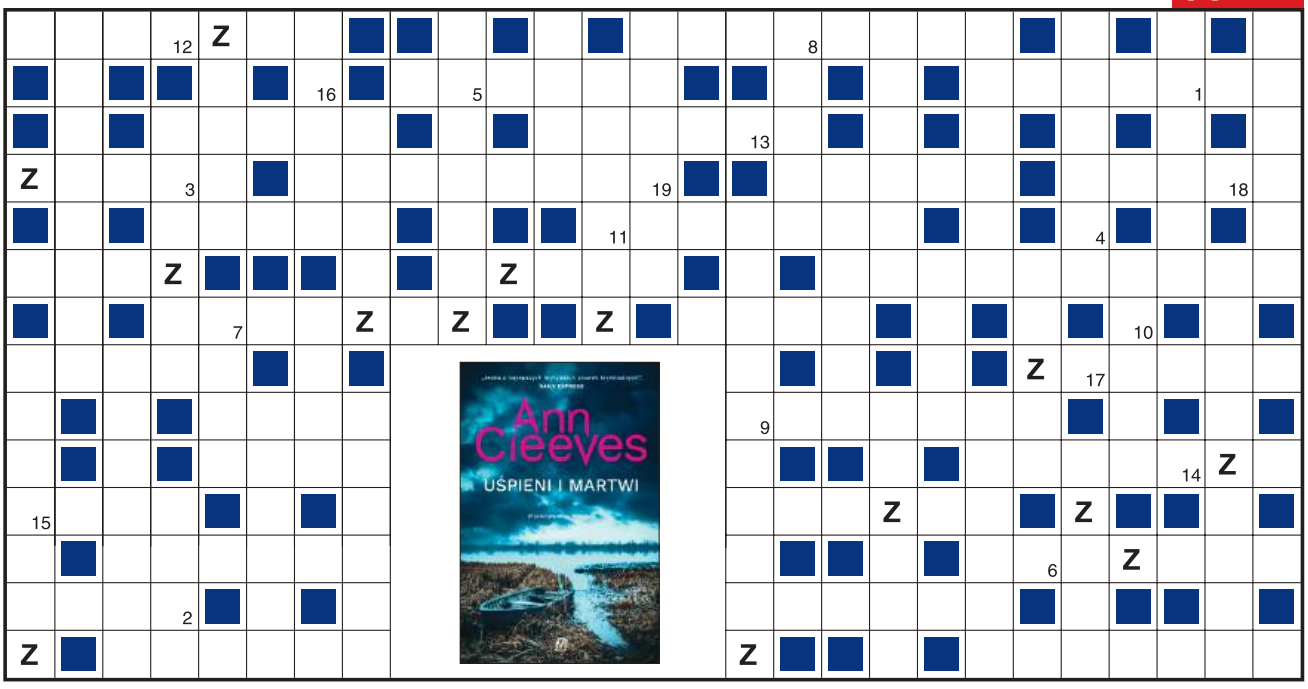

1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15	16	17	18	19

Objaśnienia są podane w kolejności alfabetycznej odgadywanych wyrazów. Miejsce wpisu do odgadnięcia. Wszystkie litery Z ujawniono. Litery z pól ponumerowanych od 1 do 19 utworzą końcowe hasło.

- zaliczka od szefa na bukiecik róż
- państwo sojusznicze
- szał, gorączkowe podniecenie
- góry we Włoszech
- blachy lub kalkulacyjny
- formacja Piątka, Świderskiego, Lewandowskiego
- czerwony z uszkami
- wytwórca naczyń z klepek
- wszystkie części razem, komplet
- zrzeszeni w nim rzemieślnicy
- pies sierżanta MO Walczaka
- promenada
- stan zachwytu lub uniesienia
- tajny wysłannik polityczny
- wykaz błędów w książce
- spilśniony materiał
- montażowa w fabryce lub targowa
- złudzenie, sztuczka magiczna
- przymiotnikowa lub przysłówkowa forma czasownika
- ozdobna pierwsza litera
- młode na ofiarę całopalną
- polska marka ciężarówek i autobusów
- u niej złożysz zamówienie na jedzenie
- zieleń mundurowa
- chybione uderzenie w grze
- kolna broń biała husarii
- słynny obraz Muncha
- czerwona – spis gatunków zagrożonych
- „…jednej nocy” Alibabek
- uczeń musi ją przeczytać
- …atomowa pierwiastka
- Alfred Pennyworth dla Bruce'a Wayne'a
- przywódca zbuntowanych aniołów
- odbijająca tafla szkła
- oferma, niezdara
- św. Agnieszka wypuszcza skowronka z niego
- ośrodek produkcji saskiej porcelany
- miasto u stóp Wezuwiusza
- brutto bez tary
- …społeczne, czyli najbiedniejsi
- pójść w nią – zostać odsuniętym
- omasta
- metalowe umocnienie drewnianego przedmiotu
- podarek
- madrycki klub sportowy
- zielony kożuch na wodzie
- w Wigilię pod obrusem
- zabity przez św. Jerzego
- urządzenie do nadawania kierunku statkowi
- Dratewka z ballady Młynarskiego
- inwigilowanie
- tam sztuki wystawiane
- zabierana na zakupy
- feler, niesprawność działania
- przydatność, wykorzystywalność
- kompozycja z barwnych szkieł
- wejście do kanału
- felc klepki, deski
- stwór z Himalajów
- wąska, często ślepa uliczka
- najwyższy punkt na niebie
- dzieli się na grosze

KUPON JOLKI „Przeglądu”

hasło: .....

.....

imię i nazwisko: .....

.....

adres: .....

.....

Ja, niżej podpisany(a), wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych przez Fundację Oratio Recta z siedzibą w Warszawie, ul. Inżynierska 3 lok. 7, 03-410 Warszawa, w celu niezbędnym do rozwiązania jolki w „Przeglądzie”, opublikowania moich danych osobowych na łamach tygodnika w razie wygranej i przesłania mi nagrody. Oświadczam, że zostałem(am) poinformowany(a) o dobrowolności podania danych osobowych, o prawie wglądu do moich danych, prawie do ich poprawiania i usuwania.

data, miejscowość .....

czytelny podpis .....

Rozwiązania samego szyfru prosimy nadsyłać na adres redakcji w ciągu 14 dni od daty ukazania się numeru, z dopiskiem: „JOLKA-1178”. Do rozlosowania książki „Uśpieni i martwi” ufundowane przez Wydawnictwo Poznańskie. Rozwiązanie można też wysłać, pisząc SMS: KRPRZ.XXX.HASŁO KRZYŻÓWKI. Należy stosować litery, cyfry i kropki, wielkość liter nie ma znaczenia, w miejsce XXX wpisać numer krzyżówki. Osoby nadsyłające rozwiązania wyrażają tym samym zgodę na przetwarzanie ich danych osobowych. SMS-y należy wysyłać pod numer 72550 (płatny 2,46 PLN + VAT) do 21 lipca 2024 r.

Rozwiązanie „JOLKI-1175” z nr. 26: *Milczenie nie bawi suflera.* Nagrody otrzymują: Katarzyna Bochenek z Zabrza, Krystyna Jóźwik z Legnicy, Tadeusz Pilichowski z Łodzi.

eprasa.pl b22ed4e4b8

Stare długi

Każdy wie, że prezydent Andrzej Duda zrobi wszystko, by utrudnić działanie polskiego MSZ. I że zablokuje nominacje ambasadorów. Jeszcze przez rok tak będzie. Ale nie znaczy to, że minister Sikorski powinien mu ułatwiać działanie. A na pewno takim ułatwieniem jest pomysł, by ambasadorem RP przy OECD w Paryżu został Jan Vincent-Rostowski, były minister finansów RP.

Owszem, teoretycznie można tej kandydatury bronić, stałym przedstawicielem przy OECD był też Paweł Wojciechowski, również swego czasu minister finansów. Rzecz w tym, że pracował później jako podsekretarz stanu w MSZ, no a przede wszystkim nie był w wieku emerytalnym. Rostowski zaś ma 73 lata, więc Duda i PiS grzmią, że oto króluje w MSZ polityka geriatryczna.

Oczywiście Sikorski może się bronić, przypominając, jak to PiS wysyłało za granicę emerytów. Anna Maria Anders miała lat 73. W podobnym wieku był Marek Garztecki, który nie zdążył zostać ambasadorem w Tanzanii, bo PiS straciło władzę. Panem w wieku zaawansowanym jest Konstanty Radziwiłł, ambasador na Litwie, który także wcześniej nie miał z MSZ nic wspólnego… W sumie ambasadorów emerytów można by się doliczyć kilkunastu. Ale czy to wystarczające usprawiedliwienie dla nominacji Rostowskiego?

Fakty są nieubłagane. Po pierwsze, Rostowski nigdy nie pracował w MSZ. Nie zna się na dyplomacji. Jasne, OECD to instytucja międzynarodowa, inaczej tam się funkcjonuje niż w ambasadzie terytorialnej, ale czy wobec tego należy tam wysyłać kogoś, kto będzie się przyuczał? I jeszcze mu za to płacić?

Po drugie, taka instytucja jak MSZ musi prowadzić świadomą politykę kadrową. Czyli, wysyłając kogoś do Paryża, nasi decydenci powinni najpierw się zastanowić, co dzięki temu człowiekowi zyskamy – i teraz, i w przyszłości. A tu wiadomo, że zyskamy niewiele. Swoje odbębni i w wieku 77 lat przecież nie przyjdzie pracować do MSZ, tylko uda się na emeryturę… Pożytku z wiedzy takiego ambasadora resort w przyszłości mieć nie będzie.

Na takie placówki powinno się wysyłać ludzi w sile wieku, którzy wykorzystają tę siłę dla swojego rozwoju. Daleko nie szukając – ambasadorem przy OECD był też obecny wiceminister Jakub Wiśniewski. Bardzo krótko, półtora roku, bo w 2016 r. odwołało go PiS, czyli minister Witold Waszczykowski, premier Beata Szydło i prezydent Andrzej Duda.

Przy okazji tego odwołania wypchnięto Wiśniewskiego z MSZ z łatką bliskiego współpracownika Radosława Sikorskiego. Musiał szukać pracy w sektorze prywatnym.

Na tym przykładzie widać, że nominacja Wiśniewskiego na ambasadora przy OECD miała sens, była logicznym etapem w jego karierze. A poza tym, że Andrzej Duda, gdy dziś lamentuje, że Sikorski chce odwoływać jego ambasadorów, powinien sobie przypomnieć, jak sam postępował.

A Sikorski? Można zrozumieć, że wysyłając Rostowskiego, spłaca stare długi. Ale naprawdę lepiej byłoby, gdyby wysłał do OECD kogoś o 20 lat młodszego, związanego z MSZ lub z departamentami europejskimi. I Dudzie byłoby trudniej, i pożytek byłby z tego większy.

Attaché

Mimo protestów obrońców zwierząt coroczny bieg z bykami uliczkami hiszpańskiej Pampeluny cieszy się niesłabnącą popularnością. 11 lipca 2024 r.

FOT. AFP/EAST NEWS

eprasa.pl b22ed4e4b8

PENETRACJE

TYGODNIK POWSZECHNY

KS. ADAM BONIECKI,
REDAKTOR SENIOR

Kazus Janki Ochojskiej jest odwiecznym kazusem ludzi, którzy reagują na niesprawiedliwość i krzywdę. Być może nie zawsze proponowane przez nich sposoby są wykonalne, zawsze są trudne. A my musimy działać szybko i skutecznie, więc działamy na miarę doraźnych możliwości. Wolno mieć nadzieję, że głos takich osób jak Ochojska nie jest całkiem daremny. Bo ludzi szukających godnych warunków życia będzie przybywać, z przyczyn klimatycznych, demograficznych i gospodarczych. Odpowiedź „Nie, bo nie" nie jest żadną odpowiedzią. (…) Często dzieła Ochojskiej i jej współpracowników wydawały się wręcz niemożliwe. Nie zmieniały co prawda świata, ale ratowały ludzi, bardzo wielu. A może właśnie tak świat się zmienia?

zwierciadło

ADAM WAJRAK,
DZIENNIKARZ I PRZYRODNIK

Po sąsiedzku działa Grupa Granica.

– Martwię się o młode aktywistki, młodych aktywistów. To ich kolejny rok na wojnie o ludzkie życie. Muszą sobie radzić z nieszczęściami, ze śmiercią. Działają bez wsparcia systemu, a często ten system przeszkadzał. Płacą straszną cenę, mają PTSD. Jednego dnia zajmują się w lesie uchodźcą, następnego on znika. Umarł, utopił się w rzece? Niedawno na spotkaniu Mikołaja Grynberga wstał jakiś człowiek: „Gdyby tylu ludzi rzeczywiście umarło, to znajdowałoby się ich ciała". Odpowiedziałem, że nie jest łatwo je znaleźć, bo uchodźcy wchodzą w kryjówki, zakamarki. Na co koleżanka aktywistka: „Adam ma rację. Przyjechała do nas dziewczyna z Niemiec. Bez doświadczenia, skierowano ją do sprzątania śmieci pouchodźczych. Znalazła w nich dwa trupy zjedzone przez zwierzęta, zorientowała się, jak wdepnęła w szczątki". Sam widziałem trupa zjedzonego przez zwierzęta… Mało zostaje po człowieku, orientujesz się, co to jest, jak masz to przed nosem.

Press

KRZYSZTOF GOSZTYŁA,
AKTOR

Każdy pisarz i każdy aktor nadstawia ucha. W tramwaju, w pociągu, przed telewizorem, w radiu. Notuję, zapamiętuję odmiany języka. Decydujące są zawsze słuch, smak, poczucie wiarygodności i piękna. Dlatego warto słuchać jak najwięcej Mozarta i wielkiej, prawdziwej muzyki, bo to ona pozwoli nam potem zaśpiewać prostą piosenkę w sposób, który będzie ujmujący. Jeżeli wyrobimy w sobie gust, to wiemy, czy jeszcze dalej posunąć się w zniekształcaniu języka polskiego, czy już tyle wystarczy. Czy dalej idziemy w kierunku ruszczyzny, czy jest już jej za dużo. A może należy skorzystać z ruszczyzny troszkę doprawionej germanizmem? Nie wiem, nie jestem zrazu pewien, ale sprawdzam, jak by to zabrzmiało.

TwojSTYL

AGATA KULESZA,
AKTORKA

Dzisiaj czuję się silna, nawet bardzo. Ufam sobie, wiem, że siebie nie zawiodę. A gdy chcę, umiem spytać o radę. Co z nią zrobię, to inna kwestia. Moja siostra żartuje, że gdy mam problem, to „robię research" – wszystkim o nim opowiadam, wysłuchuję każdego zdania, a potem… i tak robię po swojemu. Ja uważam, że jestem analityczna. Chętnie oglądam filmy w stylu: „Wikingowie", „Kompania braci", „Pacyfik", o wojnach, konfliktach. Jedna z moich przyjaciółek powiedziała: „Agata, ja wiem, dlaczego ty to lubisz. Ty podglądasz taktykę". I to jest prawda. Patrzę i zastanawiam się: dlaczego ci idą w pierwszej linii, a tamci się wycofują… Oglądam bitwy innych ludzi i uczę się strategii.

FOT. AMEM, SARKA FARKA, SEKCJA GIMNASTYCZNA (2)

eprasa.pl b22ed4e4b8

UWAGA, BYK!

Poprawa byków w tekstach krzyżówek to duże wyzwanie dla korektorów.
Oto objaśnienia przed korektą, z błędnym słowem. Popraw błąd, a następnie odgadnij hasło.

		Ó		

* zrzucana przez męża

	B				

* osłona parówki

						T	

* dar z nieba

ROZWIĄZANIA: SKÓRA, ABAŻUR, SPIEKOTA

Aby język giętki…

JERZY BACZYŃSKI
O MEDIACH W CZASACH TUSKA

Wygląda na to, że w relacjach władza-media ma obowiązywać zasada „nie liczcie na mnie, jako i ja na was nie liczę".

KRYSTIAN LUPA O KONFLIKCIE W GENEWIE

Aktorzy płakali i nie chcieli, by nasza wspólna podróż z „Les Émigrants" w paryskim Odéonie umarła. Możliwość dokończenia spektaklu to była ogromna radość.

JADWIGA JANKOWSKA-CIEŚLAK
O PIOTRZE CIEŚLAKU

Był bardzo krytyczny, a takie podejście jest niezbędne, by móc się rozwijać.

ZBIGNIEW BUJAK O POLITYCE

Polityka stała się synonimem czegoś najgorszego. A w antycznej Grecji oznaczała przeciwieństwo barbarzyństwa.

SZCZEPAN TWARDOCH
O ŻEGLARSTWIE W PRL

W latach 60. na Śląsku powstało wiele klubów żeglarskich, bo żeglarstwo w PRL, skądinąd słusznie, chciano uczynić sportem masowym.

MARGARET O APOSTAZJI

Po co być w instytucji, której nie rozumiesz? Która do ciebie nie przemawia? Chcę być w zgodzie z sobą.

MAGDALENA CIELECKA
O PODOBIEŃSTWIE DO MAMY

Im jestem starsza, tym patrząc w lustro, widzę tych podobieństw coraz więcej. Czasem to jakiś grymas, gest, ton głosu.

ADRES REDAKCJI
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7
Telefony +48 22 635 84 10,
+48 503 158 795, 503 159 027
fax +48 22 635 84 10 wew. 119
przeglad@tygodnikprzeglad.pl

tygodnikprzeglad.pl

Redaktor naczelny: Jerzy Domański j.domanski@tygodnikprzeglad.pl
Pierwszy zastępca redaktora naczelnego: Paweł Dybicz
Zastępcy redaktora naczelnego: Roman Kurkiewicz, Robert Walenciak
Sekretarze redakcji: Małgorzata Fiejdasz-Kaczyńska, Agata Gogołkiewicz
Zastępca sekretarza redakcji: Aleksandra Pańko

ZESPÓŁ I WSPÓŁPRACOWNICY: Julian Bartosz, Marek Czarkowski, Regina Dachówna, Paweł Drąg, Jakub Dymek, Beata Dżon-Ozimek, Jakub Katulski, Leszek Konarski, Marek Książek, Helena Leman, Mateusz Mazzini, Tomasz Miłkowski, Lech Miodek, Jan Ordyński, Rafał Pikuła, Maciej Polkowski, Eliza Sarnacka-Mahoney, Michał Sobczyk, Małgorzata Szczepańska-Piszcz, Konrad Szelest, Bronisław Tumiłowicz, Krzysztof Wasilewski, Kornel Wawrzyniak, Andrzej Werblan, Elżbieta Wojtalik-Soroczyńska, Artur Zaborski, Beata Znamirowska-Soczawa

Stali felietoniści: Stanisław Filipowicz, Tomasz Jastrun, Wojciech Kuczok, Bronisław Łagowski, Andrzej Romanowski, Andrzej Szahaj, Jan Widacki, Agnieszka Wolny-Hamkało
Rysownicy: Grzegorz Bąkowski, Kain May
Studio graficzne: Dorota Markowska-Burbelka, Anna Rosiak, Daria Słowińska-Kettner
Dyrektor artystyczny: Izabela Mierzejewska
Fotoedytorzy: Magdalena Głuska, Rafał Pyznar
Fotoreporter: Krzysztof Żuczkowski

Dział wydawnictw i reklamy:
Dyrektor: Anna Banaszek a.banaszek@tygodnikprzeglad.pl
Wicedyrektor: Agata Mierzejewska a.mierzejewska@tygodnikprzeglad.pl
Dział kolportażu: tel. +48 22 635 84 10 wew. 120
e-mail: kolportaz@tygodnikprzeglad.pl
Wydawnictwa książkowe: tel. +48 22 635 84 10 wew. 111
e-mail: sklep@tygodnikprzeglad.pl

Sprzedaż elektroniczna: sklep.tygodnikprzeglad.pl

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, zastrzega sobie prawo do opracowywania i skracania tekstów. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada. Redakcja ma prawo do odmowy publikacji ogłoszeń.
Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w „Przeglądzie" bez zgody wydawcy jest zabronione. Przedruki po uzyskaniu zgody wydawcy.
Sprzedaż numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez wydawcę jest nielegalna i grozi odpowiedzialnością karną.

Druk: Quad/Graphics Europe Sp. z o.o.
07-200 Wyszków, ul. Pułtuska 120

WYDAWCA: Fundacja Oratio Recta
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7
NIP: 951-19-67-251, **REGON:** 016275090
KOD SWIFT: WBKPPLPP, **IBAN:** PL
Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821

FUNDACJA ORATIO RECTA
IZBA WYDAWCÓW PRASY
BIURO KONTROLOWANY ZWIĄZEK KONTROLI DYSTRYBUCJI PRASY

eprasa.pl b22ed4e4b8

PRZETWORY

Karolina Jabłońska to jedna z najciekawszych artystek młodego pokolenia w Polsce. Jest przede wszystkim malarką, jednak pracuje także w medium ceramiki i rzeźby. Bohaterka jej najnowszych obrazów staje w obliczu zmian społecznych, politycznych i estetycznych, do których doszło w Polsce, gdzie w ostatnich latach polityka obierała antyfeministyczny i wykluczający kurs. Wystawie towarzyszy książka z esejami analizującymi twórczość Jabłońskiej.

Państwowa Galeria Sztuki w Sopocie
plac Zdrojowy 2
do 28 lipca

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl b22ed4e4b8

SOS WIOSKI DZIECIĘCE

Edukacja to ~~przywilej~~ moje prawo

W Zimbabwe tysiące dzieci nie mają dostępu do edukacji.

Razem możemy im pomóc.

Zeskanuj kod QR i pomóż dzieciom w Zimbabwe.
Możesz dokonać również wpłaty
na **numer konta bankowego:**
63 1240 6292 1111 0010 6775 1991

Tytuł wpłaty: **Edukacja Zimbabwe**

www.sosafryka.org

eprasa.pl b22ed4e4b8

eprasa.pl b22ed4e4b8